

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ ŚLĄSKA
w WARSZAWIE

Biuletyn nr 3

Warszawa, kwiecień 2005

BIULETYN TOWARZYSTWA PRZYJACIOŁ ŚLĄSKA
NR 3/2005

Wydawca: Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Śląska AL
Jerozolimskie 7, IV p. pok. 437
00-495 Warszawa
tel. kontaktowy 522-95-02
e-mail: przyjaciele_slaska@poczta.onet.pl

Redaguje zespół w składzie:
Jan Cofałka - red. naczelny, Mirosław Kościelniak,
Henryk Pytlik, Bogdan Trzeźniowski.

Korekta: Henryk Pytlik

Adres redakcji:
Towarzystwo Przyjaciół Śląska 00-
955 Warszawa-15, skr. poczt. 60

Zdjęcia: Archiwum Towarzystwa (fot. Jan Cofałka,
zdjęcia nr 1,8,10,12,14,17,22,25 ze zbiorów G.Kurzaja)

ISSN 1730-9018

Nakład: 300

Druk: Drukarnia Nr 1. 02-521 Warszawa, Rakowiecka 37,
tel. (0-22) 640 - 81-77, fax 849-94-97

Spis treści:

WSTĘP	5
CZEŚĆ I	
Z życia Towarzystwa (od kwietnia 2004 do marca 2005).....	9
1. Imprezy zorganizowane przez Towarzystwo.....	9
2. O pracy Zarządu.....	17
3. Ważniej sze uchwały, oświadczenia i wystąpienia.....	32
4. Laureaci Nagród Towarzystwa w 2005 r.....	38
5. Nowi członkowie Towarzystwa.....	41
6. Jubileusze, wspomnienia, ciekawostki.....	42
7. Publikacje o Towarzystwie i jego ludziach.....	57
CZEŚĆ II	
Ślężacy w Warszawie	59
1. W sercach Ślężaków Polska kona (Kazimierz Kutz).....	59
2. Synek z Królewskiej Huty (prof. Henryk Leśniok).....	63
3. Zawsze trzeba pomagać (ks. Arkadiusz Nowak).....	72
4. Do Bytomskich Strzelców (ks. Jan Rzymelka).....	85
5. Zajrzeć w XXI wiek (Władysław Sala).....	99
6. Mity i realia (płk dr Mieczysław Starchewski).....	111
7. Pożegnanie Profesora (prof. Jan Szczepański).....	125
8. A teraz maluję gangsterów! (prof. Waldemar Świerzy).....	128
9. Z Raciborza do Kamerunu (dr Henryk Tomiczek).....	139
KOMUNIKATY	148
ANEKS ZE ZDJĘCIAMI.....	149

WSTĘP

Miniony rok był trudny dla Śląska i Ślązaków, lecz przyniósł także nieco radości. Najpierw wspaniała dziewczyna z Rudy Śląskiej Otylia Jędrzejczak wykazała światowe mistrzostwo sportowe i serce, zdobywając na Igrzyskach Olimpijskich w Atenach trzy medale w pływaniu, złoty i dwa srebrne. Do najbardziej prestiżowej nagrody literackiej w Polsce NIKE nominowane zostały aż dwie książki Ślązaków: Wojciecha Kuczoka *Gnój* oraz Henryka Wańka *Finis Silesiae*. Wojciech Kuczok nie tylko ją zdobył lecz także otrzymał nagrodę czytelników „Gazety Wyborczej”. Według jego scenariusza Magdalena Piekorz nakręciła *film Pregi*, który -w zgodnej opinii krytyków i widzów - został uznany za największe wydarzenie filmowe ostatnich lat. Film ten przebojem zdobył główną nagrodę Złote Lwy na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni i nagrodę publiczności. Wszystko to pozwoliło stwierdzić Kazimierzowi Kutowskiemu: *Jestem szczęśliwy, to wielki sukces moich stron, czyli Śląska.... Myślę, że mogę spokojnie umierać, bo ze Śląska idzie światło...Śląsk się budzi, a to dzięki temu, co stało się w Polsce 15 lat temu.*

W 2004 roku obchodziliśmy 15-lecie Towarzystwa. W jubileuszowym roku odnotowaliśmy kilka sukcesów, które -jak to się mówi - pozostaną po nas. Udało nam się sfinalizować staranie o nadanie jednej z ulic w Warszawie imienia Edmunda Jana Osmańczyka. Uchwałą Rady miasta stołecznego Warszawy jest już taka ulica na warszawskim Bemowie. W tym rejonie Warszawy znajduje się kilka innych ulic wiążących się ze Śląskiem i wybitnymi Ślązakami. Centralną ulicą Bemowa jest ul. Powstańców Śląskich, od niej odchodzi ul. Piastów Śląskich, której ponieważ przedłużeniem, w drugą stronę, jest ul. E.J. Osmańczyka. W rejonie ul. Powstańców Śląskich i Piastów Śląskich znajduje się kilka innych „śląskich” ulic: Rodła, K. Miarki, G. Morcinka, W. Korfantego, Fr. Kawy, J. Kukuczki, S. Ligonii, P. Stellerki. Można więc mówić o śląskim kwartale w tym rejonie stolicy.

Z inicjatywy naszego Towarzystwa udało się, w 15 rocznicę śmierci Edmunda Jana Osmańczyka, doprowadzić do wydania przez Uniwersytet Opolski książki wspomnień o Nim, przygotowanej przez profesorów Stanisława S. Nicieję i Marka Masnyka, z pomocą finansową Senatu RP. Promocja książki pt: *Edmund Jan Osmańczyk. Dziennikarz-publicysta-*

parlamentarzystą we wspomnieniach bliskich i przyjaciół, w Opolu, a następnie w Warszawie w Klubie Księgarza na Starym Mieście, o czym piszemy w Biuletynie, zgromadziła bardzo liczne grono przyjaciół i miłośników tego wielkiego Polaka i patrioty.

Z inicjatywy Towarzystwa, za zgodą Marszałka Sejmu RP, podobna księga wspomnień przygotowywana jest przez Wydawnictwo Sejmowe. O zmarłym w 2004 roku, wielkim uczonym, humaniście i parlamentarzystę (członku założyciela Towarzystwa) prof. Janie Szczepańskim, rodem z Ustronia.

W grudniu 2004 roku Towarzystwo z radością mogło polecić pod choinkę, nie tylko swym członkom, pięknie wydaną przez Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR, przy wsparciu naszych sponsorów, książkę pt. *Nadciągają Ślązacy. Czy istnieje narodowość śląska?* Książkę, która - jak pisze inicjator jej wydania i redaktor Lech M. Nijakowski - jest odpowiedzią na niski poziom debaty publicznej na temat Śląska i Ślązaków oraz wiedzy o tym regionie kraju. Adresowana jest ona do wszystkich, którzy interesują się Śląskiem.

O tych i wielu innych wydarzeniach w ostatnim roku, piszemy w części I Biuletynu, pod tytułem **Z życia Towarzystwa**.

W części II - **Ślązacy w Warszawie** przystępujemy do realizacji (w innej formie niż przewidywali jej pomysłodawcy), inicjatywy nazwanej ongiś *Księgą Ślązaków* w Warszawie. Pomysłodawcy *Księgi Ślązaków* wychodzili z założenia, że w Warszawie mieszka, pracuje i żyje, wraz z rodzinami, kilka tysięcy ludzi wywodzących się ze Śląska. Wielu z nich, z różnych przyczyn, niezbyt chętnie ujawnia swoje pochodzenie, lub też - po wielu latach zamieszkiwania i zasymilowaniu się w stolicy - nie odczuwa potrzeby identyfikowania się ze swymi korzeniami. Inni czynią to okazjonalnie. Często bowiem są to ludzie bardzo wiekowi, osoby, które musiały kiedyś uciekać ze Śląska przed prześladowaniami, głównie niemieckimi: powstańcy śląscy i ich potomkowie, działacze organizacji polskich, inteligencja śląska, a następnie - po wojnie - budowniczy powojennej Warszawy, w tym fachowcy sprowadzeni do uruchomienia np. huty *Warszawa* oraz innych zakładów i przedsięwzięć.

Najliczniejszą jednak grupę Ślązaków mieszkających w stolicy stanowią dziś ci, którzy awansowali do pracy w różnych centralnych urzędach i instytucjach, sądownictwie, wojsku oraz organizacjach społeczno-poli-

tycznych. Liczną grupę stanowią ludzie nauki i kultury: profesorowie, pisarze, dziennikarze, muzycy, plastycy i aktorzy wywodzący się ze Śląska, a także sportowcy. Wielu z nich zajmuje znaczącą pozycję w leksykonach wybitnych indywidualności wnoszących wkład w ogólnonarodowy dorobek. Stąd też pomysł, aby w jakiejś formie, dokumentować obecność Ślązaków w Warszawie. Formą dokumentowania miało stać się założenie *Księgi Ślązaków* w Warszawie.

Naiwnie sądziliśmy, że naszymi wåtłymi społecznymi siłami, będzimy w stanie gromadzić w specjalnie założonej księdze, wiedzę o bez mała wszystkich Ślązakach, którzy zechcą wypełnić i podpisać *Kartę Ślązaka* zawierającą podstawowe dane o sobie, swojej aktywności społeczno-zawodowej, dokonaniach i drodze życiowej, która przywiodła ich do stolicy. Dziś wiemy, że jest to (z różnych zresztą względów, także z niechęci Ślązaków do wypełniania czegokolwiek) niemożliwe, więc nieco modyfikujemy tamte zamiary.

Otóż -jak na to chociażby wskazują coroczne Nagrody Towarzystwa - często obywatele naszego kraju, a nawet my sami Ślązacy, nic nie wiemy o śląskich korzeniach wielu znakomitych mieszkańców Warszawy. Nie o wszystkich wydaje się książki (jak o K. Kutzu, EJ. Osmańczyku, czy prof. Janie Szczepańskim) lub piszą wielonakładowe gazety (jak o Franciszku Pieczce, Otylii Jędrzejczak, Wojciechu Kuczoku, czy Henryku Wańku) a warto ich dokonania i życie utrwalić i przekazać przyszłym pokoleniom. Redakcja Biuletynu zaproponowała więc Zarządowi Towarzystwa, aby każdorazowo część Biuletynu poświęcać Ślązakom w Warszawie.

W poprzednim numerze Biuletynu prezentowaliśmy sylwetkę twórcy naszego Towarzystwa dr Józefa Musioła, w tym chcemy przedstawić innych Ślązaków w Warszawie. Rozpoczynamy nietypowo bo - naszym zdaniem - ważnym artykułem Kazimierza Kutza (którego nie musimy prezentować) pod bardzo znamienym tytułem „W sercach Ślązaków Polska kona”. Następnie znajdują się, alfabetycznie ułożone materiały o ośmiu osobach: prof. Henryku Leśnioku, ks. Arkadiuszu Nowaku, ks. Janie Rzymelce, Władysławie Sali, dr płk Mieczysławie Starczewskim, prof. Janie Szczepańskim, prof. Waldemarze Świerzym oraz o dr. Henryku Tomiczku. Każda z tych osób z innych powodów zasługuje na uwagę.

W końcowej części Biuletynu prosimy zapoznać się z komunikatami, które ułatwią korzystanie z praw i wypełnianie obowiązków członka Towarzystwa. Natomiast w aneksie staramy się przedstawić miniony rok działalności Towarzystwa w ujęciu fotograficznym.

Wdzięczny będę za uwagi i propozycje mające na celu doskonalenie Biuletynu oraz działalności Towarzystwa.

Życzę dobrej lektury.

Redaktor naczelny

Warszawa, 9 luty 2005 r.

CZĘŚĆ I

Z ŻYCIA TOWARZYSTWA

(od kwietnia 2004 do marca 2005 r.)

1. Imprezy zorganizowane przez Towarzystwo

^ *Święto Ślązaków* - 27 kwietnia 2004 r. Zamek Ostrogskich w Warszawie

Święto składało się z czterech części.

W pierwszej - Jubileuszowej, Prezes Towarzystwa podkreślił jego szczególny charakter wynikający z 15-lecia działalności Towarzystwa. *Święto Ślązaków* zaszczylicili obecnością parlamentarzyści: Barbara Bli-da, Andrzej Markowiak, Jan Rzymelka, Zbigniew Religa.

Na początku uczczono pamięć zmarłych: członka założyciela i laureata Nagrody Towarzystwa - prof. Jana Szczepańskiego, wieloletniego działacza - Zbigniewa Sajkowskiego oraz członka Komisji Rewizyjnej - Henryka Koniecznego.

Potem, z właściwym sobie wdziękiem, prowadzenie przejęła legendarna spikerka telewizyjna - Krystyna Loska. Na jej prośbę wiceprezes Towarzystwa Roman Pillardy powiadomił zebranych o przyznaniu przez Prezydenta RP, za zasługi w działalności w Towarzystwie Przyjaciół Śląska 8 orderów i odznaczeń państwowych. Otrzymali je:

Jan Cofałka, Marian Kobza, Stefan Świtula, Aniela Kleszczyńska, Bogdan Trześniowski, Mirosław Kościelniak, Jadwiga Ramza-Chadzaj i Lech Nijakowski.

Wręczenia orderów i odznaczeń dokonał uczestniczący w uroczystości podsekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP - Edward Szymański.

Część druga, to uroczystość wręczenia dorocznych Nagród Towarzystwa.

Komunikat Kapituły Nagrody w sprawie przyznania Nagród w 2004 r. przedstawił jej sekretarz Jan Cofałka, po czym przystąpiono do ceremonii wręczenia nagród (sylwetki laureatów prof. Andrzeja Bochenka i ks. Franciszka Kurzaja, zdążyliśmy przedstawić w Biuletynie nr 2).

Laudację o prof. Andrzeju Bochenku, znakomitym kardiochirurgu wygłosił prof. Zbigniew Religa.

Po laudacji prezes Towarzystwa wspólnie z wiceprezesem Henrykiem Pytlikiem oraz laudatorem wręczyli prof. Andrzejowi Bochenkowi rzeźbę „Ślązaczki” stanowiącą Nagrodę.

Laudatorką ks. Franciszka Kurzaja, ambasadora Śląska w Teksasie, była redaktor Polskiego Radia w Katowicach - Maria Pańczyk-Pozdziej, która -jak przystało na organizatorkę popularnych na Śląsku konkursów gwary śląskiej „ Pogodomy po naszymu, czyli po śląsku” - wystąpiła w pięknym śląskim stroju.

Po wręczeniu Nagród red. Maria Pańczyk-Pozdziej przeegzaminowała obu laureatów ze znajomości gwary śląskiej. Uciechy przy tym było sporo, lecz obaj laureaci egzamin przeszli pomyślnie.

Następnie uhonorowano pięknymi bukietami - *dwie panujące na Śląsku królowe*:

-red. Marię Pańczyk-Pozdziej, która popularyzując gwarę śląską do prowadziła do tego, że Ślązacy nie wstydzą się jej już oficjalnie używać.

Za jej sprawą konkursy znajomości gwary gromadzą co roku tłumy jej miłośników, nawet z zagranicy;

-red. Krystynę Bochenek (żonę prof. A. Bochenka) za to, że uparła się nauczyć Polaków poprawnie pisać po polsku i organizuje co roku w

Kato

wicach niezwykle popularne dyktanda sprawdzające znajomość polskiej ortografii.

Bukiety obu „ śląskim królowym” wręczyli: Franciszek Pieczka i Tadeusz Kijonka.

Także w tej części uroczystości przedstawiono zebranym reprezentantkę młodszej generacji członków Towarzystwa, doktor nauk humanistycznych - Gabrielę Kreihs z Tychów i jej książkę o akcji dobroczynnej Kościoła katolickiego w Polsce w pamiętnych latach 1981-1990. Na promocję tej książki przybył także z Katowic prezes Księgarni św. Jacka ks. Krystian Kukowka.

Z kolei redaktor naczelny i wydawca miesięcznika „Śląsk” - Tadeusz Kijonka, poinformował zebranych o przyznaniu dyplomu Przyjaciela „Śląska”, wielkiemu polskiemu pisarzowi Wiesławowi Myśliwskiemu.

Na zakończenie tej części, Krystyna Loska przedstawiła gratulacje jakie napłynęły z okazji 15-lecia Towarzystwa wraz z życzeniami dla laureatów od: abp Damiana Zimonia, abp Alfonsa Nossola, wojewody opolskiego Elżbiety Rutkowskiej, z Sekretariatu Episkopatu Polski od

abp Piotra Libery oraz od pro f. Bożeny Hager-Małeckiej. Osobiście gratulacje przekazał poseł Andrzej Markowiak - lider współdziałającego z Towarzystwem, Salonu Raciborskiego.

W części trzeciej - artystycznej, z koncertem wystąpił jeden z najzdolniejszych pianistów młodego pokolenia Piotr Banasik z Katowic, uczeń prof. Andrzeja Jasińskiego. Tak się złożyło iż 15 lat temu, w dniu 4 kwietnia 1989 roku, w tej samej sali, kiedy narodziło się Towarzystwo Przyjaciół Śląska, wystąpił z koncertem, ojciec Piotra, znakomity pianista Michał Banasik.

Jego syn Piotr Banasik mimo młodego wieku (urodził się w 1982 roku) zdążył już zdobyć kilka znaczących nagród i wyróżnień krajowych i międzynarodowych. Jest stypendystą Ministra Kultury i Sztuki i szykuje się do udziału w Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina jaki w 2005 roku odbędzie się w Warszawie.

Część czwartą - biesiadną, rozpoczęło wspólne odśpiewanie trzech piosenek pasujących do uroczystości oraz tegorocznych laureatów Nagród Towarzystwa.

Pierwszą: „*Upływa szybko życie*” podarowano prof. Andrzejowi Bochenkowi, który upływające szybko życie, potrafi skutecznie przedłużać i za to mu podziękowano.

Drugą, poświęcono dzielnemu *Ambasadorowi Śląska* w Teksasie księdzu Franciszkowi Kurzajowi, któremu zadedykowano nostalgiczną pieśń: „*Marsz Polonia*”, chętnie śpiewaną nie tylko za granicą. Wreszcie, aby utrzymać się w nastroju, odśpiewano pieśń patriotyczną śpiewaną na Śląsku jeszcze w czasach plebiscytu i powstań śląskich: „*Jak długo na Wawelu*”.

Prezes Towarzystwa podziękował wszystkim, którzy uświetnili „Święto Ślązaków” i zaprosił w kuluary, na kołocz z Raciborza i dobre wino. Kołocz szybko zginął ze stołów, nie zabrakło wina.

^ - Spotkanie z Tadeuszem Kijonką w cyklu *Zrozumieć Śląsk*

W dniu 16 czerwca 2004 r. w Domu Literatury w Warszawie, w cyklu *Zrozumieć Śląsk*, odbyło się spotkanie z wybitnym publicystą, działaczem, redaktorem naczelnym miesięcznika „Śląsk” - Tadeuszem Kijonką.

Tematem spotkania były *Spory o Śląsk* z próbą odpowiedzi na pytanie: *Dokąd zmierza Śląsk?*

Prelegenta powitał prezes Związku Literatów Polskich Marek Wawrzekiewicz, zaś spotkanie prowadził prezes Towarzystwa dr Józef Musioł.

Tadeusz Kijonka w pięknym i mądrym wystąpieniu starał się odpowiedzieć na zadane mu pytanie, prezentując dwa scenariusze rozwoju sytuacji na Śląsku: „czarny”, który zmierza do zapaści oraz scenariusz „jasny”, wedle którego widać możliwości odbicia się od dna. Sytuację Śląska porównał do wieloryba wyrzuconego na morski brzeg. Bez pomocy nie ma on szansy, aby powrócić na głęboką wodę. W spotkaniu uczestniczyło ponad 60 osób.

Uroczystości z okazji 15-lecia śmierci Edmunda Jana Osmańczyka:

^ Spotkanie pod tablicą poświęconą E.J. Osmańczykowi na Placu Zamkowym 8

W dniu 6 października 2004 r., o godz. 16.00, harcerze ze szczepu „Rodła” oraz młodzież ze Szkoły Podstawowej im. Powstańców Śląskich w Warszawie zaciągnęli, z pocztami sztandarowymi, wartę pod tablicą poświęconą EJ. Osmańczykowi przy Placu Zamkowym nr 8.

O 16.15 - Prezes dr J. Musioł powitał w imieniu Towarzystwa Przyjaciół Śląska zebranych przy domu, w którym mieszkał i tworzył Edmund Jan Osmańczyk.

Zebrani uczcili minutą ciszy pamięć EJ. Osmańczyka w 15-lecie Jego śmierci.

Harcerze przypomnieli 5 prawd Polaków w Niemczech uchwalonych na Kongresie Związku Polaków w Niemczech w Berlinie 6 marca 1938 r. oraz odśpiewali pieśń Rodła, do której słowa napisał EJ. Osmańczyk.

W imieniu Senatu RP, Towarzystwa Przyjaciół Śląska i Szkoły im. Powstańców Śląskich w Warszawie złożono wieńce i kwiaty oraz zapalono pod tablicą znicze.

^ Promocja książki: *EDMUND JAN OSMANČZYK. Dziennikarz-publicysta-parlamentarzysta we wspomnieniach bliskich i przyjaciół.*

W tym, samym dniu tj. 6 października 2004 r. w Klubie Księgarza na Starym Mieście w Warszawie, Towarzystwo Przyjaciół Śląska w Warszawie zorganizowało promocję książki wydanej z inicjatywy Towarzystwa, przez Uniwersytet Opolski i Senat RP.

Otwarcia promocyjnego spotkania, które zgromadziło bardzo wielu znakomitych gości, dokonał szef Klubu Księgarza - Jan Rodzeń.

Prezes Towarzystwa dr Józef Musioł witając licznie zebranych, szczególnie serdecznie wyróżnił tych, którym dane było poznać i współpracować kiedyś z Edmundem Janem Osmańczykiem i zechcieli się tym podzielić w książce. Podkreślił, że książka powstała ze sprzężenia trzech współdziałających ze sobą sił i instytucji. Inicjatorem jej wydania było Towarzystwo Przyjaciół Śląska w Warszawie (Edmund Jan Osmańczyk był członkiem pierwszego składu Zarządu Towarzystwa wybranego 4 kwietnia 1989 roku). Książkę przygotowali znakomici historycy z Opolskiego Uniwersytetu- prof. Stanisław S. Nicieja i Marek Masnyk. Nie byłoby tej książki bez pomocy w jej wydanie Senatu Rzeczypospolitej i szefa Kancelarii Senatu ministra Adama Witalca.

Na początek znany aktor, członek Towarzystwa, Olgierd Łukaszewicz, przeczytał cztery wybrane fragmenty książki.

Prof. Stanisław S. Nicieja, nawiązując do tych fragmentów, przedstawił portret E.J. Osmańczyka. Zaś po przeczytaniu kolejnych dwóch fragmentów książki prof. Marek Masnyk opowiedział o założeniach książki i procesie jej powstawania. Natomiast Jolanta Klimowicz Osmańczyk wspominając męża podziękowała inicjatorom i twórcom książki.

Po wyczerpaniu chętnych do wspomnień o E.J. Osmańczyku, zaproszono zabranych, wśród których, oprócz wyżej wymienionych byli między innymi: szef Kancelarii Senatu - minister Adama Witalec, znany pisarz Ryszard Kapuściński, Zygmunt Broniarek, Kira Gałczyńska, Stanisław Głabiński, prof. Ryszard Matuszewski, prof. Anna Magierska z mężem Andrzejem, prof. Barbara Sulek-Kowalska, na lampkę wina. Często- wano również śląskimi kluskami i modrą kapustą.

Spotkanie relacjonowało Polskie Radio, zaś Jolanta Eros przygotowała z niej relację dla III Programu Telewizji Polskiej.

^ „Nadciągają Ślązacy. Czy istnieje narodowość śląska?”

Na początku grudnia 2004 r. ukazała się pod powyższym tytułem książka wydana staraniem Towarzystwa Przyjaciół Śląska, przez Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR w Warszawie.

O książce tej Kazimierz Kutz, na łamach „Gazety Wyborczej” w cotygodniowym felietonie pt. *Pielgrzymowanie* (16.12.2004 r.) napisał następujące zdania:

... z prawdziwą radością powitałem książkę wydaną przez Towarzystwo Przyjaciół Śląska w Warszawie pt. „Nadciągają Ślązacy. Czy istnieje narodowość śląska?” pod redakcją Lecha M. Nijakowskiego. Sąto eseje Jerzego Gorzelika, Tadeusza Kijonki, Krzysztofa Kwaśniewskiego, Marka S. Szczepańskiego, Jacka Wodza i Kazimierzy Wódz, Lecha M. Nijakowskiego, Doroty Simonides, Mariana Grzegorza Gerlicha, Bogusława Wyderki i Henryka Wańka. Praca ta, czytam na tylnej okładce, „oświeśla wywołany przez Ruch Autonomii Śląska i gorąco dyskutowany problem „narodowości śląskiej”, związany z próbą rejestracji Związku Ludności Narodowości Śląskiej.

To bardzo ważna i cenna książka. Po tym, co wokół ustawy o mniejszościach narodowych i etnicznych działo się ostatnio w Sejmie i Senacie, książka ukazuje się w najwłaściwszym momencie i ma bardzo dobrze brzmiący tytuł. Dla wszystkich zainteresowanych współczesną problematyką Śląska, w tym także niżej podpisanego, książka ta stać się może rodzajem solidnego „podpiwniczenia” świadomości regionalnej. Zwłaszcza, że zestaw autorów nie jest chórem, który śpiewa tę samą melodię. Zapewniają to choćby odmienne temperamenty i właściwości umysłowe Jerzego Gorzelika i Tadeusza Kijonki. Dlatego czyta się tę książkę chwacko, bo każdy z autorów zachowuje swój tembr głosu, swoją intelektualną odmienną i wiedzę. I choć jest monotematyczna - bo jakże mogło być inaczej-nie zanudza ani nie kleci prowincjonalnie. Nie jest też wąsko zaadresowana do samych Ślązaków. Powiem więcej: może być bardzo ważnym kompendium wiedzy o Śląsku zwłaszcza dla ludzi spoza Śląska, którzy mają potrzebę albo nawet głód dowiedzenia się czegoś o nim z ust osób kompetentnych. Niejako z pierwszej ręki. Bo dzisiejsza sprzeczność pomiędzy uchwalonym ostatnio martwym prawem państwowym a gulgocącym życiem społecznym na Górnym Śląsku sprawia, że jest w kraju wiele osób, które będą chciały zgłębić ów tajemniczy dysonans. I dowiedzieć się prawdy. Bo idzie śląski top; „nadciągają Ślązacy” ze swoimi odmiennymi sprawami, wolą etniczną. Wyłażą spod starej miotły i domagają się swego.

**^ - Śląska Biesiada Świąteczna
(15 grudnia 2004 r. Zamek Ostrogskich w Warszawie).**

Biesiadę prowadzili wspólnie: prezes Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie dr Józef Musioł i poseł Andrzej Markowiak - lider Salonu Raciborskiego, którzy z wielką radością powitali wszystkich tych, którzy licznie przybyli do gościnnego Ślązakom Zamku Ostrogskich.

Z zaproszenia skorzystali także śląscy parlamentarzyści, posłowie na Sejm i senatorowie. Sejm RP oprócz współgospodarza *Biesiady* posła Andrzeja Markowiaka, reprezentowali: posłanka Barbara Blida oraz posłowie: Andrzej Gałązewski, Piotr Mateja, Tomasz Tomczykiwicz.

Natomiast Izbę Wyższą: profesor Dorota Simonides, nowo wybrana senator- Krystyna Bochenek, której pogratulowano wyboru, oraz senator Stanisław S. Nicieja, współautor pięknie wydanej książki o Edmundzie Janie Osmańczyku, która ukazała się w 15-lecie śmierci tego Wielkiego Polaka i Ślązaka.

Biesiada składała się z czterech, ściśle powiązanych z sobą, części.

Pierwsza, to promocja serdecznie polecanej książki wydanej z inicjatywy Towarzystwa wspólnie z Wydawnictwem Naukowym SCHOLAR, pod znamienym i bardzo aktualnym tytułem *Nadciągają Ślązacy. Czy istnieje narodowość śląska?* Książkę, jej autorów i wydawców przedstawił zebrany inicjator jej powstania i redaktor, członek Zarządu Towarzystwa - Lech M. Nijakowski.

W drugiej części - najwybitniejsza znawczyni śląskiej kultury i tradycji, prof. Dorota Simonides, przypomniała żyjącym na warszawskim bruku, śląskie tradycje i obyczaje związane ze Świętami Bożego Narodzenia.

W części trzeciej - wysłuchano śląskiej gwary w oryginalnym wykonaniu gości z Żędowic ze Śląska Opolskiego, zwycięzcy konkursu „Pogodomy po naszymu czyli po śląsku” w kategorii młodzieżowej w 1997 roku Tomasza Koja i jego mamy Edyty - Ślązaczki Roku 2004. Natomiast zadaniem znanego aktora scen warszawskich - Andrzeja Grabarczyka było przedstawienie śląskiej wersji znanego wiersza Juliana Tuwima *Lokomotywa*, przygotowaną przez Jana Wadasa z Chełmna Śląskiego oraz kilkunastu śląskich dowcipów, wybranych z książek *Humoru śląskiego* zebranych i opracowanych przez prof. Dorotę Simonides.

Czy Andrzej Grabarczyk dobrze mówił po śląsku oceniał jury w składzie Edyta i Tomasz Kój. Egzamin wypadł wyśmienicie, za co aktor otrzymał torbę raciborskiego kołocza.

W końcowej biesiadnej części, najpierw wystąpiła z krótkim świątecznym recitałem laureatka *Szansy na sukces* i *Koncertu Debiutów na Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu* sprzed dwóch lat - Marzena Korzonek z Raciborza, która rozpoczęła niedawno, po ukończeniu studiów prawniczych w Krakowie, aplikację sędziowską w Gliwicach. Po recitalu poprowadziła wspólne kołędowanie, zakończone dzieleniem się opłatkiem i życzeniami świątecznymi przeniesionymi następnie w kuluary, gdzie czekał na uczestników: kołocz i wino. Kołocza po pewnym czasie, niestety, zabrakło, wina co nieco zostało.

Za nim jednak przystąpiono do realizacji programu *Biesiady* miało miejsce następujące ważne wydarzenie - niespodzianka. W listopadzie 2004 roku pewien były karłus z Godowa, obchodził po cichu, jak to Ślązak, 50-lecie swej pracy. Nie byłoby w tym niczego dziwnego gdyby nie to, że tego człowieka znają i kochają wszyscy w Polsce. Za to co zrobił, a zrobił ogromnie dużo, otrzymał wiele nagród i wyróżnień w Polsce i za granicą. Zagrał znakomite role w teatrach: Jeleniej Góry, Krakowa i Warszawy, jest jednym z najbardziej cenionych aktorów polskiego kina. Kto go nie pamięta z *Pokolenia* - A.Wajdy, *Matki Joanny od aniołów* i *Quo vadis* - J.Kawalerowicza, *Pamiętnika znalezionej w Saragossie* - Wojciecha Hasa, *Żywota Mateusza* - Witolda Leszczyńskiego. Kto nie pamięta popularnego do dziś Gustlika z serialu *Czterej pancerni i pies*.

Z myślą o nim Kazimierz Kutz napisał główną rolę w filmie *Perła w koronie* i rolę w *Paciorkach jednego różańca*. Kto nie pamięta jego wspaniałych ról w *Austerii* - Juliana Strykowski, *Chłopach* - Jana Rybkowskiego, *Potopie* - Jerzego Hoffmana, w *Weselu* i *Ziemi obiecanej* - A.Wajdy oraz w filmach Jana Jakuba Kolskiego z wielką rolą Jańcza *Wodnika*, za którą zebrał wiele nagród. Gdyby wyliczyć wszystkie jego wybitne i znaczące role filmowe i teatralne zajęłoby to co najmniej kilkanaście minut.

Tym Jubilatem, od 50 lat obecnym w teatrze, filmie oraz w Polskim Radio, jest nie kto inny jak, laureat nagrody naszego Towarzystwa w 1998 roku - Franciszek Pieczka...

W *ty*m momencie uczestnicy *Biesiady* wstali i wzruszonemu Jubilatowi zaśpiewali: *Sto lat*.

Franku - powiedział prezes J.Musiół - *posiadasz najwyższe order, ale masz przede wszystkim wielki ludzki szacunek, uznanie i ogromną popularność, masz też naszą ogromną wdzięczność za to co nam wszystkim dajesz, życzymy ci więc jeszcze dużo zdrowia, abyś mógł nadal robić to co lubisz, a na co my czekamy.*

Od zebranych Franciszek Pieczka otrzymał - oprócz najserdeczniejszych życzeń - bukiet kwiatów oraz torbę śląskiego kołocza z cukierni braci Malcharczyków z Raciborza.

opr. J.C.

2. O pracy Zarządu

Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Śląska zbiera się co miesiąc, w zasadzie w drugie wtorki.

W jego posiedzeniach uczestniczą także przewodniczący: Komisji Rewizyjnej oraz Sądu Koleżeńskiego.

Poniżej przedstawiamy syntetyczne relacje o pracy Zarządu i problemach jakimi się zajmował w okresie od marca 2004 do marca 2005.

9 marca 2004 r.

Przyjęto informację sekretarza Kapituły Nagrody o wynikach głosowania na kandydatów do Nagród Towarzystwa w 2004 r. W głosowaniu wzięło udział 36 z 37 członków Kapituły (jeden zmarł), w tym wszyscy laureaci dotychczasowych Nagród. Głosowano na 12 zgłoszonych kandydatów do Nagród. Najwięcej głosów uzyskali: prof. Andrzej Bochenek oraz ks. Franciszek Kurzaj, którzy zostali laureatami Nagród. O przygotowanie laudacji postanowiono zwrócić się do prof. Zbigniewa Religi (dla A. Bochenka) i Marii Pańczyk-Pozdziej (dla ks. F.Kurzaja). Przyjęto też przedstawiony przez sekretarza generalnego projekt scenariusza *Święta Ślązaków* w Warszawie postanawiając poprosić o prowadzenie *Święta* Krystynę Loskę. Zatwierdzono projekt zaproszenia na *Święto Ślązaków*.

W sprawach różnych: zatwierdzono tekst laudacji dla miesięcznika „Śląsk” z okazji ukazania się 100 numeru tego niezwykle ważnego i po-

trzebnego czasopisma; skierowano list do Marszałka Sejmiku Śląskiego z podziękowaniem za życzliwe odniesienie się do inicjatywy wydania drukiem materiałów dotyczących Powstań Śląskich pochodzących z Instytutu im. J. Piłsudskiego w Nowym Jorku oraz list do Marszałka Sejmu RP z interwencją w sprawie braku odpowiedzi na nasze wystąpienie. Przyjęto nowych członków Towarzystwa oraz uznano, że pilnym jego zadaniem w 2004 roku jest zapewnienie wzrostu szeregów Towarzystwa w związku z procesem starzenia się i wykruszania członków. Przyjęto również informację prezesa o jego udziale w uroczystościach 75-lecia urodzin K.Kutza oraz z okazji wydania 100 numeru „Śląska”, podczas której Prezes Towarzystwa otrzymał dyplom Przyjaciela „Śląska”.

13 kwietnia 2004 r.

Wysłuchano informacji sekretarza generalnego o przygotowaniach do *Święta Ślązaków* w Warszawie w dniu 27 kwietnia 2004 r. uzupełniając porządek o promocję książki dr Gabrieli Kreihs (członka naszego Towarzystwa) *Dobro ukryte w archiwach. Akcja dobroczynna Kościoła katolickiego w czasie kryzysu gospodarczego i politycznego w Polsce lat 1981—1990*.

Zatwierdzono sprawozdanie finansowe i bilans Towarzystwa za rok 2003 r. wraz z wnioskiem Komisji Rewizyjnej o udzielenie absolutorium. Komisja podkreśliła staranność w planowaniu i dokumentowaniu wydatków oraz znaczący wzrost opłacalności składek członkowskich.

W sprawach różnych: zapoznano się z wydanym Biuletynem nr 2 Towarzystwa uznając, że spełnia on cele jakie zakładano; przyjęto projekt listu gratulacyjnego w związku z 25-leciem kapłaństwa ks. prof. Jerzego Szymika. Odnotowano: pozytywną reakcję Marszałka Sejmu na prośbę w sprawie wyposażenia żony E. J. Osmańczyka w komputer; ukazanie się publikacji o Towarzystwie w „Gazecie Wyborczej” i miesięczniku „Śląsk”. Prezes poinformował o udziale w międzynarodowej konferencji poświęconej Wojciechowi Korfantemu zorganizowanej przez Towarzystwo Obrony Zachodnich Kresów Polski w Krakowie oraz o najbliższych planach Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”.

18 maja 2004 r.

Dokonano oceny i rozliczenia *Święta Ślązaków* w dniu 27 kwietnia 2004 r.

Zgodnie uznano tegoroczne Święto za jedną z najlepszych imprez zorganizowanych przez Towarzystwo, trafność wyboru laureatów Nagród Towarzystwa oraz osoby prowadzącej uroczystość. Rangę imprezy podniósł udział parlamentarzystów oraz ministra z Kancelarii Prezydenta RP. Uroczystość miała dobry wydźwięk propagandowy, relacjonowała ją prasa, radio i - za sprawą Jolanty Erol - III Program Telewizji Polskiej.

Skarbnik poinformował, że impreza, łącznie z Nagrodami i kosztami wydania Biuletynu, kosztowała 11,5 tys. złotych. Sekretarz generalny poinformował, że laureat Nagrody ks. F. Kurzaj, w dowód uznania dla Towarzystwa i tego co ono robi dla Śląska, postanowił przekazać na konto Towarzystwa tysiąc dolarów.

Zarząd przyjął do realizacji zaproponowany przez sekretarza generalnego plan dalszych poczynąń w 2004 r. Zaaprobował treść nekrologu po śmierci członka założyciela i laureata nagrody Towarzystwa prof. Jana Szczepańskiego oraz zapoznał się z tekstem opublikowanego Jego pożegnania opublikowanego na łamach „Gazety Wyborczej”.

Przyjęto oświadczenie w odpowiedzi red. J. Krzykowi z „Gazety Wyborczej” po próbie zdezwuowania Towarzystwa na łamach tej gazety oraz wystąpienie sekretarza generalnego do redakcji „Przeglądu” w sprawie nieuczciwej i obraźliwej recenzji występu Zespołu Pieśni i Tańca *Śląsk* w Warszawie z programem *Helokanie*. (Okazało się, że dziennikarz napisał recenzję przed koncertem). Zaaprobowano treść listu do Jana Goczoła w związku z 70 rocznicą urodzin poety, członka założyciela Towarzystwa oraz laureata nagrody z 2001 r. Zapoznano się z podziękowaniem nadesłanym przez ks. Jerzego Szymika za życzenia z okazji i 25-lecia kapłaństwa. Postanowiono złożyć gratulacje Rudolfowi Paciokowi w związku z nominowaniem go na honorowego obywatela jego rodzinnej gminy Kornowac.

Z zadowoleniem przyjęto informację o wpisaniu Góry św. Anny na listę 32 najznakomitszych zabytków.

8 czerwca 2004 r.

Przyjęto informację Lecha Nijakowskiego o stanie prac nad wydaniem przez Towarzystwo wspólnie z Wydawnictwem Naukowym SCHOLAR książki pt. *Nadciągają Ślązacy. Czy istnieje narodowość śląska?* Redaktor książki zaproponował aby książka składała się z na-

stepujących części: Z uwag wprowadzających o płaszczyznach dyskusji o narodowości śląskiej (L. Nijakowskiego), części: *Ślązacy o sobie* (J. Gorzelika i T. Kijonki); *Okiem socjologa* (prof. K. Kwaśniewskiego, prof. M. S. Szczepańskiego, prof. J. i K. Wodzów; L. Nijakowskiego); *Okiem etnologa* (D. Simonides); *Okiem językoznawcy* (B. Wyderki); *Okiem artysty* (J. Goczola, H. Wańka). Ponadto książka zawierać będzie indeks osobowy oraz wybraną bibliografię o Śląsku i Ślązakach. Zarząd postanowił podpisać z Wydawnictwem umowę wpłacając 7.200 zł. Przyjęto, że za napisanie tekstów autorom zapłaci się honorarium po 800 zł za arkusz wydawniczy. Poproszono Stefana Stellerę o przygotowanie projektu okładki książki i ewentualnie ilustracji. Książka powinna być gotowa nie później niż w pierwszych dniach grudnia br.

Omówiono ostatnie wydarzenia na Śląsku: aferę ze zdjęciem godła państwowego z Urzędu Starosty w Strzelcach Opolskich. Podkreślono iż przez to, że sprawa została mocno nagłośniona może mieć swoje pozytywne aspekty. Ludzie dostrzegli godło i jego ważność. Mniejszość niemiecka została ostrzeżona, że są granice na co może być przyzwolenie. Podkreślić także należy zdecydowaną postawę wojewody opolskiego w odniesieniu do pomników niemieckich i miejsc upamiętnień. Zamiast niekończących się dyskusji z przedstawicielami mniejszości władza zaczęła egzekwować prawo. Inną sprawą jest wydanie kontrowersyjnych wydawnictw: *Polsko-niemieckiego glosariusza regionalnego Województwa Opolskiego* oraz *Historii Narodu Śląskiego*. Pierwsze wydawnictwo to owoc bałaganu w Urzędzie Marszałkowskim z tolerowaniem kontrowersyjnego historyka jako doradcy Marszałka. Natomiast *Historia Narodu Śląskiego*, to przykład pseudonaukowca, który chce, za wszelką cenę, zaistnieć.

W związku z tym, że sprawy te spotkały się z właściwą odprawą władz oraz zainteresowały się nimi organy prokuratury, nie istnieje potrzeba włączenia się Towarzystwa.

Sekretarz generalny poinformował, że Rada Warszawy podjęła w dniu 13 maja 2004 r. uchwałę o nadaniu na Bemowie jednej z ulic imienia EJ. Osmańczyka.

Przyjęto ramowy scenariusz spotkania z T. Kijonką w cyklu *Zrozumieć Śląsk* oraz plan posiedzeń Zarządu w II półroczu.

6 lipca 2004 r.

Dokonano oceny spotkania z T. Kijonką w cyklu *Zrozumieć Śląsk*. W spotkaniu wzięły udział 62 osoby. Nadal więc występuje problem korzystania przez członków i sympatyków Towarzystwa z zaproszeń, czyli tzw. frekwencji na organizowanych tego typu imprezach. Podkreślono wysoki poziom wystąpienia T. Kijonki.

Zatwierdzono koncepcję Biuletynu nr 3 Towarzystwa przedstawioną przez redaktora naczelnego. Ma on składać się z dwóch części: I. *-Życia Towarzystwa*, II. — *Ślązacy w Warszawie*. Ta druga część ma służyć prezentacji różnych materiałów o Ślązakach żyjących w stolicy. Biuletyn będzie zawierał także zestaw zdjęć z ostatniego roku działalności Towarzystwa.

W sprawach różnych poinformowano o ukazaniu się oświadczenia Towarzystwa skierowanego do „Gazety Wyborczej” (wobec nie wydrukowania go w tej gazecie), na łamach „Śląska” oraz ukazaniu się Biuletynu Instytutu Pamięci Narodowej w całości poświęconego sprawom śląskim, w tym obronie Katowic w 1939 r.

Wobec ukazania się w „Przeglądzie Politycznym” (periodyku liberałów) artykułu dość jednostronnie traktującego zagadnienie Ziem Zachodnich, z próbą dezawuowania mitu ich powrotu do Polski, L. Nijakowski podjął się napisania polemiki z autorem tego artykułu, która ma się ukazać w kolejnym numerze.

Sekretarz generalny poinformował o kończących się pracach nad wydaniem książki wspomnieniowej o EJ. Osmańczyku jaka ukaże się z inicjatywy naszego Towarzystwa staraniem Uniwersytetu Opolskiego przy finansowym wsparciu Senatu RP.

7 września 2004 r.

Lech Nijakowski - redaktor książki *Nadciągają Ślązacy. Czy istnieje narodowość Śląska?* poinformował o stanie prac nad książką. Zgodnie z umową zawartą z Wydawnictwem, Towarzystwo otrzyma do dyspozycji 200 egzemplarzy książki po jej wydaniu.

Z kolei sekretarz generalny poinformował, że książka: *Edmund Jan Osmańczyk. Dziennikarz-publicysta-parlamentarzysta we wspomnieniach bliskich i przyjaciół* została już wydrukowana. Jest ona hołdem zło-

żonym temu Wybitnemu Rodakowi w 15-lecie Jego śmierci. Promocję książki planuje się 4 października br. w Opolu oraz 6 października w Warszawie. Książkę tę otrzymają, z Kancelarii Senatu RP (finansującej jej wydanie) wszyscy senatorowie.

Sekretarz generalny Towarzystwa przedstawił ponowioną przez Tadeusza Kijonkę w artykule *Gdy pomarli powstańcy* „Śląsk” nr 8(106) ideę budowy Muzeum Powstań Śląskich w Katowicach. Przypomniął, że w 1967 r. nastąpiło odsłonięcie w Katowicach Pomnika Powstańców Śląskich. W uroczystości uczestniczyło 150 tys. ludzi. Pomnik stał się znakiem rozpoznawczym miasta. W 1969 r. - a więc 35 lat temu - władze przyrzekły budowę Muzeum Powstań Śląskich, najbardziej ludowych powstań w polskich dziejach. Wówczas też został rozstrzygnięty konkurs architektoniczny na ten obiekt. I nagrodę otrzymał Jurand Jarecki. Zaprojektowano również lokalizację muzeum przy monumencie Trzech Skrzydeł, jako jego dopełnienie. Budowa muzeum miała być wypełnieniem testamentu Jerzego Ziętka. Niestety powstańcy śląscy nie doczekali realizacji tego projektu, ostatni - Jan Wadas - zmarł 5 lutego 2003 r.

Do gromadzenia pamiątek powstańczych przystąpiono już w 1922 r., wówczas też zrodziła się idea wybudowania w przyszłości placówki muzealnej. W końcu sierpnia 1939 r. zbiory liczyły 4289 eksponatów, lecz straty wojenne były ogromne i sięgały od 36 do 86 % zbiorów, w niektórych działach aż od 92 do 100%. Z 32 sztandarów powstańczych nie ocalał żaden.

Nie udało się odzyskać, pomimo kampanii prasowej, Domu Powstańca przy ul. Matejki w Katowicach, który został zbudowany w roku 1937 ze składek powstańców (był on siedzibą Związku Powstańców Śląskich). Starania o odzyskanie Domu podejmował w latach 80-tych W. Sala. W tym Domu można by było zlokalizować muzeum.

T. Kijonka proponuje, by wzorem Warszawy przeznaczyć na muzeum jakiś inny obiekt, dodając do tematyki powstańczej, śląskie losy w czasie okupacji, wywózki, stalinowskie represje wobec Ślązaków itp.

W czasach gdy pojawiają się różni interpretatorzy powstań i losów Ślązaków wybudowanie muzeum jest ostatnią, być może, okazją stworzenia na to jakiegoś antidotum. Tym bardziej, że na Śląsku nie ma nawet, ani popularnej biografii W. Korfanteo, ani nie wznowiono pomników powstańców śląskich, nie ma też wznowienia wydanej w 1982 roku „En-

cyklopedii Powstań Śląskich". Czy nie jest to wstydem? Taka sytuacja nie jest możliwa w Warszawie w odniesieniu do Powstania Warszawskiego, ani w Wielkopolsce.

W 2006 roku przypada 85 rocznica wybuchu III Powstania Śląskiego, może więc poprzeć T.Kijonkę w uświadamianiu tych faktów. Przynajmniej starać się odzyskać budynek Domu Powstańca, który mógłby zostać przekształcony w MUZEUM - DOM PAMIĘCI.

Członkowie Zarządu nie dostrzegli jednak możliwości realnego wsparcia inicjatywy T. Kijonki. Sprawę pozostawiono bez dalszego biegu. Nie oznacza to, że nie będzie się próbować do niej w jakiś sposób powrócić, kiedy tylko znajdzie się ku temu taka możliwość. W sprawach różnych sekretarz generalny poinformował:

- o odmowie dofinansowania filmu o Henryku Sławiku, bohaterskim Ślązaku, który uratował w czasie okupacji ok. 5000 Żydów na Węgrzech.

Doceniając znaczenie filmu Towarzystwo, żyjące z dotacji, nie jest w sta

nie - ze swych skromnych środków - wspierać tak kosztownych przedsięwzięć,

- o ukazaniu się w miesięczniku „Śląsk” artykułu o naszym Towarzystwie pt. *Ślązaczka z jabłkiem w dłoni* i informacji o ulicy Osmańczyka w Warszawie.

- Lech Nijakowski powrócił do propozycji powołania przy naszym Towarzystwie Zespołu Naukowego. Sprawę postanowiono rozpatrzyć, po skonkretyzowaniu przez wnioskodawcę propozycji.

5 października 2004 r.

Wysłuchano informacji członka Zarządu L. Nijakowskiego o drugim czytaniu w Sejmie ustawy o mniejszościach narodowych i etnicznych. Lech Nijakowski stały ekspert sejmowej Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych poinformował, że projekt ustawy, po drugim czytaniu, powrócił do komisji. Istnieje szansa na jej uchwalenie. Jest ona potrzebna głównie ze względu na jej porządkujący charakter. Ustawa - co jest ważne - zawiera definicję mniejszości. Najwięcej kontrowersji wzbudza kwestia podwójnych nazw miejscowości (wnioski zmierzają aby podnieść granicę z 8% do 10% zamieszkiwania mniejszości w danej gminie, aby można było stosować podwójne nazwy miejscowości i urzędów) oraz kwestia języka pomocniczego, co może dotyczyć 79 gmin w Polsce. Re-

ferent uznał, że nie powinniśmy się obawiać tej ustawy gdyż ona, np. w przypadku mniejszości niemieckiej, zmierza do uporządkowania spraw zamykając dotychczasową dowolność w podejmowanych działaniach i interpretowaniu prawa.

Dr M. Starczewski poinformował o udziale w dyskusji na temat obrony Śląska we wrześniu 1939 roku zorganizowanej w redakcji „Śląska” w Katowicach. Przebiegała ona w rzeczowej atmosferze. Uczestniczyli w niej historycy różnych ośrodków naukowych, znawcy problematyki. Podtrzymano krytyczny osąd publikacji jakie ukazały się swego czasu w „Gazecie Wyborczej” opartej na jednostronnej interpretacji źródeł. Właściwie jednego źródła przywiezionego z Niemiec przez prof. Kaczmarka - raportu gen. Neulinga.

Dr M. Starczewski podtrzymał w czasie dyskusji swoje poglądy na ten temat wyrażane w licznych publikacjach naukowych (patrz wywiad z dr. M. Starczewskim w II części Biuletynu). Ponadto zwrócił uwagę, że sprawa obrony „wieży spadochronowej” ma wymiar pewnego symbolu, tak też trzeba ją traktować. Relacja z dyskusji ukaże się na łamach „Śląska”.

Sekretarz generalny poinformował o przebiegu obchodów 15 rocznicy śmierci EJ. Osmańczyka w Opolu oraz promocji książki: *Edmund Jan Osmańczyk. Dziennikarz-publicysta — parlamentarzysta we wspomnieniach bliskich i przyjaciół*” w tym mieście, w których wziął udział. W dniu 4 października 2004 r. o godz. 9.00 odprawiona została w kościele na Górcie w Opolu, przy którym znajduje się grób EJ. Osmańczyka, msza święta w jego intencji. Po mszy opolscy senatorowie (A. Klepacz, prof. S. Nicieja i prof. D. Simonides), przedstawiciele władz wojewódzkich: wojewody oraz Marszałka Województwa Opolskiego, złożyli wieńce na grobie, w towarzystwie żony Osmańczyka, jego wnuczka oraz przybyłego specjalnie ze Szwajcarii na te uroczystości, syna najbliższej współpracownicy Osmańczyka H.Lehr - Józefa Pelaeza.

O godz. 13 żonę Osmańczyka - Jolantę Klimowicz z wnukiem, senatorów RP i autorów książki, z przybyłym z Katowic T. Kijonką oraz sekretarzem generalnym Towarzystwa, przyjął Marszałek Województwa Grzegorz Kubat. W czasie spotkania sekretarz generalny Towarzystwa przekazał Marszałkowi materiały o naszym Towarzystwie i znaczek.

O godz. 17.00 w sali Senatu Uniwersytetu Opolskiego, z udziałem senatorów i Wojewody Opolskiego odbyła się promocja książki, którą

proceedził rektor Uniwersytetu Opolskiego prof. Józef Musielok. Zgromadziła ona oprócz autorów książki liczne grono opolskich intelektualistów, znajomych i przyjaciół EJ. Osmańczyka. W czasie promocji dzielono się wspomnieniami o EJ. Osmańczyku. Padła nawet propozycja, zgłoszona przez prof. Karola Joncę, aby pomyśleć o pomniku EJ. Osmańczyka. Żona EJ. Osmańczyka wręczyła autorom książki pamiątkowe medale wydane z okazji 50-lecia Związku Polaków w Niemczech.

Dzień wcześniej w niedzielę 3 października 2004 r. wieńce na grobie EJ. Osmańczyka złożyli przedstawiciele Rodziny „Rodłaków”.

Zastanawiać musi nieobecność, w uroczystościach i na promocji, przedstawicieli władz miejskich, które rok temu wywołały prasową awanturę, po tym jak wiceprezydent Opola nazwał Osmańczyka *komunistycznym kolaborantem*. Obchody oraz promocja książki były relacjonowane przez prasę, lokalne radio i telewizję.

W kolejnym punkcie obrad podkreślono zgodnie szkodliwość publikacji M. Smolorza *Śląska nie oddamy* w wysoko nakładowej „Gazecie Wyborczej”. Wiele sądów i osądów autora jest bardzo wątpliwej wartości oraz krzywdzących. Spostponowany został miesięcznik „Śląsk” i jego red. naczelny T. Kijonka. Protest po tym artykule zgłosili dotychczasowi rektorzy Uniwersytetu Śląskiego, a także prof. Marian Kisiel. Oświadczenia tego drugiego jednak - jak to jest w jej zwyczaju - gazeta nie opublikowała. Zarząd postanowił nie podejmować polemiki z autorem uznając, że gazecie głównie chodzi o prowokowanie w czysto merkantylnych celach.

Sekretarz Kapituły Nagrody Towarzystwa zaproponował rozpoczęcie procedury zgłaszania kandydatów do nagród Towarzystwa w 2005 roku. Zwrócił uwagę na bogactwo wielkich wydarzeń, które mogą mieć znaczący wpływ na wyłanianie laureatów. Zdobyć przez Otylię Jędrzejczak z Rudy Śląskiej-Kochłowic trzech medali na Olimpiadzie w Atenach (złotego i dwóch srebrnych), otrzymanie przez Wojciecha Kuczoka z Chorzowa najbardziej prestiżowej w Polsce Nagrody literackiej „NIKE” za powieść „Gnój”, zaś przez Magdalенę Piekorz z Sosnowca - Złoty Łwów na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni za film „Pręgi”, nakręcony według scenariusza Wojciecha Kuczoka. Przypomniał o Henryku Wańku, którego powieść *Finis*

Silesiae uzyskała nominację do nagrody Nike oraz o abp. Damianie Zimoniu obchodzącym w tym roku 70-lecie urodzin. Zarząd podjął decyzję o rozpoczęciu procedury zgłaszania kandydatów do Nagród w terminie do końca 2004 r.

Postanowiono zorganizować *Śląską Biesiadę Świąteczną* w dniu 15 grudnia br. poświęconą śląskim obyczajom świątecznym, połączoną z promocją książki naszego Towarzystwa „*Nadciągają Ślązacy. Czy istnieje narodowość śląska?* ”. *Śląską Biesiadę* pragnie z nami współorganizować *Salon Raciborski*, co przyjęto z zadowoleniem.

9 listopada 2004 r.

Oceniono jako udaną i sprawnie przeprowadzoną zarówno uroczystość złożenia wieńców pod tablicą EJ.Osmańczyka, szczególnie zaś wysoko promocję książki w szczelnie wypełnionych salach prestiżowego Klubu Księgarza na Starym Rynku w Warszawie w dniu 6 października 2004 r.. Tego typu imprezy - stwierdzono - sprzyjają promocji spraw i ludzi ze Śląska oraz działalności Towarzystwa.

Przyjęto zaproponowany przez sekretarza generalnego projekt zaproszenia na *Śląską Biesiadę Świąteczną* w dniu 15 grudnia 2004 r. na Zamku Ostrogskich w Warszawie. *Biesiada* składać się ma z kilku części logicznie z sobą powiązanych.

Imprezę wspólnie poprowadzą: prezes dr Józef Musioł oraz poseł Andrzej Markowiak

Zarząd przyjął z zadowoleniem informację sekretarza generalnego o tym, że po konsultacjach z prezesem i wiceprezesami, wystąpił w imieniu Towarzystwa do Marszałka Sejmu Józefa Oleksego z propozycją wydania przez Wydawnictwo Sejmowe, „Księgi wspomnień” o wielkim uczonym, humaniście działaczu państwowym i parlamentarzysty - prof. Janie Szczepańskim. Roboczy tytuł książki: *JAN SZCZEPAŃSKI. Uczony-humanista-parlamentarysta. Księga wspomnień*. Propozycja Towarzystwa uzyskała przychyłność Marszałka, w rezultacie czego Wydawnictwo Sejmowe otrzymało polecenie wydania proponowanej książki w możliwie najkrótszym terminie. W jej przygotowaniu będzie uczestniczył sekretarz generalny Towarzystwa.

Planuje się przygotowanie *Księgi* tak, aby mogła się ona ukazać do 14 września 2005 roku (dzień 92 urodzin Jana Szczepańskiego).

Sekretarz generalny poinformował zebranych, że na prośbę Uniwersytetu Opolskiego postanowiono poprzeć jego wniosek, zwracając się do Kancelarii Prezydenta z prośbą o przyspieszenie procedury nadania polskiego obywatelstwa obywatelce Białorusi (polskiego pochodzenia) prof. dr hab. Natalii Yishniakowej, wybitnej uczzonej w dziedzinie psychologii. Sprawą, w imieniu Zarządu, zajmie się wiceprezes R. Pillardy.

Przewodniczący Komisji Rewizyjnej poinformował o wyjeździe na kilka miesięcy za granicę. W związku z tym przyjęto do wiadomości, że zastępować go będzie Kazimierz Kostecki. Skład Komisji należy uzupełnić o jednego członka. Po śmierci Henryka Koniecznego i Alojzego Guziera są w niej dwa wakaty. Statut dopuszcza uzupełnienie składu nie więcej jednak niż 1/3 ogółu członków.

7 grudnia 2004 r.

Przyjęto podział zadań w związku ze *Śląską Biesiadą Świąteczną* oraz zaproponowany przez sekretarza generalnego szczegółowy scenariusz jej przebiegu. Obie propozycje przyjęto bez większych uwag z podkreśleniem napiętego programu *Biesiady*, którego realizacja wymaga dynamicznego i sprawnego jej prowadzenia.

Wysłuchano informacji skarbnika o stanie finansów Towarzystwa oraz zobowiązaniach płatniczych w 2004 roku. Skarbnik poinformował, że po ostatnich wpływach od sponsorów (5 tys. z Węgłokoksu z Katowic), Towarzystwo będzie mogło wywiązać się ze wszystkich zobowiązań płatniczych: zapłacić drugą ratę Wydawnictwu Naukowemu SCHOLAR oraz resztę należności autorom książki *Nadciągają Ślązacy...* z należnymi podatkami.

Są również zapewnione środki na sfinansowanie *Śląskiej Biesiady Świątecznej*, na co przewiduje się ok. 4.350 zł. Wyrażono nadzieję, że sytuację finansową poprawi sprzedaż książki oraz składki członkowskie jakie zamierza się zebrać w czasie *Biesiady*.

Przedyskutowano zaproponowane przez sekretarza generalnego kierunki działalności Towarzystwa w 2005 r. oraz zatwierdzono plan posiedzeń Zarządu w I półroczu 2005 r.

Przyjęte kierunki przewidują między innymi: przyjęcie w 2005 r. 50 nowych (młodych) członków z zastanowieniem się nad formami ich aktywizacji w ramach Towarzystwa; zdobycie środków na działalność w wy-

sokości 25-30 tys. zł; zorganizowanie 4 imprez w roku dla członków, w tym: *Święta Ślązaków* z wręczeniem Nagród, imprez z cyklu *Zrozumieć Śląsk* oraz tradycyjnej już *Biesiady Świątecznej*. Do tego dojdzie promocja książki o Janie Szczepańskim oraz uroczystość nadania nazwy EJ. Osmańczyka ulicy na Bemowie. Ponadto wszyscy członkowie otrzymają Biuletyn nr 3 Towarzystwa.

Do przedstawionych przez sekretarza generalnego propozycji zgłoszono dodatkową. Lech Nijakowski zaproponował utworzenie Zespołu Naukowego przy Towarzystwie, którego zadaniem byłoby przygotowywanie opinii Towarzystwa w różnych istotnych dla Śląska i Ślązaków sprawach, inicjowanie badań naukowych dotyczących problemów śląskich a także np. konkursów na prace magisterskie o określonej tematyce śląskiej.

Zarząd, po wymianie uwag dotyczących istoty pomysłu, postanowił zobowiązać pomysłodawcę Lecha Nijakowskiego oraz dr Mieczysława Starczewskiego do przedstawienia na posiedzeniu Zarządu w marcu 2005 r. przemyślanej koncepcji tej propozycji z proponowanymi nazwiskami członków takiego Zespołu i zadaniami.

Lech Nijakowski poinformował o spotkaniu powstającego w Warszawie *Klubu Opolan* i wynikających z tego wnioskach.

Głównym zadaniem Klubu, który stara się o rejestrację jako stowarzyszenie, ma być wszechstronna promocja województwa Opolskiego (dbałość o rozwój Opolszczyzny, organizowanie życia społecznego, kulturalnego i turystycznego, kształtowanie opinii i ocen społeczeństwa o rozwoju Opolszczyzny itp.). Klub jest mocno popierany przez władze województwa, a jego liderem jest poseł Jerzy J. Pilarczyk -sekretarz stanu w Ministerstwie Rolnictwa. Spotkanie *Klubu Opolan* odbyło się w restauracji *Gościniec Opolski* przy ul. Puławskiej, siedzibą Klubu będzie Biuro Przedstawicielstwa Województwa w Warszawie. Postanowiono lidera *Klubu Opolan* zaprosić na *Śląską Biesiadę Świąteczną*.

W sprawach różnych: wyrażono uznanie i podziękowanie Lechowi Nijakowskiemu za doprowadzenie do wydania książki *Nadciągają Ślązacy. Czy istnieje narodowość śląska?* Książka została pięknie wydana, także za sprawą ilustracji Stefana Stellera. Wszystko wskazuje na to, że będzie ona wydarzeniem wydawniczym; ponadto ukazała się ona w bardzo do-

brym czasie, kiedy po uchwaleniu ustawy o mniejszościach narodowych i etnicznych na nowo rozwinęła się dyskusja o Ślązakach.

11 stycznia 2005 r.

Na półmetku kadencji władz Towarzystwa dokonano oceny realizacji wniosków z ostatniego Walnego Zgromadzenia. Ocenę przedstawił sekretarz generalny.

Zarząd odbył od Walnego Zgromadzenia 22 protokołowane posiedzenia, dokonał podziału obowiązków, powołał Zespół Organizacji Imprez i Wydawnictw (nie powołał Zespołu Inicjatyw i Propagandy), przyjął regulamin pracy Zarządu, wydrukowano statut Towarzystwa, ustanowiono logo Towarzystwa, wprowadzono legitymacje członkowskie, wykonano znaczki Towarzystwa, wydajemy co roku Biuletyn, który przyczynia się do lepszego informowania członków i sympatyków o działalności, znacząco uporządkowano sprawy członkowskie.

Od 26 listopada 2002 r. do 11 stycznia 2005 r. przyjęto 54 nowych członków. Dobrze by było przyjąć w tym czterolecu stu członków.

Po stronie sukcesów można zapisać: wzrost rangi Towarzystwa (dla wielu członków przynależność do Towarzystwa jest zaszczytem) i naszych Nagród; wydawanie Biuletynów oraz dwóch książek; sfinalizowanie sprawy nadania w Warszawie ulicy na Bemowie imienia Edmunda Jana Osmańczyka.

Nie udaje się realizować jeszcze wniosku, aby raz w kwartale odbywała się chociaż jedna impreza dla członków. Brak lokalu nie sprzyja kontaktowi z członkami, nie ma możliwości ich poznawania i wysłuchania, a także wciągania do aktywnej działalności. Stąd też członkowie często nastawiają się jedynie na odbiór tego co im się proponuje.

Poprawiła się ściągłość składek członkowskich, lecz jest ona jeszcze niezadowolająca.

Najpilniejszymi zadaniami uznano:

- przygotowanie nowej, młodszej zmiany kierowniczej na Walne Zgromadzenie w 2006 r., która zapewni istnienie i kontynuowanie

- działalności Towarzystwa w przyszłości;

- odmłodzenie składu Towarzystwa przez przyjmowanie nowych (młodych) członków;

-wypracowanie szerszej formuły zdobywania środków na działalność, aby to zadanie nie spoczywało na jednym, czy dwóch członkach

Zarządu;

-otwarcie na nowe pomysły członków, które by trafiały w potrzeby i zainteresowania większości.

Sekretarz Kapituły Nagrody poinformował, że z prawa zgłoszenia kandydatów do Nagród skorzystało w bieżącej edycji 9 osób, 6 dotychczasowych laureatów Nagród oraz 3 członków władz Towarzystwa. Ogółem zgłoszono 10 kandydatów. Na wniosek sekretarza Kapituły Zarząd podjął następujące uchwały: przyznać także w 2005 r. dwie równorzędne Nagrody; zatwierdzić listę zgłoszonych kandydatów do głosowania; określić termin głosowania do 20 lutego 2005 r., natomiast termin wręczenia Nagród na dzień 27 lub 28 kwietnia 2005 r.

Z zadowoleniem odnotowano znaczne zainteresowanie książką *Nadciągają Ślązacy. Czy istnieje narodowość śląska?* oraz dobre jej dotychczasowe recenzje. Podziękowania za książkę otrzymaliśmy od prof. Henryka M. Góreckiego, Piotra Palecznego, abp. Alfonsa Nossola, prof. J. Tkocza z Katowic, zaś Kazimierz Kutz napisał bardzo pochlebną recenzję książki.

Przyjęto informację sekretarza generalnego przekazaną mu przez Jana Goczola i Marię Pańczyk-Pozdziej o tym, że na obchodach 150-lecia pierwszej śląskiej emigracji do Teksasu, jakie odbyły się w grudniu w San Antonio i Pannie Marii, obecni byli przedstawiciele województwa Śląskiego i Opolskiego, biskup z Gliwic, kardynałowie i biskupi amerykańscy. Prezydent USA przysłał specjalne posłanie skierowane do ponad 200 tys. rzeszy żyjących tu potomków dawnych emigrantów ze Śląska. Zabrakło jedynie jakiegokolwiek gestu ze strony władz centralnych lub Stowarzyszenia Wspólnota Polska.

Nie przyjęto propozycji sekretarza generalnego Jana Cofałki, aby zainicjować wykonanie i wmurowanie przy ul. Mokotowskiej w Warszawie, na domu gdzie mieszkał i tworzył prof. Jan Szczepański, tablicy pamiątkowej. Stwierdzono, że nie stać nas na to, zaś do takiej inicjatywy jest znacznie więcej uprawnionych.

Przyjęto do wiadomości uzupełnienie składu Komisji Rewizyjnej Towarzystwa o Mirosława Kościelniaka, który-zgodnie ze statutem - wszedł na wakujące po śmierci Henryka Koniecznego i Alojzego Guziela miejsce.

Zarząd postanowił wystosować list do prof. Mariana F. Holony w związku z 70-leciem Jego urodzin.

8 lutego 2005 r.

Zarząd dokonał oceny stanu finansów Towarzystwa oraz przyjął plan zdobywania środków na rok 2005. Z zadowoleniem przyjęto informację skarbnika o poprawiającym się, z roku na rok, stanie opłacalności składek członkowskich. Ciągle jednak prawie połowa członków nie spełnia tego obowiązku o czym należy przypomnieć przy najbliższej okazji. Cieszy możliwość wznowienia współpracy z Bankiem Śląskim. Analiza deklaracji dotychczasowych sponsorów wskazuje, że Towarzystwo powinno *znaleźć* zabezpieczenie finansowe na planowane przedsięwzięcia w 2005 r., co nie zwalnia od poszukiwania nowych źródeł zdobywania środków na działalność.

Postanowiono zorganizować 16 marca 2005 r. w Domu Literatury, wspólnie z *Salonem Raciborskim*, kolejne spotkanie z cyklu *Zrozumieć Śląsk* z prof. Stanisławem S. Nicieją, jego tematem uczynić: *Pamięć historyczną Polaków*.

Redaktor naczelny Biuletynu Towarzystwa poinformował Zarząd o zawartości trzeciego numeru, przygotowanego do druku. Przy tej okazji Lech Nijakowski przypomniał o zgłoszonym pomysle wydawania „*Kalendarza Śląskiego*”, wzorowanego na podobnych publikacjach ukazujących się na Śląsku. Stwierdził, że istnieje zapotrzebowanie na tego typu wydawnictwo. Po wymianie poglądów Zarząd uznał ten pomysł za godny podjęcia. Postanowiono sprecyzować zawartość kalendarza, przy założeniu, że będzie on przeznaczony dla mieszkańców Śląska w rozumieniu historycznym, z dzisiejszymi województwami: dolnośląskim, śląskim i opolskim.

W sprawach różnych:

- nie przyjęto propozycji zgłoszonej przez Damiana Pelca z Biura Województwa Opolskiego w Warszawie, zorganizowania w stolicy *Salonu Poezji Śląskiej*. Stwierdzono, że Towarzystwo nie czuje się powołane dla promowania, bliżej nie określonej amatorskiej poezji z przymiotnikiem: śląska. Przypomniano, że w szeregach Towarzystwa i wśród naszych sympatyków są wybitni poeci: Jan Goczoł, Tadeusz Kijonka, czy też ks. Jerzy Szymik, których twórczość promujemy.

-z zadowoleniem przyjęto informację Kancelarii Prezydenta RP, że spełniona została nasza prośba w sprawie przyspieszenia przyznania obywatelstwa polskiego pro f. dr hab. Natalii Yishniakowej. Pani Profesor otrzymała polskie obywatelstwo „na Gwiazdkę”.
 -Sekretarz generalny poinformował: o nowych niestosownych żartach w wypowiedzi lidera mniejszości niemieckiej posła Henryka Kroila, któremu nie podoba się Maria Konopnicka, patronka ulicy w Opolu przy której mieści się jego biuro poselskie; o zamiarze nadania szkole w Oleśnie jako patrona Fritza Habera, laureata Nagrody Nobla urodzonego na Śląsku, co wywołało sprzeciw w związku z przeszłością noblisty (szerzej o tych sprawach w rozdziale 6, części I Biuletynu).

Oprac.: sekretarz generalny Towarzystwa

3. Ważniejsze uchwały, oświadczenia i wystąpienia

^ - Ulica Edmunda Jana Osmańczyka

W odpowiedzi na inicjatywę Towarzystwa Przyjaciół Śląska Rada miasta stołecznego Warszawy nadała jednej z ulic na Bemowie imię Edmunda Jana Osmańczyka.

Poniżej publikujemy tekst uchwały w tej sprawie: Uchwała Nr XXX/607/2004 Rady miasta stołecznego Warszawy w sprawie nadania nazwy ulicy

w Dzielnicy Bemowo m.st. Warszawy

Na podstawie art. 18 ust. 2 pkt 13 ustawy z dnia 8 marca 1990 r. o samorządzie gminnym (Dz. U. z 2001 r. Nr 142, poz. 1591 ze zm.) - Rada m.st. Warszawy uchwala, co następuje:

§

1. Ulicy bez nazwy, zlokalizowanej w Dzielnicy Bemowo m. ST. Warszawy, nadaje się nazwę Edmunda Jana Osmańczyka.
2. Usytuowanie oraz przebieg ulicy, o której mowa w ust. 1 ilustruje szkic sytuacyjny stanowiący załącznik do uchwały.
3. Ulica, o której mowa w ust. 1, nie jest drogą publiczną w rozumieniu ustawy z dnia 21 marca 1985 roku o drogach publicznych (Dz. U. z 2000 r. Nr. 71, poz. 938 ze zm.)

Wykonanie uchwały powierza się Prezydentowi m.st. Warszawy.

§

Uchwała wymaga ogłoszenia w Dzienniku Urzędowym Województwa Mazowieckiego i wchodzi w życie po upływie 14 dni od dnia ogłoszenia.

Przewodniczący Rady m. st. Warszawy Jan Maria Jackowski.

^ „TROPEM listu. Co kto pamięta?”

(tekst z „Gazety Wyborczej” Katowice - Bielsko 2.04.2004 r.)

W opublikowanym w marcowym numerze miesięcznika „Śląsk” oświadczeniu Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie dr Józef Musioł napisał, że dziennikarze „Gazety Wyborczej” zamiast zajmować się sprawą wieży spadochronowej, powinni zainteresować się losem cennego archiwum powstańczego przywiezionego do Polski z Nowego Jorku.

Tak się złożyło, że to ode mnie, dziennikarza „Gazety Wyborczej”, dr Musioł dowiedział się o całej sprawie. Powiedziałem mu o tym w rozmowie telefonicznej w grudniu 2002 r. To wtedy nasza „Gazeta” jako pierwsza opisała sprawę i to wtedy pan doktor oraz wiele innych osób zadeklarowało swoje poparcie dla pomysłu opracowania i wydania tych archiwów w formie książkowej.

Cieszy mnie, że po kilkunastu miesiącach pan doktor przypomniał sobie o archiwach. Może niewiele jeszcze czasu trzeba, aby przypomniał sobie również o swojej złożonej wtedy obietnicy.

Józef Krzyk

^- Towarzystwo Przyjaciół Śląska w Warszawie w odpowiedzi red. Józefowi Krzykowi z katowickiej „Gazety Wyborczej” na artykuł „Co kto pamięta?” z 2.04.2004 r.

Doprawdy zadziwiające obyczaje panują w pretendującej do miana poważnej, „Gazecie Wyborczej”. Nie stać jej na wydrukowanie niewygodnego, skierowanego do jej Redaktora Naczelnego w dniu 13 stycznia br. oświadczenia Towarzystwa Przyjaciół Śląska, przeciwko dezawuowaniu obrony Śląska w 1939 roku oraz w obronie śląskich intelektualistów protestujących przeciw manipulowanym i nierzetelnym publikacjom

„Gazety”. Za to, kiedy znalazło się na Śląsku czasopismo, któremu widać chodzi o coś więcej niż tylko o szukanie taniej sensacji i nasze oświadczenie ujrzało światło dzienne (patrz „Śląsk” nr 3 z marca 2004 r.), wówczas odezwał się red. Józef Krzyk.

W ogóle jednak nie przejął się meritum sprawy. Nie tłumaczy dlaczego „Gazeta” nie opublikowała przesłanego jej oświadczenia. Nie odpowiada na pytanie: dlaczego swymi publikacjami „Gazeta” uwłacza pamięci tysięcy Ślązaków, którzy oddali życie w 1939 r. i dalszych latach okupacji hitlerowskiej; dlaczego przyczynia się do tego, aby Polska zobaczyła Śląsk jako kolaborujący z hitlerowcami, a nie podziwiała ów **światowy fenomen jakim było wielowiekowe trwanie Ślązaków przy Macierzy**; wreszcie jaką to historię Śląska chce „Gazeta” odmitologizować, czy tylko tę o białą-czerwoną barwę?

Red. Józefowi Krzykowi, chodzi o załatwienie prywatnej sprawy, więc rzuca się na prezesa Towarzystwa Przyjaciół Śląska dr. Józefa Musioła, aby go w odwecie pokąsać. Czyni to jednak bez zadania sobie trudu sprawdzenia aktualnego stanu sprawy o której pisze, bo „Gazeta” i tak wie wszystko najlepiej. Dlatego też redaktor strzela kulą w płot znieważając Towarzystwo, starające się od 15 lat służyć wiernie Śląskowi, w miarę naszych skromnych przecież społecznych sił i możliwości.

Domagamy się, więc aby redaktor J. Krzyk (możliwie tak szybko jak potrafi obrażać), przeprosił nasze Towarzystwo na łamach „Gazety” za nieprawdziwy zarzut, jakoby dowiedziawszy się właśnie od niego (?) *o losach cennego archiwum powstańczego, przywiezionego do Polski z Nowego Jorku...* nie uczyniło nic na rzecz realizacji i pomysłu opracowania i wydania tych dokumentów w formie książkowej.

Informujemy go więc, że jeszcze przed przysłaniem do Polski pierwszej partii tych bezcennych dokumentów odbyliśmy spotkanie Zarządu Towarzystwa z prof. Edwardem Długajczykiem pytając go, jak możemy wspomóc śląskich historyków, którzy wystąpili z inicjatywą wydania odnalezionych dokumentów. W rezultacie tej rozmowy oraz podjętych ustaleń, wystąpiliśmy z poparciem ich starań do Marszałka Województwa Śląskiego oraz do prof. Darii Nałęcz - dyrektora naczelnej Archiwów Państwowych. Poczyniliśmy też starania na rzecz uzyskania przychylności Centralnego Archiwum Wojskowego. Na wszystko mamy odpowiednie dokumenty.

Kiedy zaś, w związku z brakiem właściwego zrozumienia władz Województwa Śląskiego dla tej idei, sprawa groziła fiaskiem, wystąpiliśmy do Marszałka Województwa z interwencją wyrażając nadzieję, że stanowisko Marszałka oraz Urzędu Marszałkowskiego ulegnie zmianie, dzięki czemu Śląsk nie utraci szansy wzbogacenia się o oryginalne źródła o Powstaniach Śląskich. Po tej interwencji otrzymaliśmy w dniu 23 stycznia 2004 r. od marszałka Michała Czerskiego zadowalającą nas odpowiedź, za którą mogliśmy mu podziękować (kopię pisma Marszałka Województwa Śląskiego, by nie było niedomówień, przesyłamy w załączeniu).

Z odpowiedzi Marszałka wynika, że zostało zapalone zielone światło dla tej inicjatywy. Marszałek nie tylko objął honorowy patronat nad inicjatywą upowszechnienia tych zbiorów, lecz zapewnił środki finansowe na współpracę Państwowego Archiwum w Katowicach, z Muzeum Gómośląskim w Bytomiu oraz Biblioteką Śląską w Katowicach. Muzeum Gómośląskie zakupiło specjalistyczne urządzenie do utrwalania materiałów archiwalnych. Państwowe Archiwum w Katowicach tworzy bazę danych pozwalającą na odszukanie w zbiorze poszczególnych osób. Pomoc w napełnianiu tej bazy zadeklarowała Biblioteka Śląska. Wszystkie te działania uzgadniane są - jak pisze Marszałek - z Naczelną Dyrekcją Archiwów Państwowych w Warszawie.

W świetle powyższych faktów domagamy się od red. J. Krzyka satysfakcjonujących przeprosin na łamach „Gazety”. Informujemy, że gdybyśmy się, z jakiegoś powodu ich nie doczekali, to zastrzegamy sobie prawo wystąpienia do Rady Etyki Mediów z powodu publicznego znieważenia Towarzystwa przez opublikowanie nieprawdy.

Sekretarz generalny Towarzystwa
Jan Cofałka

(Oczywiście tego oświadczenia „Gazeta Wyborcza” nie opublikowała, uczynił to natomiast na swych łamach miesięcznik „Śląsk” nr 6 (104) czerwiec 2004 r.)

^ - Fragmenty listu do Marszałka Sejmu RP w sprawie wydania książki o prof. Janie Szczepańskim

W 2004 r. z inicjatywy Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie, w 15-lecie śmierci Edmunda Jana Osmańczyka, ukazała się wspaniale wydana przez Uniwersytet Opolski i Senat RP książka: *EDMUND JAN*

OSMANCZYK. *Dziennikarz-publicysta-parlamentarzysta we wspomnieniach bliskich i przyjaciół*. W książce tej udało się zebrać niezwykle cenne wspomnienia o tym wybitnym publicyście, patriocie i parlamentarzystcie napisane przez osoby, które stykały się z nim i przyjaźniły w różnych okresach i sferach Jego działalności.

Ośmielone powodzeniem tego przedsięwzięcia Towarzystwo Przyjaciół Śląska zwraca się do Pana Marszałka z serdeczną prośbą o umieszczeniu w planie wydawniczym Wydawnictwa Sejmowego podobnej książki poświęconej zmarłemu 16 kwietnia 2004 r. w wieku 90 lat - **prof. JANOWI SZCZEPAŃSKIEMU - jednemu z najwybitniejszych Polaków ubiegłego wieku, uczonemu światowego formatu, wielkiemu humaniście oraz działaczowi państwowemu, w tym parlamentarzystcie**. Uważamy bowiem, że obowiązkiem obecnego pokolenia Polaków jest pozostawienie wiedzy o tak wybitnych ludziach przyszłym pokoleniom. Trzeba się też z tym spieszyć, bo istnieje jeszcze - ostatnia już chyba możliwość - zebrania i opublikowania w proponowanej książce bezcennych wspomnień o Profesorze napisanych przez osoby Jemu bliskie, w tym przyjaciół.

Proponowana książka powinna - naszym zdaniem - zawierać wspomnienia i eseje o Profesorze jako:

- **wybitnym uczonym, socjologu humaniście**. Jego dorobek w socjologii jest imponujący. Badał strukturę społeczeństwa polskiego, niezwykle awans chłopstwa związany przede wszystkim ze zmianami struktury społeczeństwa polskiego w procesie uprzemysłowienia. Zajmował się rolą inteligencji i problematyką oświaty i szkolnictwa wyższego. W latach 1971-1973 kierował pracami zespołu ekspertów, który opracował głośny „Raport o stanie oświaty w Polsce”;

Na jego podręcznikach: *Socjologia. Zarys problematyki i metod, Elementarne pojęcia socjologii, czy Zagadnienia socjologii współczesnej* wychowało się kilka pokoleń polskiej inteligencji. Profesora wymienia się w ścisłym gronie klasyków polskich i światowych socjologów, takich jak Ludwik Krzywicki, Florian Znaniecki, Stanisław Ossowski, Józef Chałasiński. Przy czym prof. Jana Szczepańskiego określa się mianem klasyka socjologii humanistycznej, bowiem w jego badaniach zawsze na czele znajdował się czynnik humanistyczny. W latach 1966 - 1970 Profesor przewodniczył Międzynarodowemu Stowarzyszeniu Socjologicznemu, zaś w latach 1971-1980 był wiceprezesem Polskiej Akademii Nauk;

- **wybitnym eseście i publicyście.** Jan Szczepański debiutował w 1937 r. jako poeta.

Do twórczości literackiej i eseistyki powrócił namówiony przez Wiesława Myśliwskiego oraz Wilhelma Szewczyka. Wydał wiele zbiorów znakomitych esejów: *Sprawy ludzkie* (1978) określane jako arcydzieło naszej humanistyki, *Odmiany czasu teraźniejszego*, *Zapytaj samego siebie* (1983) *Korzeniami wrosłem w ziemię* (1985), *O indywidualności* (1985) *Fantazje na temat czasu* (1999) oraz książki publicystyczne *Rozważania o Rzeczypospolitej* (1971) *Polskie losy* (1993);

-**działacz państwowym i parlamentarzystę.** Prof. Jan Szczepański był bezpartyjnym posłem na Sejm II, VI, VII i VIII kadencji. W VIII

kadencji Sejmu był przewodniczącym Komisji Nadzwyczajnej do kon

troli porozumień z Gdańska, Szczecina i Jastrzębia Zdroju, w latach 1982

- 1985 przewodniczącym Rady Społeczno-Gospodarczej przy Sejmie,

w latach 1977-1982 członkiem Rady Państwa, w latach 1971-1983 wice

przewodniczącym OK FJN, zaś w latach 1986- 1989 członkiem Rady

Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa;

-**człowieku prywatnym,** Jego zainteresowaniach, pasjach i przyjaźniach. Biorąc powyższe pod uwagę, raz jeszcze, zwracamy się do Pana

Marszałka o przychylną opinię w sprawie wydania książki pod roboczym

tytułem: **JAN SZCZEPAŃSKI - uczonego-humanista-działacz pań**

stwowy, z prośbą o powierzenie jej realizacji, w możliwie najkrótszym

czasie, Wydawnictwu Sejmowemu, bowiem duże znaczenie ma w tym

przypadku upływ czasu. Wiele osób do których należy zwrócić się o napi

sanie wspomnień, jest bardzo zaawansowana wiekowo.

Towarzystwo Przyjaciół Śląska, którego jednym z założycieli był Profesor, deklaruje (w porozumieniu z żoną Jana Szczepańskiego), pomoc Wydawnictwu Sejmowemu w docieraniu do osób, które mogą napisać wspomnienia oraz zbieraniu dokumentacji ilustracyjnej, w tym fotograficznej.

Lista przyjaciół i osób bliskich Profesorowi, którym proponuje się napisanie wspomnień zostanie skonsultowana z żoną Profesora (...)

Z wyrazami szacunku i nadzieją na pozytywne ustosunkowanie się do naszej prośby

Sekretarz generalny
Jan Cofała

Prezes
dr Józef Musioł

^ - Marszałek Sejmu RP pozytywnie zaopiniował powyższą inicjatywę w rezultacie czego Szef Kancelarii Sejmu skierował list następującej treści do dyrektora Wydawnictwa Sejmowego:

**SZEF
KANCELARII SEJMU**

Warszawa, 3 listopada 2004 r.

**Pan
Andrzej Magierski
Dyrektor Wydawnictwa Sejmowego**

Przesyłam w załączeniu - zaakceptowany przez marszałka Sejmu RP Pana Józefa Oleksego - wniosek Towarzystwa Przyjaciół Śląska w sprawie wydania książki o prof. Janie Szczepańskim - wybitnym uczonym humaniście, działaczu państwowym i parlamentarzystę.

Uznając zasadność argumentacji autorów tej inicjatywy proszę o realizację wnioskowanego wydawnictwa w możliwie najkrótszym czasie.

Józef Mikosa

4. Laureaci Nagrody Towarzystwa w 2005 r.

Do jedenastej już edycji Nagród zgłoszonych zostało 10 znakomitych kandydatów. Ostatecznie, w wyniku głosowania 37 osobowej Kapituły Nagrody składającej się z laureatów dotychczasowych Nagród oraz członków władz Towarzystwa, najwięcej głosów uzyskali i tym samym otrzymają Nagrody w 2005 r.:

^ OTYLIA JĘDRZEJCZAK- za mistrzostwo w sporcie i wielkie serce

Za osiągnięte mistrzostwo na najwyższym światowym poziomie, wyrażone rekordem świata w pływaniu oraz zdobyciem, na jednych tylko Igrzyskach Olimpijskich, indywidualnie, trzech medali olimpijskich (złotego i dwóch srebrnych), co jest precedensowym wydarzeniem w naszym sporcie. Za wielkie serce, które nakazało Jej ten najcenniejszy, z takim trudem i kosztem ogromnych wyrzeczeń osiągnięty złoty olimpijski me-

dal, przekazać na licytację z przeznaczeniem zebranych pieniędzy na leczenie dzieci chorych na białaczkę.

Zdobywczyni złotego i dwóch srebrnych medali w pływaniu na Olimpiadzie w Atenach oraz rekordzistka świata w pływaniu urodziła się 13 grudnia 1983 r. w. Rudzie Śląskiej-Kochłowicach, gdzie nadal mieszkają jej rodzice. Ojciec pracował jako sztygar w kopami, mama prowadzi dom. Ma 18-letniego brata Szymona. Otylia obecnie mieszka w akademiku na Bielanych, jest studentką AWF i zawodniczką AZS AWF w Warszawie. Jej trenerem jest Paweł Słomiński. Jest wielce utalentowaną lecz zarazem bardzo ciężko pracującą zawodniczką. Połączenie talentu i pracy przyniosło jej dotychczasowe sukcesy i każe sądzić, że po nich nadejdą dalsze. Jest przesadna, kiedy startuje przed południem, płynie w białym czepku, po południu w czerwonym. Przed skokiem do wody zawsze się żegna.

Ma 186 cm wzrostu, waży 70 kg. Ma narzeczonego studenta AWF, zawodnika piłki wodnej. Uwielbia polski hip-hop.

Jak prawdziwa Ślązaczka lubi kluski śląskie i wręcz przepada za ciastem, którego musi sobie odmawiać.

Po Olimpiadzie kiedy przyjechała do rodzinnego miasta witało ją kilka tysięcy ludzi. Otrzymała od władz 3 pokojowe mieszkanie oraz tytuł Honorowej Obywatelki Rudy Śląskiej. Za zlicytowany złoty medal olimpijski uzyskano ponad 250 tys. zł, które przekazane zostały, według Jej życzenia, na leczenie dzieci chorych na białaczkę.

W prestiżowym plebiscycie „Przeglądu Sportowego”, „Tempa” i Telewizji Polskiej, została wybrana sportowcem 2004 roku w Polsce. Otylia Jędrzejczak - jak wskazano powyżej - dokonała nie lada wyczynu zdobywając aż trzy medale na jednej Olimpiadzie. Wyrównała tym samym rekord Ireny Szewińskiej sprzed 40 lat z Tokio. Przy czym Irena Szewińska złoty medal zdobyła wówczas w sztafecie 4x100 m zaś dwa srebrne w biegu na 200 m i w skoku w dal, zaś Otylia wszystkie medale zdobyła indywidualnie.

Ponadto wnioskodawcy napisali w uzasadnieniu, że Otylia Jędrzejczak najbardziej w 2004 r. rozślawiła nasz kraj i jej rodzinny Śląsk.

V DAMIAN ZIMON - biskup ludzi potrzebujących

Urodzony 25 października 1934 roku w Niedobczycach, w rodzinie górniczej. W 1952 roku uzyskał świadectwo dojrzałości w I Liceum Ogólnokształcącym im. Powstańców Śląskich w Rybniku. Studia filozo-

ficzno-teologiczne odbył w Śląskim Wyższym Seminarium Duchownym w Krakowie (1952-1957). Następnie był wikariuszem kolejno w Tychach, Pszowie, Katowicach. Od 1969 roku wicerektor Śląskiego WSD w Krakowie. W 1977 uzyskuje doktorat za dysertację „Uczestnictwo wiernych we Mszy św. na ziemiach polskich w XIX wieku w świetle modlitewników i podręczników liturgicznych. Studium historyczno-liturgiczne”. Od 1974 roku członek kolegium redakcyjnego „Gościa Niedzielnego”.

W latach 1975-1985 proboszcz parafii Niepokalanego Poczęcia w Katowicach i równocześnie 1975-1982 dziekan dekanatu Katowice-Północ.

8 maja 1985 roku wyniesiony do godności biskupa ordynariusza katowickiego.

25 czerwca 1992 roku ustanowiony arcybiskupem metropolii katowickiej.

W 1994 roku mianowany przez papieża Jana Pawła II członkiem IX Synodu Biskupów w Rzymie, poświęconego życiu konsekrowanemu i jego posłannictwu w Kościele i świecie.

Jako biskup i metropolita między innymi reaktywował „Caritas” w diecezji; powołał do istnienia Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży; erygował Studium Katolickiej Nauki Społecznej i Archidiecezjalne Kolegium Teologiczne; utworzył Radio Archidiecezji Katowickiej; przeprowadził Archidiecezjalny Kongres Trzeźwości.

Prof. Miodek napisał o abp. Damianie Zimoniu, że prowadzi on mądre duszpasterstwo społeczne na Górnym Śląsku i wyjątkowo wyczuwa śląski etos.

W 2004 r. arcybiskup Damian Zimoń obchodził 70-lecie urodzin. Znały jest powszechnie z otwartości i zaangażowania w sprawy społeczne. Przede wszystkim bliski mu jest los ludzi bezrobotnych i potrzebujących. Jest urodzonym optymistą, wyznaje zasadę trzech N: Nigdy Nie Narzekać!

Sekretarz Kapituły Nagrody
Jan Cofałka

5. Nowi członkowie Towarzystwa

Od marca 2004 r. do marca 2005 r. powitaliśmy w szeregach Towarzystwa 24 nowych członków: Przyjęci 9 marca 2004 r.

Danuta Galas - mgr rehabilitacji

Jan Przewłocki - historyk, prof. zwyczajny

Przyjęty 18 maja 2004 r.

Krzysztof Bugła - radca prawny

Przyjęci 8 czerwca 2004 r.

Krzysztof Kopytko - prawnik

Daniel Nosiadek - ekonomista

Przyjęci 7 września 2004 r.

Danuta Kłopocka-Obidniak - aktorka

Dorota Obidniak - germanistka

Katarzyna Pierchała - lekarz

Barbara Jędryszczuk-Piwkowska - właścicielka sklepu zielarsko-medycznego

Ewa Wójcik - tancerka

Jerzy Wójcik - dyr. artystyczny Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”

Przyjęci 7 grudnia 2004 r.

Sławomir Łodziński - nauczyciel akademicki

Robert Niezgoda - inżynier

Robert Paruzel - prac. naukowy

Anna Patrycy - menadżer

Paweł Porucznik - menadżer

Przyjęci 11 stycznia 2005 r.

Barbara Blida - posłanka na Sejm RP

Jolanta Erol - dziennikarka-reporterka III Programu Telewizji Polskiej

Jerzy Kosiński - prawnik

Zbigniew Leciejewski - nauczyciel akademicki

Roch Sulima - socjolog, prof. Uniwersytetu Warszawskiego

Grzegorz Ruszczyk - student

Przyjęci 8 lutego 2005 r.

Wanda Touma - prawnik

Hanna Zdunek-Antkowiak - solistka, śpiewaczka

6. Jubileusze, wspomnienia, ciekawostki

^ - Odznaczenia

Z okazji Jubileuszu 15-lecia Towarzystwa Prezydent RP postanowieniem z dnia 17 marca 2004 r. o nadaniu orderów i odznaczeń odznaczył: za wybitne zasługi w działalności w Towarzystwie Przyjaciół Śląska, za osiągnięcia w pracy zawodowej:

Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski - **Jana Cofalkę** - sekretarza generalnego Towarzystwa, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski - **Mariana Kobzę** - dyr. Szkoły Podstawowej im. Powstańców Śląskich w Warszawie i **Stefana Świtulę** - skarbnika Towarzystwa. Za zasługi w działalności w Towarzystwie Przyjaciół Śląska, za osiągnięcia w pracy zawodowej: Złotym Krzyżem Zasługi - **Anielę Kleszczyńską** - działaczkę Towarzystwa i **Bogdana Trześniowskiego** - członka Zarządu Towarzystwa. Srebrnym Krzyżem Zasługi - **Mirosława Kościelniaka** - działacza Towarzystwa i **Jadwigę Ramzę-Chadaj** - zastępcę dyrektora Szkoły Podstawowej im. Powstańców Śląskich w Warszawie;

Brązowym Krzyżem Zasługi - Lecha M. Nijakowskiego - członka zarządu Towarzystwa.

Szkoła Podstawowa im. Powstańców Śląskich w Warszawie, której dyrektorem jest Marian Kobza, a jego zastępcą Jadwiga Ramza-Chadaj, od lat popularyzuje wiedzę o Śląsku i jego tradycjach. Przy szkole działa także szereg drużyn harcerskich „Rodło”.

^ - Ślązacy w Teksasie

Ks. prałat Franciszek Kurzaj zaprosił na nasze *Święto Ślązaków* w Warszawie między innymi proboszcza parafii Panny Marii w Teksasie ks. Wojciecha Rejscha (patrz zdjęcie w aneksie), który przywiózł z sobą i rozdawał uczestnikom niezwykle wydawnictwo pt. „Śląscy Teksaszczycy. Emigracja ze Śląska do Teksasu w latach 1852-1859”, zawierające sylwetki śląskich Teksaszczyków. W tej książce (opracowanej przez Silesian Profiles Committee pod przewodnictwem Janet Dawson Ebrom, przełożonej na polski przez ks. Wojciecha Rejscha i wydanej przez Wydawnictwo Św. Krzyża w Opolu) oprócz sylwetek śląskich Teksaszczyków znajduje się między innymi: mapa Śląska z miejscami pochodzenia

rodzin śląskich Teksańczyków, mapa Teksasu z zaznaczonymi hrabstwami gdzie się osiedlili, krótką historię Teksasu, niektóre daty z historii, miejscowości urodzenia śląskich Teksańczyków, parafie ich pochodzenia oraz parafie i hrabstwa osiedlenia śląskich Teksańczyków.

^- Niektóre daty z historii

W niezwyklej książce o śląskich Teksańczykach (o której mowa powyżej) w części „Niektóre daty z historii” znajdujemy między innymi takie oto, godne przypomnienia daty z historii Śląska: 985-990 Śląsk stał się częścią kraju Mieszka I 990-1335 Śląsk w państwie Piastów (częścią państwa polskiego) 1335-1526 Śląsk pod władaniem królów czeskich 1526-1741 Śląsk pod panowaniem Habsburgów, władców Czech i Austrii

1740-1742 wojna austriacko - pruska o Śląsk 1742-1945 Śląsk w królestwie pruskim i państwie niemieckim 1871 Śląsk jako część Prus stał się częścią II Rzeszy Niemieckiej Z powyższych dat (nie uwzględniających przyłączenia części Śląska do Polski po I wojnie światowej) wynika, że Śląsk przez 345 lat był w państwie Piastów, przez 191 lat pod władaniem królów czeskich, 215 lat pod panowaniem Habsburgów, 129 lata w królestwie pruskim zaś przez 74 lata był częścią Rzeszy Niemieckiej.

^- 25-lecie kapłaństwa

12 kwietnia 2004 roku w Święta Wielkiejnocy, w rodzinnym Pszowie, jubileusz 25-lecia kapłaństwa obchodził ksiądz profesor i poeta Jerzy Szymik. Zarząd skierował do jubilata list, w którym między innymi napisaliśmy: *Łączymy się z wszystkimi tymi, którzy życzą Księdzu dużo zdrowia potrzebnego do dalszej służby Bogu i Kościołowi, z nadzieją, że Księdzu Profesorowi pozostanie także krzyż czasu na oczekiwane przez przyjaciół piękne poetyckie westchnienia.*

^- Wielka strata

16 kwietnia 2004 r. przeżywszy 90 lat zmarł w Warszawie, urodzony w Ustroniu na Śląsku, prof. Jan Szczepański, światowego uznania socjolog, wybitny intelektualista i humanista, parlamentarzysta Był on jednym

z członków założycieli Towarzystwa i laureatem jego Nagrody w 1996 roku. (Pożegnanie Jana Szczepańskiego w części II Biuletynu).

„Gazeta Wyborcza” przywłaszczająca sobie prawo oceniania ludzi, Profesorowi poświęciła zaledwie kilka zdań, w tym takie niesprawiedliwe: *Jednak potem władze PRL pozyskały słynnego socjologa.*

^ Honorowy obywatel

Rudolf Paciok, działacz Towarzystwa od 1989 roku, autor wielu książek, w tym pisanych w gwarze śląskiej „Fyrcoków”, został honorowym obywatelem swojej rodzinnej gminy Kornowac w pow. Racibórz. Na terenie tej gminy leży rodzinna miejscowość R.Pacioka - Rzuchów.

^- Siedemdziesięciolecie

13 maja 2004 roku 70 urodziny obchodził znakomity poeta, laureat Nagrody naszego Towarzystwa z 2001 roku Jan Goczoł z Opola. Jubilat otrzymał od Towarzystwa list z pozdrowieniami, zaś o świcie w dniu Urodzin od sekretarza generalnego bukiet składający się z 70 róż.

^ Kolekcjoner

Znany aktor scen warszawskich Andrzej Grabarczyk (ostatnio najbardziej znany jako Jerzy Chojnicki w telenoweli „Klan”) przyznał się w wywiadzie dla miesięcznika „Śląsk”(nr 7 z lipca 2004 r.): *...Należę do tego stowarzyszenia, (chodzi o Towarzystwo Przyjaciół Śląska) bo bardzo miło jest spotykać się i wymieniać poglądy...* Przy okazji wyszło na jaw, że Pan Andrzej zbiera pocztówki z Katowic i ma podobno jedną z największych kolekcji pocztówek ze Śląska, której mogłoby mu pozazdrościć Muzeum Śląskie. Zbiera też łyżki do butów z terenów Śląska. Ma ich już ponoć prawie osiemdziesiąt.

^- Nasi o wypędzeniach i roszczeniach

W gorących dyskusjach jakie wywołały niemieckie roszczenia wobec Polski prezentowane przez Erikę Steinbach i Związek Wypędzonych, uczestniczyli, po stronie historycznej prawdy, ostrzegając nasz rząd przed skutkami bierności, dwaj członkowie naszego Towarzystwa prezentując swoje poglądy na łamach polskiej prasy. Byli to, pracujący w Berlinie mecenas Stefan Hambura oraz mecenas Jacek Franek z Warszawy.

Stefan Hambura jako pierwszy prawnik złożył już w berlińskim sądzie pozew warszawianki, której ojca poważnie okaleczono w Auschwitz z zamiarem dowiedzenia, że III Rzesza złamała życie klientce.

>• Złota Otylia

Otylia Jędrzejczak z Rudy Śląskiej zdobywając podczas Igrzysk Olimpijskich w Atenach trzy medale w pływaniu, złoty i dwa srebrne, wyrównała 40-letni rekord Ireny Szewińskiej, która na Olimpiadzie w Tokio także zdobyła trzy medale, dwa srebrne indywidualnie i złoty w sztafecie, natomiast Otylia Jędrzejczak wszystkie medale zdobyła indywidualnie.

Jak było do przewidzenia Otylia Jędrzejczak zdecydowanie zwyciężyła w tradycyjnym 70 plebiscycie „Przeglądu Sportowego”, „Tempa” i Telewizji Polskiej na „10 Najlepszych Sportowców Polskich 2004 roku”. Złota Otylia zdobyła w tym plebiscycie ponad 1.655 tys. punktów wyprzedzając drugiego Roberta Korzeniowskiego o ponad 370 tys.

^ - Piłkarski rekord

Godzi się przypomnieć o innym sportowym wyczynie „rodem ze Śląska”. Otóż do Ernesta Wilimowskiego „Ezi”, znakomitego piłkarza chorzowskiego Ruchu ciągle należy rekord strzelonych bramek w jednym meczu na mistrzostwach świata w piłce nożnej.

Strzelił on bowiem w jednym meczu na Mistrzostwach Świata w piłce nożnej we Francji w 1936 r. cztery bramki (w 53, 59, 89 i 118 minucie) i to nie było komu, bo Brazylijczykowi. Polska ostatecznie, po dogrywce, przegrała ten mecz 5 : 6.

^ - Polski Wallenberg

Prezydent Aleksander Kwaśniewski 31 sierpnia 2004 r. pośmiertnie odznaczył Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski Henryka Sławika, który uratował na Węgrzech w czasie wojny ok. 5 tysięcy Żydów, to jest więcej niż słynny Oskar Schindler i szwedzki dyplomata Raoul Wallenberg. Odznaczenie za dziadka odebrała wnuczka. Prezydent obejrzał również film nakręcony przez Marka Maldisa i Grzegorza Łubczyka pt. „Polski Wallenberg. Rzecz o Henryku Sławiku”.

Niezwykła epopeja Sławika - powstańca śląskiego, socjalisty, dziennikarza i radnego - zaczęła się we wrześniu 1939 roku. Po ucieczce z Pol-

ski został internowany na Węgrzech. Tam zaprzyjaźnił się z Józefem Antalem, radcą węgierskiego MSW (ojcem pierwszego po upadku komunizmu premiera Węgier), który wyciągnął go z obozu. Sławik został delegatem emigracyjnego rządu polskiego na Węgrzech. Kierował tajną operacją przerzutu uciekinierów do polskich sił zbrojnych na Zachodzie. Do współpracy wciągnął Antala.

Razem zaczęli ratować polskich Żydów, którzy uciekali z Polski na Węgry. Wystawiali im fałszywe dokumenty potwierdzające, że są Polakami wyznania katolickiego. Gdy w 1944 roku rozpoczęła się okupacja Węgier, Niemcy aresztowali Sławika. Torturowany nie wydał nikogo. W taki sposób uratował Antalowi życie. Trafił do obozu w Matchausen, gdzie zginął rozstrzelany w 1944 roku. Sławika wydał Niemcom na Węgrzech Polak. O Sławiku pamiętali jednak uratowani Żydzi, którzy przyznali mu medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

W zeszłym roku powstały o nim dwie książki. Elżbieta Isakiewicz napisała „Czerwony ołówek” a Grzegorz Lubczyk, były ambasador Polski na Węgrzech „Polskiego Wallenberga”.

^ - Rok Wojciecha Kuczoka

W sporcie rok 2004 należał do Otylii Jędrzejczak. W kulturze, a dokładnie w literaturze i filmie rok ten należał do Wojciecha Kuczoka. Najpierw w siódemce finalistów Nagrody Literackiej Nagrody „Nike” w 2004 r. znalazła się jego powieść „Gnój” oraz „Finis Silesiae” Henryka Wańka. Potem okazało się, że Wojciech Kuczok nie tylko otrzymał tę najbardziej prestiżową w naszym kraju nagrodę literacką, lecz także publiczność „Gazety Wyborczej” uznała go swoim ulubionym autorem. Na podstawie jego scenariusza Magdalena Piekorz z Katowic nakręciła film „Pręgi” uznany za największe wydarzenie filmowe w ubiegłym roku.

Wojciech Kuczok urodził się w 1972 roku w Chorzowie. Poeta, prozaik. Wydał zbiory opowiadań: „Opowieści słychane” (nominowane do Nagrody Nike) i „Szkieleciarki”, za które otrzymał Paszport „Polityki”. Za powieść „Gnój” otrzymał Nagrodę NIKE oraz nagrodę czytelników „Gazety Wyborczej”.

„Nigdy żaden pisarz ze Śląska nie doczekał się takiej renomy”
-K. Kutz.

Z wykształcenia i zamiłowania filmoznawca, drukował w „Kinie”, „Tygodniku Powszechnym”, „Res Publice Nowej”. Autor scenariusza filmu „Pręgi” - polskiego kandydata do Oscara. Felietonista „Rzeczpospolitej”. Ostatnio wydał tom opowiadań „Widmokrąg”.

^- Uwaga talent

Twórczynią najgłośniejszego filmu polskiego w 2004 r. pt. „Pręgi” jest Magdalena Piekorz.

Urodziła się w 1974 roku w Sosnowcu, mieszka w Katowicach. Ukończyła Wydział Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Zrealizowała 7 filmów dokumentalnych.

Jej pierwszy film: „Dziewczyny z Szymanowa” został nagrodzony Brązowym Lajkonikiem na XXXI Festiwalu Filmów Dokumentalnych i Krótkometrażowych w Krakowie. „Franciszkański spontan” otrzymał Nagrodę Honorową Jury na II Małym Przeglądzie Form Dokumentalnych w Szczecinie, a „Przybysze” Grand Prix Festiwalu Euroshorts'99. Od kilku lat reżyseruje filmy za granicą. „Znaleźć, zobaczyć, pochować” - opowiada o kobietach w Bośni, „Piemonte” to opowieść o miasteczku na Istrii, w którym mieszka tylko jeden człowiek, a „Chicago” to serial dokumentalny dla TVN. Za pierwszy film fabularny „Pręgi” według scenariusza W. Kuczoka, otrzymała na XXIX Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni w 2004 r. zarówno główną nagrodę Złote Lwy i nagrodę zachwyconej filmem publiczności.

^- Odszedł od nas

3 lipca 2004 r. po długiej i ciężkiej chorobie zmarł w hospicjum, w wieku 79 lat, wieloletni działacz naszego Towarzystwa, ostatnio członek Komisji Rewizyjnej, dr Alojzy Guziel. Był wybitnym znawcą górnictwa, autorem wielu książek na ten temat i wykładowcą Politechniki Warszawskiej.

^- „Więcej Osmańczyka”

W czasie promocji książki *Edmund Jan Osmańczyk. Dziennikarz-publicysta-parlamentarzysta we wspomnieniach bliskich i przyjaciół*, swoim wspomnieniem o bohaterze książki podzielił się 90-letni wybitny krytyk literacki Ryszard Matuszewski - autor wydanego *Alfabetu. Wyboru*

z pamięci 90-latka. Ryszard Matuszewski stykał się w czasie okupacji z pracującym w Zarządzie Miasta Warszawy kontrolerem piekarń Janem Krzezińskim.

Ze zdumieniem więc (w styczniu 1945 roku w Krakowie, na pierwszym po wyzwoleniu miasta spotkaniu dziennikarzy i literatów) przyjął informację gdy kontrolera Krzezińskiego, publicznie przedstawiono jako Edmunda Osmańczyka, późniejszego znakomitego publicystę, autora *Spraw Polaków* (1946), które miały ogromną poczytność. Właśnie w nich zaprezentował E.J. Osmańczyk, po raz pierwszy, w sposób dobitny swoją postawę trzeźwego politycznego realizmu, przeciwstawiając się narodowym skłonnościom do źle skalkulowanych narodowych zrywów. To sprawiło, że Konstanty Ildefons Gałczyński w *Zielonej gęsi* napisał taką oto symboliczną strofę:

Pracować trzeba jak cholera.

Czyśmy to jacy tacy?

Więcej Osmańczyka, mniej Grottgera

I wszystko będzie cacy.

^ Jerzy Duda-Gracz nie żyje

5 listopada 2004 r. zmarł na serce w wieku 63 lat, podczas pleneru malarskiego w Łagowie w Lubuskim. Jerzy Duda-Gracz, jeden z najwybitniejszych polskich malarzy, artysta „chory na Polskę”. Jego sztuka wywoływała wielkie emocje, wszystko przez kpiący stosunek artysty do rzeczywistości i Polaków. „Gazeta Wyborcza” specjalizująca się w pospionowaniu ludzi spoza jej kręgu (ta sama, która w 15-lecie śmierci E.J. Osmańczyka artykuł o nim zatytułowała „Polak z zawodu”), we właściwym sobie stylu napisała: *Był najsłynniejszym malarzem Polski Ludowej*. Etykieta ta wywołała słuszny niesmak u wielu wybitnych ludzi sztuki.

Rodzinnej Częstochowie Jerzy Duda-Gracz pozostawił Drogę Krzyżową namalowaną dla klasztoru na Jasnej Górze. W 2005 roku podczas Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina w Warszawie, zostaną zaprezentowane Jego malarskie wizje wszystkich utworów Chopina.

Jerzy Duda-Gracz powiedział w kwietniu 2000 roku tygodnikowi „Przegląd”: *Trafiłem na Śląsk przypadkiem. Tu się ożeniłem. Tu urodziła*

się i wychowała nasza córka. Tu są groby bliskich. Tutaj umrę. I naprawdę lubię Ślązaków. Lubię ich mentalność, ich europejskość „cala gębą”. Zawsze mnie fascynował śląski kult pracy, kult rodziny, umiłowanie porządku. Oni są bliżej Europy choćby przez fakt autonomicznej miłości swojej małej ojczyzny. Dla „przeciętnego Polaka” Europa to Paryż, Londyn, Rzym. A tak naprawdę Europa to prowincje i landy, województwa, krainy. I Śląsk to wie!

^ Syndrom śląski liberała

Instytut Mikołowski zorganizował dyskusję poświęconą dniu dzisiejszemu i przyszłości Śląska, w której między innymi uczestniczyli i wywiadali się: sen. Kazimierz Kutz, pisarz Tadeusz Kijonka i prof. socjologii Marek Szczepański. Dyskutanci twierdzili, że Śląsk przeżywa poważny kryzys, że został totalnie wyeksploatowany i porzucony. Z tą oceną nie zgodził się warszawski liberał, publicysta „Gazety Wyborczej” - Witold Gadomski, który relacjonując dyskusję na łamach swej gazety, poucza Ślązaków, że oni sami są odpowiedzialni za swój los. *Skoro chcemy aby człowiek był wolny, musimy zgodzić się również, że jest odpowiedzialny za swój los — choć, rzecz jasna, jeden ma więcej szczęścia, inny mniej.* Po czym przechodzi do zadawania Ślązakom takich oto pytań: *Czy „warszawskie rządy” winne są temu, że śląscy robotnicy mają niskie wykształcenie i kwalifikacje? Czy przeszkadzają robotnikom z bankrutujących zakładów szukać lepszej pracy, choćby poza Śląskiem?*

^- Śląska lokomotywa

W związku z wielkim zainteresowaniem z jakim spotkała się w czasie *Śląskiej Biesiady Świątecznej* prezentowana wspaniale przez znanego aktora Andrzeja Grabarczyka, śląska wersja *Lokomotywy* Juliana Tuwima, drukujemy ją poniżej z informacją, że jej autorem jest Jan Wadas z Chelma Śląskiego.

Jest na banhowie ciynszko maszyna
Rubo jak kachlok - niy limuzyna
Stoji i dycho, parsko i zipie,
A hajer jeszcze wongiel w nią sypie.
Potym wagony podopinali
I całym szwongiem kajś pojechali.

W piyrszym siedziały se dwa Hanysy
Jeden kudłaty, a drugi łysy, Prawie do
siebie niy godali, Bo się do kupy jeszcze
niy znali.

W drugim jechała banda goroli Wiyźli
ze sobąkrzinkajaboli I pełne kofry
samych presworsztóf I kabanina
prościutko z rusztu. Pili i żarli, jeszcze
śpiywali,

Potym bez łokno wszyscy rzygali.
W czecim Cygony, Żydy, Arabys
A w czworym jechały zaś same baby.
W piątym zaś Ruski. Ci mieli życie!
Sasza łozarty siedziół na tricie.
Gwiazda miół na czopce, stargane łachy,
Krziwiył pycholem i ciepół machy.
A w szóstym zaś były same armaty,
Co je wachowół jakiś pukłaty.
W siódmym dwa szranki, pufy, wertikol,
Smyczy maszyna może donikąd.
Jak przeżyżdźali bez Ślaskie Piekary
Kaj wom to robiom kółka do kary,
Maszyna sztopła! Kufry śleciały
I każdy lotół jak pogupiały.

To jakiś ciuémok i łajza! Ciupnął i
ślimtoł sygnał na glajzach. Mog iść do
haźla abo do łasa, Niy pokazywać tego
mamlasa! Potym mu do szmot nakopali,
Maszyna ruszyła, cug jechoł dali. Bez
pola, lasy, góry, tunele, Dar za sobom
samym te duperele Aż się zagrzyły te
biydne glajzy, Maszyna sztopła i koniec
jazdy.

^- Dodatkowy pakyt

Jak pamiętają uczestnicy *Śląskiej Biesiady Świątecznej*, obchodzący 50-lecie pracy aktorskiej Franciszek Pieczka otrzymał oprócz życzeń i kwiatów paczkę kołocza z cukierni braci Malcharczyków z Raciborza. Postanowił im za to podziękować wysyłając stosowny list, do którego dołączył kilka swoich fotosów. Jakież było jego zdumienie, gdy tuż przed Świętami Bożego Narodzenia 2004 r. zjawił się u niego wysłannik braci cukierników, z jeszcze większą paczką kołocza. Boi się teraz wysłać kolejne podziękowanie, a nuż bracia przysłaniu jeszcze większy pakyt.

^- Nasi nie posłali nic

20 grudnia 2004 r. powróciła z Teksasu, gdzie żyje ponad 200 tys. ludzi ze śląskim rodowodem, grupa przedstawicieli woj. Śląskiego i Opolskiego, którzy reprezentowali żyjących w kraju Ślązaków na uroczystościach 150-lecia pierwszej śląskiej emigracji do Stanów Zjednoczonych. W grupie tej znajdowali się dwaj laureaci Nagród naszego Towarzystwa: red. Maria Pańczyk-Pozdziej i poeta Jan Goczoł.

Głównym organizatorem uroczystości jubileuszowych był laureat Nagrody Towarzystwa w 2004 r. ks. prałat Franciszek Kurzaj. W uroczystościach wzięli udział przedstawiciele episkopatu Polski, byli kardynałowie i arcybiskupi amerykańscy, zaś prezydent G. Bush przesłał do śląskich Teksańczyków swoje posłanie. Niestety zabrakło podobnego gestu od naszych władz np. od Senatu RP, czy też Stowarzyszenia Wspólnota Polska, dla którego podobno każda Polonia jest droga?

^- Śląski duet atakuje stolicę

Po Nowym Roku (8 stycznia 2005 r.) w teatrze „Studio” w Warszawie miała miejsce prapremiera „Doktora Hausta” Wojciecha Kuczołka, w reżyserii Magdaleny Piekorz. Tytułową rolę w tym monodramie *zagrał* Michał Żebrowski. Ten sam śląski duet autorsko-reżyserski, z dodaniem Michała Żebrowskiego, w ubiegłym roku wygrał, co było do wygrania w polskim filmie (Złote Lwy i nagrodę publiczności na Festiwalu w Gdyni). Czyżby w tym roku postanowili powalczyć o laury w teatrze?

^ - Śląaczka Roku

Śląaczką Roku 2004 została pani Edyta Kój z Żędowic pow. Strzelce Opolskie, której godki po naszymu, czyli po śląsku, o swojej robocie mieliśmy okazję wysłuchać w czasie *Śląskiej Biesiady Świątecznej* 15 grudnia 2004 r. na Zamku Ostrogskich w Warszawie. W dniu 15 stycznia 2005 r. w dodatku „Gazety Wyborczej” *Wysokie obcasy* ukazał się obszerny artykuł o tej niezwykle kobiecie i jej rodzinie. Edyta Kój jest sprzątaczką szkolną i właśnie za opowieść o swej pracy otrzymała główną nagrodę i 15 tys. zł. Juror tego konkursu Kazimierz Kutz powiedział o niej: *Jest pani niezwykle mądrą osobą. Na pani przykładzie można całej Polsce pokazać co to jest europejskość Ślązaka. W Polsce wszyscy lubią kombinować, a pani pokazuje, jaką wartością jest praca.*

^ 70 lat Profesora

30 stycznia 2005 r. siedemdziesiąte urodziny obchodził prof. Marian F. Holona, uznany filolog kulturoznawca, w tym niemieckiej kultury i literatury. Zarząd wystosował do Jubilata aktywnie uczestniczącego w życiu naszego Towarzystwa list z życzeniami zdrowia i pomyślności osobistej.

^ Zabrakło Ślązaków

W uchwalonej ustawie o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz o języku regionalnym, zabrakło Ślązaków. Ustawa nie uznaje etniczności śląskiej. Tak jakby gdzieś wyparowało 173 tys. obywateli deklarujących w spisie powszechnym tę przynależność - twierdzi senator Kazimierz Kutz protestujący przeciwko takiej formie dyskryminacji Ślązaków. Między innymi napisał: *...zaczynam się utwierdzać w przekonaniu, że mamy już w Polsce do czynienia z utrwaloną znieczulicą na problematykę śląską... Dawniej od wieków średnich, Polska odwróciła się plecami do Górnego Śląska, dziś, po 82 latach dobrowolnego przyłączenia się Śląska do reszty kraju, powiedzieć można, że głowę ma odwróconą na stale, jakby Górny Śląsk by krwawym i cuchnącym karambolem na ruchliwej szosie (patrz również artykuł K. Kutza *W oczach Ślązaków Polska kona* w II części Biuletynu).*

Zdenerwowany senator, w jednym z kolejnych felietonów, z którymi przeniósł się z „Dziennika Zachodniego” do katowickiego wydania „Gaze-

ty Wyborczej", wzywa do działania: *Na Śląsku trzeba koniecznie przystąpić do organizowania nowego ruchu regionalnego obywateli. Jeśli odnowa i szansę lepszej kondycji społecznej i moralnej leżą w mechanizmach demokracji: w zorganizowaniu nowych struktur obywatelskich, które wzniosą się ponad historyczne, klasowe i narodowe urazy, a oprą się na współczesnych potrzebach obywatelskich zakorzenionych w kulturze Górnego Śląska.*

^ Nagrody dla naszych laureatów

Profesor Andrzej Bochenek, laureat ubiegłorocznej Nagrody Towarzystwa, kierownik I Kliniki Kardiochirurgu w Katowicach odebrał 5 listopada 2004 r. medal „Gloria Medicinae” - najwyższe odznaczenie Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, przyznawane od 1990 roku za wybitne zasługi dla medycyny rozumianej jako ofiarnej służby ludziom i szacunku dla zdrowia i życia ludzkiego.

Z kolei senator Kazimierz Kutz otrzymał 15 listopada 2004 r. Nagrodę Księżnej Jadwigi Śląskiej, którą przyznały mu środowiska akademickie i artystyczne Wrocławia, za dbałość o kulturę i tradycję Górnego Śląska.

^- Żarty posła Kroiła

Posel Henryk Kroił (poseł mniejszości niemieckiej) lubi sobie pożartować.

Ongiś przebywając przed wyborami do Sejmu w Olsztynie stwierdził między innymi: *-Na pewno nie będziemy dążyć do tego, żeby już po następnych wyborach przejąć władzę.*

Ostatnio zaś na spotkaniu w Zagwizdzu (gmina Murów) tłumaczył, że gdy rano wstaje to słyszy Rotę, czyli pieśń do której słowa napisała Maria Konopnicka. Między innymi te rażące posła: *nie będzie Niemiec pluł nam w twarz*. Jego zdaniem należałoby zmienić ulicę Marii Konopnickiej w Opolu (przy której mieści się obecnie siedziba Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Niemców, a także jego biuro poselskie) na króla Fryderyka Wielkiego. Krollowi marzy się też pomnik tego monarchy w Opolu określanego polakożercą. Oczywiście kiedy to palnął zmitygował się i próbował wszystko obrócić w żart.

Doszło też do nas, że w czasie spotkania Klubu Opolan Henryk Kroił, nie bardzo pochlebnie wyrażał się o naszym Towarzystwie, lecz - jak zwykle - poseł tylko żartował.

^ - „Ślad” dla ks. Jerzego Szymika

„Ślad” to Nagroda Dziennikarska im. bp. Jana Chrapka, którego dewizą było: *Idź przez życie tak, aby ślady twoich stóp przetrwały*. Otrzymał ją w bieżącym roku ks. Jerzy Szymik, wybitny teolog, pisarz i poeta, służący dialogowi między Kościołem a światem oraz otwieraniu myśli kościelnej na twórczość np. Czesława Miłosza, demonizowanego w niektórych kręgach kościelnych.

Gratulujemy serdecznie ks. prof. Jerzemu Szymikowi, którego mieliśmy okazję poznać w czasie jednego ze spotkań w cyklu **Zrozumieć Śląsk**.

^ Wątpliwy patron szkoły

Śląsk szczyci się, że z niego wywodzi się 11 laureatów Nobla. Jednym z nich był Fritz Haber. Właśnie jego obrano na patrona szkoły w Oleśnie. Niestety F. Hager ma w swoim życiorysie przykry epizod. Nadzorował wykorzystanie gazu chlorowego w czasie I wojny światowej. Jest on także autorem syntezy amoniaku (za nią dostał nagrodę Nobla w 1918 roku), który może być używany, jako znany nawóz sztuczny, ale także do wytwarzania broni. Jego gazu, cyklonu B, który w zamyśle uczonego miał służyć do dezynsekcji, czyli niszczenia pluskiew, używano do mordowania ludzi w komorach gazowych w Auschwitz.

^ Śląscy laureaci Nagród Nobla

Pierwszym Ślązakiem, który otrzymał Nagrodę Nobla był **Paul Ehrlich**, ur. 14 marca 1854 roku w Strzelinie w żydowskiej rodzinie miejscowego kupca. Otrzymał on nagrodę w 1908 roku w dziedzinie medycyny. Paul Ehrlich był żonaty z Hedwigą Pinkus z Prudnika, której ojciec był potentatem na skalę europejską w handlu tekstyliami. P.Ehrlich był najbardziej nagradzanym i uhonorowanym ze śląskich noblistów. Był członkiem zwyczajnym, korespondencyjnym i honorowym aż 81 akademii nauk z trzech kontynentów. Posiadał doktoraty honorowe wielu uniwersytetów i odznaczenia kilkunastu państw. Rodzinny Strzelin przyznał mu w 1911 roku honorowe obywatelstwo.

W 1912 roku literacką Nagrodę Nobla otrzymał urodzony w Szczawnie Zdroju w mieszczańskiej rodzinie wyznania ewangelickiego **Gerard**

Hauptmann autor słynnych „Tkaczy” i wielu innych bardzo popularnych powieści i sztuk scenicznych. Zmarł 6 czerwca 1946 w Jagniątkowie k. Jeleniej Góry.

W 1918 roku Nagrodę Nobla w dziedzinie chemii otrzymał **Fritz Haber**, ur. 9 grudnia 1868 roku we Wrocławiu w zamożnej rodzinie wyznania mojżeszowego. Jego wielkim osiągnięciem naukowym było opracowanie w 1909 roku metody syntetycznego otrzymywania amoniaku. Potem zajmował się metodami produkcji gazów bojowych co mu (jak napisaliśmy nieco wyżej) nie przyniosło sławy.

Także w dziedzinie chemii Nagrodę Nobla w 1931 roku otrzymał kolejny śląski noblista **Friedrich Bergius** ur. 11 października 1884 roku w Złotnikach koło Wrocławia, pochodzący z wielce zasłużonej pruskiej rodziny wyznania ewangelickiego. Między innymi opracował on przemysłową metodę otrzymywania benzyny z węgla.

Otto Stern ur. 17 lutego w 1888 r. w Żorach w kupieckiej rodzinie wyznania mojżeszowego, otrzymał Nagrodę Nobla w 1943 roku w dziedzinie fizyki. Był asystentem i przyjaźnił się z Albertem Einsteinem. Po dojściu Hitlera do władzy emigruje do Stanów Zjednoczonych, gdzie włączono go do zespołu pracującego nad bronią atomową.

W dziedzinie chemii otrzymał w 1950 roku Nagrodę Nobla **Kurt Adler** (wraz z Otto Dielsem) ur. 10 lipca 1902 roku w Królewskiej Hucie (dziś Chorzów). Rodzice jego wywodzili się z chłopskich rodzin wyznania rzymsko-katolickiego, z terenów dzisiejszej Opolszczyzny prudnickiego i głubczyckiego.

Niewątpliwie najbardziej znanym (oprócz G. Hauptmanna) laureatem Nagrody Nobla w 1954 roku ze śląskim rodowodem jest **Max Born**, jeden z największych fizyków teoretyków XX wieku (mechanika kwantowa), autor pierwszego podręcznika fizyki atomowej. Max Born urodził się 11 grudnia 1882 roku we Wrocławiu, w znakomitej rodzinie wyznania mojżeszowego.

Jedyną kobietą w gronie śląskich noblistów jest **Maria Góppert-Mayer** ur. 28 czerwca 1906 roku w ewangelickiej rodzinie w Katowicach. Otrzymała ona Nagrodę Nobla w 1963 roku w dziedzinie fizyki (model i właściwości jąder atomowych).

W 1964 roku Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny otrzymuje **Konrad Bloch** ur. 21 stycznia 1912 roku w Nysie w mieszczańskiej rodzinie

wyznania mojęszowego. Nagrodę otrzymał za odkrycie mechanizmów regulacji biosyntezy i przemian cholesterolu.

W 1994 roku Nagrodę Nobla w dziedzinie ekonomii otrzymuje ur. 5 października 1930 roku we Wrocławiu w mieszanej rodzinie (ojciec wyznania mojęszowego matka protestantka) **Reinhard Selten**. Nagrodę otrzymał za badania z zakresu zastosowania teorii gier w ekonomii. Teoria ta, której osią jest określenie pojęcia równowagi, ma np. zastosowanie przy zawieraniu zbiorowych umów pracy, w wypadku konfliktów międzynarodowych, w botanice a także zachowaniach ludzkich.

Jedenastym śląskim noblistą jest **Giinter Blobel**, ur. w wiosce Niegosławice w powiecie szprotawskim (obecne woj. lubuskie). Nagrodę Nobla otrzymał w 1999 roku w dziedzinie medycyny za prace, które pomogły w wyjaśnieniu molekularnych przyczyn powstawania wielu chorób genetycznych.

(Opracowano korzystając z książki „Laureaci Nagrody Nobla urodzeni na Śląsku”. Katowice 2000)

^- Połowa z Katowic

7 lutego 2005 r. zakończył się na Zamku Ostrogskich w Warszawie, Ogólnopolski Konkurs Pianistyczny im Fryderyka Chopina. Konkurs jest wskazaniem muzyków, którzy mają największe szansę na reprezentowanie Polski w XV Międzynarodowym Konkursie Chopinowskim. W wyłonionej szóstce pianistów aż 3 jest z Katowic. Piotr Banasik, znany członkiem Towarzystwa z koncertu jaki dał podczas ubiegłorocznego *Święta Ślązaków*, zajął drugie miejsce.

7. Publikacje o Towarzystwie i jego ludziach

1. Aleksandra Krzyżaniak-Gumowska *Ziomkowie szturmują stolicę*. „Gazeta Stołeczna” 3-4 kwietnia 2004 r.
2. Lech M. Nijakowski *Poetyka skandalu, czyli nauka czwartej władzy*. „Śląsk” nr 4(102) kwiecień 2004 r.
3. *Ambasadorzy Śląkości*. „Gazeta Wyborcza-Stołeczna” 27 kwietnia 2004 r.
4. *Ślązak w Teksasie*. „Nowa Trybuna Opolska” 29 kwietnia 2004 r.
5. *Urodziny poety*. „Nowa Trybuna Opolska” 4 maja 2004 r.
6. *Czasem bywam poetą* - z Janem Goczolem rozmawia Danuta Nowicka. „Nowa Trybuna Opolska” 7 maja 2004 r.
7. Jan Cofałka *Jan Szczepański. Pożegnanie 1913-2004*. „Gazeta Stołeczna” 8-9 maja 2004 r.
8. Franciszek Kosma *Stolica uhonorowała Osmańczyka*. „Nowa Trybuna Opolska” 3 czerwca 2004 r.
9. *Towarzystwo Przyjaciół Śląska w Warszawie — red. Józefowi Krzykowi z „Gazety Wyborczej” w odpowiedzi na notę „Co kto pamięta?” z 2.04.2004 r.* „Śląsk” nr 6 (104) czerwiec 2004 r.
10. *Pod historycznym dębem* z ks. Franciszkiem Kurzajem rozmawia Maria Pańczyk. „Śląsk” nr 6(104) czerwiec 2004 r.
11. Danuta Lubina-Cipińska *Ode mnie wziął miłość do teatru*. Rozmowa z Wincentym i Andrzejem Grabarczykami. „Śląsk” nr 7(105) lipiec 2004 r.
12. Jan Cofałka *2 Raciborza do Kamerunu*. „Śląsk” nr 7 (105) lipiec 2004 r.
13. *Ulica Osmańczyka w Warszawie*. „Śląsk” nr 8(106) sierpień 2004 r.
14. Jan Cofałka *Do Bytomskich Strzelców. Opowieść o Janie Rzymelce - księdzu misjonarzu, wielkim patriocie i społeczniku*. „Śląsk” nr 8(106) sierpień 2004 r.
15. Tadeusz Kijonka *Ślązacza z jabłkiem w dłoni*. „Śląsk” nr 8(106) sierpień 2004 r.
16. Lech M. Nijakowski *Ziemie Odzyskane*. „Przegląd Polityczny” nr 66/2004 (polemika)
17. Henryka Wolna-Van Days *Człowiek (z) pogranicza*. Edmund Jan Osmańczyk. „Trybuna” 1.10.2004 r.

18. Iwona Kłopocka *Wspomnienia na 16 posłów*. „Nowa Trybuna Opolska” 5 X 2004 r.
19. Aleksandra Klich, Marek Baster *Z zawodu Polak*. „Gazeta Wyborcza” 9-10.10.2004 r.
20. Zygmunt Broniarek *Ośmańczyk-Jego rocznica, Jego Encyklopedia*. „Nowy Tygodnik Popularny” Nr 41² z 10-17 X 2004 r.
21. Kazimierz Kutz *Pielgrzymowanie*. „Gazeta Wyborcza Katowice” 23 grudnia 2004 r.
22. Marian G. Gerlich *Nadciągają Ślązacy*. „Nasze Zabrze Samorządowe” nr 12/2004 r.
23. Helena Kowalik *Nazywał siebie państwowcem*. „Przegląd” nr 3(265).
24. *Nadciągają Ślązacy*. „Jaskółka Śląska” styczeń 2005.
25. Franciszek Kosma *My, Ślązacy*. „Nowa Trybuna Opolska” 15-16 stycznia 2005 r.
26. Krzysztof Karwat *Pamiętamy o Ośmańczyku*. „Śląsk” nr 2(112) luty 2005 r.

opr. J.C.

Część II

ŚLĄZACY W WARSZAWIE

1. W sercach Ślązaków Polska kona - *Kazimierz Kutz*¹

Proszę się nie dziwić, jeśli po doświadczeniach II i III RP rdzenni Ślązacy w ewentualnym referendum podziękują za czwartą. Górny Śląsk nie jest dobrym materiałem na bajkę z morałem. Ma swoją własną historię i rozwój cywilizacyjny odmienny od reszty kraju. Szedł inną drogą ku Europie i inną drogą ku Polsce. Ma inny słuch na przeszłość i własną melodię szczęścia. Bo Polska już w średniowieczu odwróciła się plecami do swoich rubieży zachodnich i trwa to poniekąd do dziś. Nazywam to kompleksem odwróconych pleców. Kiedy Kazimierz Wielki godził się w XIV wieku oddać Śląsk Czechom, nie był on już pod jego władaniem. Kiedy Polskę rozbierano po raz pierwszy, Śląsk był już od pięćdziesięciu lat częścią Prus. Kiedy Polskę rozbierano po raz drugi, na Śląsku pracowały pierwsze kopalnie, a szlachta była zgermanizowana. Kiedy uczestnicy powstania listopadowego docierali do syberyjskich stanic, na Śląsku rodził się niemiecki kapitalizm; opodal kopalń powstawały pierwsze huty cynku i pierwsze koszary mieszkalne, czyli familoki. Śląsk stawał się wewnętrzną kolonią Niemiec; rodził się śląski proletariatus. Kiedy dogasało powstanie styczniowe, na Śląsku leżały się namiastki związków zawodowych. Kiedy w zaborze rosyjskim Polacy zaprzęтали sobie głowy sprawami niepodległościowymi, Ślązacy organizowali się przeciw wyzyskowi i programowemu germanizowaniu. Zakładali konsumy, kasy zapomogowe i motali pierwsze strajki. Tworzyli swoje amatorskie teatry i chóry. Ale kończyli także niemieckie ośmioklasowe szkoły. Oszańcowali się w swojej służebnej pierwotności: w rodzinie, starym języku, matriarchacie czy patriarchacie, we wspólnocie robotniczego osiedla i wspólnocie parafialnej.

Nauczyli się trwania w staropolskiej swojskości; stała się ona sposobem na zły los. A w wielkoprzemysłowym chomacie zaczęli uczyć się robotniczej pracowitości, przyswajali sobie nowe zasady i skomplikowa-

¹ Przedruk, za zgodą Autora, z książki: „*to nie to...nie tak miało być*”. EGO Dom Wydawniczy, 2004

ne technologie. Jako Słowianie byli co najmniej dwa razy tańszą siłą roboczą od robotników Westfalii, ale podążali tą samą drogą przemian ku nowoczesnej cywilizacji i rodzącej się demokracji w Europie. Partycypowali w marnych zyskach i uczestniczyli w nie swoich wojnach; stawali się niemieckim proletariatem i najtańszym mięsem armatnim. Ale samoorganizowali się, dbali o swoją archaiczną kulturę i lepili nieustannie własną tkankę społeczną. A kiedy kataklizm pierwszej wojny światowej rozsadził układ zaborców i mogło powstać państwo polskie, Śląsk był gotowy do artikulacji swoich aspiracji, a co za tym idzie - i do czynu zbrojnego, z własnej woli postanowił dołączyć do Polski. I tak się stało. Bo każde trwanie, nawet najdłuższe, zmierza do utraconej wolności.

U Ślązaków była to spowolniona wyprawa ku Polsce. Wraz z rozwojem XIX - wiecznych ruchów narodowościowych w Europie Polska stawiała się marzeniem ludu, śląskich robotników i chłopów. Wielowiekowe trwanie przekształciło się we właściwość ludzką i stało się kategorią mentalną. Ślązacy nauczyli się w swoim rodzinnym zamknięciu, w swoich skoszarowanych familokach zachowywać dystans do wszystkiego co obce. Bo to, co przychodziło z zewnątrz, trzymało ich w ryzach wyzysku i poniżenia. Pojawiało się, by rządzić i wyciskać z ziemi i ludzi jak najwięcej i po jak najniższych kosztach. Tę lekcję brali przez 180 lat od Niemców. A potem tych z Polski, którzy przed II wojną światową, a zwłaszcza po II wojnie nawracali Ślązaków na polskość. Nazwano ich gorolami. Ślązacy spod prysznica germanizacyjnego dostali się pod prysznic polonizacyjny. Z tych powodów w latach 70. w ramach państwowych porozumień o łączeniu rodzin Śląsk opuszczali nie tylko Ślązacy, ale także rozgoryczeni potomkowie powstańców, a nawet oni sami. Trzeba przyjąć do wiadomości, że droga Ślązaków ku Polsce jest swoista i do dziś całkowicie niekoherentna z doświadczeniami historycznymi innych części Polski, aż po granice niepojmowalności. W istocie w XX wieku odrodzona Polska otrzymała niespodziewany, a nawet niechciany - choćby przez Piłsudskiego - prezent albo skarb, którego nie była w stanie ocenić ani docenić. Ale kiedy w 1922 roku Górny Śląsk stał się częścią II Rzeczypospolitej, rychło okazało się, że nie jest on dla niej czymś. On jest tylko gdzieś.

Polacy przejęli od Niemców kolonialne traktowanie Ślązaków i bezceremonialnie przenieśli tu nawyki z praktyk na wschodnich rubieżach. Mówi się, że mieć ojczyznę to znaczy być u siebie. I tak wyobrażali sobie Ślązacy Rzeczpospolitą. A być u siebie to znaczy samorządzić

się, móc się kształcić i na równi z innymi mieć otwartą drogę do społecznych awansów. Chcieli demokracji i sprawiedliwości - niczego więcej - i te dwie wartości kojarzyli z Polską. A więc szło przede wszystkim o dopuszczenie. Niemcy zdegradowali Ślązaków do niewolników przemysłu i nie dopuszczali do równouprawnienia. Jedyna droga do awansów społecznych wiodła przez zgermanizowanie. A więc Polska oznaczała także - a może przede wszystkim - uwolnienie się od usystematyzowanych politycznych i społecznych praktyk niemieckich. Taką Ślązacy żywili nadzieję i zawarta w niej jest różnica pomiędzy przedmiotowym a podmiotowym traktowaniem istoty ludzkiej. Takie wyobrażenie polskości płynęło ze złych doświadczeń historycznych, empirii codziennego bytowania; kształtowało się w wielopokoleniowych praktykach zawodowych, pośród pól, w kopalniach, hutach i familokach - a nie w pałacach, dworach, salonach czy powstańczych postojach. I tu jest pies pogrzebany. Ślązacy myśleli o Polsce w kategoriach społecznych, a nie niepodległościowych. To główna cezura, która do dziś różni Górny Śląsk od reszty kraju. Dawno utracony kontakt z macierzą i późno narodzona miłość do Polski były czystym sentymentem opartym na naiwności i iluzjach śląskiego plebsu z zaboru pruskiego. Niewiele miała wspólnego z kompleksem niepodległościowym polskiego ziemiaństwa i inteligencji. To zupełnie inna gleba. To, co mogłoby na niej wyrosnąć, gdyby Ślązacy zostali dopuszczeni do głosu, różniłoby się znacznie od dzisiejszych plonów. Niestety w XIX-wiecznej Polsce - niezależnie od ustrojów - zaciążyły doświadczenie i mentalność zaboru rosyjskiego, słaby instynkt państwowy, sobiepaństwo i relatywizm moralny. To przymioty wysmażone na sarmackim nihilizmie i utrwalone w feudalnym imperium Rosji. A może problematyka Górnego Śląska jest zbyt skomplikowana jak na możliwości polskich polityków? Wszystkie polskie mity wolnościowe i śląskie mity społeczne po pół wieku spotkały się znowu w Solidarności. Obie te tradycje - po raz ostatni - połączyło pragnienie wspólnej i lepszej ojczyzny: wolnej i sprawiedliwej. Ludowy i robotniczy Górny Śląsk, dokładnie tak samo jak w okresie powstań śląskich, uwierzył raz jeszcze w lepszy los. Znowu nadeszła godzina historycznego wyboru. Wszystkie huty i kopalnie Górnego Śląska potwierdziły wybór powszechnymi strajkami.

A górnicy kopalni „Wujek” ofiarą życia. Idea wolności i sprawiedliwości zmaterializowała się. Bez uczestnictwa śląskich hutników i górni-

ków w strajkach - a zwłaszcza daniny górniczej krwi - być może nie doszłoby do zwycięstwa Solidarności. Ale dziś, po dwudziestu paru latach nie najlepszych doświadczeń, możemy powiedzieć głośno: 13 grudnia 1981 roku pod kopalnią Wujek - wraz ze śmiercią dziewięciu górników - konała śląska poczciwość klasowa, a także narodowościowa energia rodem z XIX wieku. Ten napalm wyczerpał się.

Po 14 latach transformacji ustrojowej Górny Śląsk płaci najwięcej, bo płaci wszystkim. Spotkała go prawdziwa kara boska.

Na naszych oczach mentalność „odwróconych pleców” odnosi ostateczny tryumf. Zamknięto już 23 kopalnie i 100 tysięcy górników straciło pracę. Teraz pójda dalsze ograniczenia wydobywania węgla, zamykane będą zbędne kopalnie i będą kolejne zwolnienia.

Z 400 tysięcy bezrobotnych 80 procent weszło w sferę stałego ubóstwa i ma związane z tym poczucie odrzucenia. Degradacja społeczna i dehumanizacja setek tysięcy ludzi na Górnym Śląsku, ich rozpacz i poniżenie stają się czarną plamą na sumieniu wolnej i niepodległej Polski, zwanej III Rze-cząpospolitą. Pierwszej Ślązacy nie znali. Do drugiej weszli z własnej woli dzięki swoim powstaniom. Nie była to Polska na miarę ich marzeń i społecznych wyobrażeń. Wtedy Górny Śląsk potraktowano niczym ziemię zdobytą, a jego mieszkańców jak tubylców do patriotycznej obróbki. Powtórka w wersji jeszcze gorszej nastąpiła po 1945 roku. Wtedy przyjęła się nazwa - Katanga. A teraz, w III Rzeczypospolitej Górny Śląsk, ten wypę-dek historyczny, ta Afryka Środkowa w sercu Europy, przeżywa zabijanie starych kopalń i hut, co dla społeczności górniczej jest jak wrzucenie odbezpieczonego granatu do piwnicy wypełnionej ludźmi. Wydany został wyrok na starą kulturę Ślązaków; kulturę ich życia i kulturę ich bycia. Nie dziwny się, jeśli niewielu rdzennych Ślązaków będzie się pisało na Rzeczpospolitą o nominale jeszcze wyższym - w przyszłości oczywiście, kiedy rozpisane zostanie referendum. Tragedią współczesnego Górnego Śląska jest agonía jego proletariatu w polskim, niechlujnym guście i stylu. Kaprawa jakoś państwa kroczy w parze z pogardą dla prostego człowieka, do niedawna nazywanego robotnikiem przemysłowym.

W Europie zaprzestano wojen, więc straciły na znaczeniu przemysły wojenne. Proletariat europejski spełnił swoją dziejową misję i schodzi ze sceny dziejów. Na naszych oczach przyszła kolej na Górny Śląsk, i teraz on wchodzi w ponurą wersję swojego unicestwienia.

Na Górnym Śląsku umiera praca, umierają stare, bo wielowiekowe więzi międzyludzkie. Umiera kultura rodzinna i kultura społeczna. Marnieją obyczaje. Słowem, na Górnym Śląsku kona w ludziach Polska. Większe pożera mniejsze, ale przecież świat i tak pójdzie swoją drogą. Pamiętajmy, że mniejsze jest zawsze niezniszczalne. Nie da się bowiem w dzisiejszym europeizującym się świecie zgłajchsztaltować paru milionów Ślązaków rozsianych na obszarze dwóch sąsiadujących ze sobą państw. Nie wiadomo, czy gdyby w przeszłości Górnemu Śląskowi dane było tworzyć rodzinne elity, nie miałby on dziś swojej własnej państwowości. Kolonialne rygory władczych państw nie były jednak dla regionu łaskawe. Powiedzmy tedy szczerze - Górny Śląsk nie czuł się dobrze: ani w Czechach, ani w Niemczech, ani w Polsce. Nie z winy własnej nie przyswajał się ani łatwo, ani całkowicie. Dziś nie ma sprawiedliwości społecznej - i już jej dla Górnego Śląska nie będzie. Ale została nam jeszcze wolność. Koło historii bytu proletariackiego zamyka się. Górny Śląsk znów jest u początku drogi.

2. Synek z Królewskiej Huty² - rozmowa z wybitnym polskim geodetą, profesorem dr in. Henrykiem Leśniakiem

HENRYK LEŚNIOK urodził się w Chorzowie w 1914 roku, 14 kwietnia, na kilka miesięcy przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Druga zastaje go - absolwenta Politechniki Warszawskiej - na praktyce po przeszkoleniu wojskowym, w 74 pułku piechoty w Lublińcu. Jego dywizja zostaje rozbita pod Częstochową i 25 letni plutonowy podchorąży na ponad 5 lat trafia do niewoli niemieckiej.

Po wojnie, zgodnie z wykształceniem podejmuje pracę w organach tworzonej państwowej służby geodezyjne - kartograficznej i jednocześnie w szkolnictwie. Wpierw w średnim, później wyższym zawodowym, wreszcie w uczelni akademickiej. Od 1945 roku, przez sześć lat, pracuje w Katowicach w Wydziale Pomiarów Urzędu Wojewódzkiego woj. Śląsko-Dąbrowskiego, dokąd zostaje oddelegowany z Warszawy. Jako jeden z pierwszych (szósty z rzędu) w 1949 roku uzyskuje doktorat

² Wywiad ten, w skróconej nieco formie, został wydrukowany w miesięczniku „Śląsk” nr 7(57) lipiec 2000 r.

na Wydziale Geodezji i Kartografii Politechniki Warszawskiej. W 1951 roku zostaje powołany na wiceprezesa Centralnego Urzędu Geodezji i Kartografii w Warszawie z zadaniem nadzorowania pomiarów podstawowych kraju. W latach 1957-1959 jest sekretarzem generalnym NOT, przez następne dwa lata ekspertem do spraw geodezji w Iraku oraz profesorem geodezji na uniwersytecie w Bagdadzie. W szkolnictwie: *zakładał* szkołę mierniczych w Katowicach (późniejsze Technikum Geodezji); był wykładowcą w szkołach inżynierskich w Katowicach i Łodzi oraz pracownikiem naukowo-dydaktycznym w macierzystej Politechnice Warszawskiej. Od 1954 roku jest docentem, od 1968 profesorem nadzwyczajnym, od 1977 profesorem zwyczajnym nauk technicznych. Na Politechnice Warszawskiej wykładał i był: kierownikiem Katedry Podstaw Geodezji; dyrektorem Instytutu Geodezji Gospodarczej; prodziekanem; dziekanem i prorektorem. Przedmiot jego badań naukowych stanowiła budowa podstawowej sieci geodezyjnej kraju i jej wdrażanie w praktyce. Przez 10 lat koordynował wielkie przedsięwzięcie badawcze: *Optymalizacja pomiarów geodezyjnych*, w którym uczestniczyło kilkanaście placówek naukowych, akademickich.

Pracę zawodową i naukową zawsze łączy z działalnością w różnych organizacjach i stowarzyszeniach naukowych i zawodowych. Ponad 30 lat zasiada w Komitecie Geodezji PAN, z czego połowę jako członek władz. Od ponad 60 lat jest działaczem Stowarzyszenia Geodetów Polskich oraz Naczelnej Organizacji Technicznej (NOT). W organizacjach tych dochodzi do najwyższych godności. Był członkiem władz Międzynarodowej Federacji Geodetów.

Na jego piśmienniczy dorobek naukowy składa się ponad 90 pozycji, w tym dwutomowy, czterokrotnie wznawiany, podręcznik akademicki z zakresu geodezji. Ponadto wypromował 8 doktorów i ponad 150 magistrów i inżynierów. Trudno wyliczyć wszystkie otrzymane przez niego krajowe i zagraniczne ordery i wyróżnienia. Między innymi uhonorowano go: Orderem Sztandaru Pracy II klasy, Krzyżem Komandorskim i Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. W 1974 roku otrzymuje nagrodę państwową w dziedzinie nauki, a w 1984 roku, za osiągnięcia naukowo-dydaktyczne, nagrodę I stopnia Ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki.

W 1984 roku, po osiągnięciu 70 lat, przechodzi na emeryturę nie przerywając jednak działalności dydaktycznej, społecznej i naukowej.

- Profesorze, Pana wybitne dokonania w dziedzinie geodezji są powszechnie znane, nie wszyscy jednak Pana kojarzą ze Śląskiem, powróćmy zatem do korzeni, w którym Chorzowie Pan się urodził?

-Jeśli chodzi o ścisłość, to nie urodziłem się w Chorzowie, lecz - jeszcze jako poddany cesarza „Wilusia” - w Królewskiej Hucie, przy uli

cy Beuthener Strasse, późniejszej Bytomskiej. Dopiero w 1934 roku, kie

dy już byłem na studiach, Królewską Hutę połączono z gminami Cho

rzów i Nowe Hajduki nadając nowemu organizmowi polską nazwę Cho

rzów. Mój ojciec Stefan był pracownikiem Zarządu Miejskiego.

Matka

Helena tradycyjnie - jak to bywało na Śląsku - zajmowała się domem.

-Gdzieś przeczytałem, że Pana ojciec był murarzem?

-Zgadza się, zaczynał jako murarz lecz całe życie się uczył. Kończył kurs po kursie, w efekcie czego po kilkunastu latach doszedł do stanowi

ska kierownika referatu budowlanego we wspomnianym Zarządzie Mia

sta. Do zakresu pracy jego referatu należała, między innymi, obsługa 16

szkół w mieście. Działał też w Straży Pożarnej.

**-Rozumiem, że ojciec był tym, który Pana zachęcał do nauki i nie pędził, jak to powszechnie praktykowano na Śląsku, szybko do pra
cy?**

-Tak się składało, że do szkoły miałem zawsze blisko. Podstawową koło domu, a gimnazjum matematyczno - przyrodnicze im. św. Stanisła

wa Kostki także w pobliżu, przy ulicy św. Piotra. Po gimnazjum, zanim

trafiłem na studia do Warszawy, musiałem jednak przez rok popracować

jako pomocnik mierniczego na kopalni i w Zarządzie Miasta aby uzbierać

trochę pieniędzy na początek studiów.

-Dlaczego wybrał Pan na miejsce studiów Warszawę, przecież ze Śląska szło się raczej do, przychylniejszego Ślązaka, Krakowa?

-To nie był mój wybór lecz ojca. Powiedział tak: "Wszyscy nasi idą na studia techniczne do Lwowa, albo do Krakowa. Ty tam nie pójdziesz.

Boję się, że jak pojedziesz tam gdzie jest wielu naszych, to się z nimi

zwiążesz. Będziesz korzystał z akademickiej swobody i nie ukończysz

studiów w 4 lata, a w domu czeka młodszy brat Gerard, który powinien

pójść Twoją drogą." Na początku nie było mi wcale łatwo w Warszawie.
Śmiano się z akcentu w mowie i żartowano z mojego śląskiego poczucia obowiązku. To mnie dodatkowo mobilizowało.
-Z czego Pan żył w tej Warszawie?

-Ojciec przysyłał trochę pieniędzy, resztę musiałem zarobić. Moja śląska solidność podobała się profesorom, dawali mi więc zarobić przy różnych pracach mierniczych. Każde wakacje pracowałem, za co nieźle w sumie płacono. Raz nawet o dwa miesiące przedłużyłem sobie wakacje, bo miałem dobrze płatną pracę, ale potem musiałem zaciskać pasa by nadrobić zaległości. Na szczęście, kiedy profesorowie zobaczyli jak szybko idę, dali mi nawet upust przy opłacie czesnego, obniżając je nawet o połowę. Miałem też stałe miejsce w akademiku przy dzisiejszym placu Narutowicza.

-Z tego wynika, że ojciec wygzekwował od Pana ukończenie studiów politechnicznych w cztery lata, co - w tych warunkach - było

swego rodzaju wyczynem, na Śląsk jednak Pan nie powrócił?

-Rzeczywiście. W 1937 roku uzyskałem na Politechnice Warszawskiej dyplom mgr inż. geodety i od razu otrzymałem świetną pracę w Wydziale Fotogrametrycznym Polskich Linii Lotniczych „LOT” w Warszawie, skąd po 9 miesiącach zostałem skierowany do odbycia „obowiązku wojskowego” w Centrum Wyszukolenia Saperów w Modlinie. W lipcu 1939 roku, ze stopniem podchorążego-plutonowego, otrzymałem przydział (na praktykę) do 74 pułku piechoty w Lublińcu.

-I zastała tu Pana wojna?

-Wybuch wojny zastał mnie w wojsku na Śląsku i miał dla mnie dramatyczny wymiar. Po pierwsze: nawojować się nie nawojowałem bo już

4 września, po rozbiciu przez hitlerowską armię mojej macierzystej VII

dywizji, którą dowodził gen. Janusz Gąsiorowski, dostałem się do niewoli

li. Żadnym pocieszeniem nie było to, że przede mną znalazł się w niej

nasz generał. Po wtóre: byłem młodym żonkosiem. Po trzecie - jak się

później okazało - nie zdążyłem już, na co tak bardzo liczył ojciec, pomóc

bratu. Gerard mieszkający na Śląsku i pracujący przed wojną jako księgo

wy został wcielony do niemieckiego wojska. Na froncie wschodnim,

gdzieś pod Orłem, dostał się do rosyjskiej niewoli. Potem w szeregach polskiej armii doszedł aż pod Warkę, gdzie zginął 24 sierpnia 1944 roku, podczas walk na przyczółku warecko-magnuszewskim. O tym jednak wówczas jeszcze nie wiedziałem, martwiłem się o żonę i rodzinę.

-Z tego wynika, że ożenił się Pan jeszcze przed wojną w Warszawie?

-Proszę sobie wyobrazić ożeniłem się w Warszawie, ale ze Ślężaczką z dobrego patriotycznego domu. Tuż po moich studiach zorganizowano

spotkanie z pierwszymi absolwentami Politechniki Warszawskiej wywodzącymi się ze Śląska. Choć było nas zaledwie kilku na spotkanie przybył wojewoda Michał Grażyński, biskup Józef Gawlina (mój dawny proboszcz w parafii św. Barbary w Królewskiej Hucie), a także, z trzema córkami - Stanisław Sobota -jak się miało wkrótce okazać mój przyszły teść - świeżo ściągnięty do Warszawy przez prezydenta Stefana Starzyńskiego na dyrektora rzeźni i targowisk miejskich, z zadaniem zbudowania nowej rzeźni i zakładów przetwórstwa mięsnego. Był on z wykształcenia lekarzem weterynarii (dyplom w 1906 roku w Berlinie). Bardzo mocno związał się z polskim ruchem patriotycznym na terenie pow. prudnickiego skąd się wywodził. Uczestniczył w III powstaniu śląskim za co go represjonowano i osadzono w więzieniu w Prudniku, a następnie w obozie w Chociebużu. Dziś w Prudniku jedna z ulic nosi jego imię. Po podziale Śląska musiał uciekać do Polski, do Katowic, potem porywa go Warszawa. Właśnie jedna z jego trzech córek została moją żoną.

-Kiedy to się stało?

-W maju 1939 roku.

-Długo więc Pan żonę się nie nacieszył. Wojsko, potem niemiecka niewola. Jakie Pan zaliczył obozy jenieckie?

-Po wzięciu do niewoli trafiliśmy do Lamsdorfu (Łambinowic), gdzie nas posegregowano i następnie porozsyłano do oflagów.

Wylądo

wałem na 1,5 roku w oflagu w Itzehoe pod Hamburgiem. My, podoficero

wie, byliśmy w znacznie gorszej sytuacji niż oficerowie, nas - w przeci

wieństwie do nich- używano do wszelkiej pracy. Oficerowie otrzymywa

li żołd, my nie, więc staraliśmy się go przechwytywać ogrywając ich

w karty, w kanastę lub pokera. Spod Hamburga trafiłem już do stalagu na

bagnach pod Meppen, przy granicy holenderskiej. Tu nabawiłem się reu

matyzmu, z którego wyleczyłem się dopiero w gorącym słońcu Iraku.

Z tych bagien trafiłem do stalagu w Oberlangen. Tu mi było już lepiej.

Prowadziłem kucharzowi księgi więc nie narzekałem przynajmniej naje

dzenie. Z tego stalagu organizowano tak zwane komenderówki do pracy

na roli, lub w zakładach. Tym sposobem trafiłem do fabryki Nawag

w Bydgoszczy. Tu przed wybuchem powstania warszawskiego przyje

chała mnie odwiedzić moja żona i nie mogła już wrócić do Warszawy, do

domu. Dość błyskawiczne wyzwolenie Bydgoszczy w dniu 25 stycznia

1945 roku spowodowało, iż staraliśmy się jak najszybciej wrócić do

domu. Szybszy okazał się teść, który -jakimś cudem - zorganizował samochód wojskowy i przyjechał po nas. Wróciliśmy do Warszawy 28 marca 1945 roku, a już 1 kwietnia rozpocząłem pracę w tworzonej właśnie Głównym Urzędzie Pomiarów Kraju przy Prezesie Rady Ministrów (późniejszym Centralnym Urzędzie Geodezji i Kartografii).

Po wojnie wszędzie brakowało fachowych kadr, także na Śląsku, gdzie nigdy przecież nie było za dużo własnych, wykształconych kadr, co dopiero po tej strasznej wojnie. Dlatego też już w lipcu 1945 roku zostałem, jako Ślązak, oddelegowany do Katowic, z poleceniem zorganizowania służb pomiarowych we wszystkich powiatach województwa Śląsko-Dąbrowskiego, które wówczas obejmowało tereny dzisiejszego województwa śląskiego i opolskiego. Tym sposobem wróciłem na Śląsk, gdzie przeżyłem sześć niezwykle aktywnych i twórczych lat.

-A więc po dwunastu latach powrócił Pan na Śląsk?

-Proszę pamiętać, że wróciłem na Śląsk zaledwie w trzy miesiące po wojnie. Trzeba było szybko zebrać ocalałą dokumentację geodezyjną, przekazać ją do tworzonych powiatów, aby mogły powstać, i zacząć funkcjonować niezbędne służby pomiarowe, dzisiaj nazywane geodezyjno-kartograficznymi.

-Kogo Pan zastał w Katowicach i od czego Pan zaczął?

-Wojewodą był Aleksander Zawadzki, jego zastępcą energicznie działający - Jerzy Ziętek. Z nim miałem najczęstsze kontakty. Jemu na przykład przygotowywałem pierwsze mapy województwa z przyłączonymi po wojnie obszarami. Dla niego nie było spraw niemożliwych do rozwiązania. Pytał zazwyczaj: *Jak wam tam synki idzie?* i jakoś znajdowało się wyjście, czasem nawet z beznadziejnej sytuacji. Organizowałem służby pomiarowe, jednocześnie szkoląc kadry na ich potrzeby. Zgłaszali się do mnie młodzi ludzie, w różnym wieku, z prośbą aby założyć szkołę mierniczych. A tu nie było jeszcze nawet kuratorium. Trzeba było szukać jakiejś jego ekspozytury, by uzyskać zgodę na założenie czegoś co mogło by stanowić załączek przyszłej szkoły. Zorganizowaliśmy więc Jednoroczny Kurs Kreślarsko-Pomiarowy dla osób pracujących w zawodzie a nie posiadających formalnych uprawnień oraz dla młodych ludzi, którym w zdobywaniu wykształcenia przeszkodziła wojna. Już 15 października

1945 roku zainaugurowano zajęcia na pierwszym kursie. Ponieważ
więk
szość słuchaczy pracowała, zajęcia odbywały się popołudniami w
budyn-

ku Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych przy ulicy Krasińskiego w Katowicach. Potem trzeba było załatwić, aby absolwenci kursu mogli kontynuować naukę w tworzonej Gimnazjum Mierniczym (późniejszym Technikum Geodezyjnym). Z jednym z pierwszych roczników jego absolwentów utrzymuję kontakty do dziś. Był to wyjątkowo udany rocznik. Niemal co roku odbywają się jego spotkania. Było ich 34, wszyscy następnie skończyli studia, wszyscy też (z wyjątkiem dwóch: księdza Rajmunda Stachury i gen. Pietrzyka) zostali następnie dyrektorami różnych przedsiębiorstw, a dr Alojzy Guziel doszedł do stanowiska dyrektora Zjednoczenia Przemysłu Kruszyw.

-Wspomniał Pan o Jerzym Ziętku?

-Powiem panu tylko tyle, że dzięki niemu, aby odbudowywać wspomniane służby pomiarowe w całym województwie, mogłem przełamywać

przeróżne kłopoty, których przecież było co niemiara. Początkowo nie było

nawet czym dojechać do oddalonych powiatów. Nie było to też bezpieczne.

Na dzisiejszej Opolszczyźnie ciągle trwała wędrówka ludów. Jednych wy

siedlano, inni przybywali transportami z dawnych Kresów. Do tego graso

wali tu wówczas tak zwani szabrownicy. Poza zawodowymi, wcale nieła

twymi obowiązkami, założyłem w Katowicach pierwsze koło Związku

Mierniczych (późniejszego Stowarzyszenia Geodetów), nawet wybrano

mnie pierwszym prezesem oddziału wojewódzkiego. Podobno zawsze by

łem dobrym organizatorem, tak przynajmniej twierdzą inni.

Jerzemu Ziętkowi zawdzięczam jednak coś więcej - mój szybki doktorat obroniony już w 1949 roku. On to bowiem nie tylko zgodził się na niezbędny w tym celu urlop, lecz dał samochód abym mógł przewieźć do Nysy potrzebne instrumenty i narzędzia. W Nysie bowiem, w dawnym kolegium jezuickim „Carolinum” znalazłem warunki dla zbudowania prowizorycznego obserwatorium astronomicznego w celu przeprowadzenia potrzebnych badań i pomiarów. Prezes Głównego Urzędu Pomiarów Kraju prof. Jan Piotrowski zezwolił mi na wykorzystanie do tych badań (jednego z dwóch posiadanych wówczas w Polsce) przyrządu teodolitu astronomicznego WILD-T-4. Proszę pamiętać, że w Polsce średnio rocznie bywa jedynie około 30 nocy w czasie których panują odpowiednie warunki do obserwacji astronomicznych niezbędnych do mojej pracy.

J. Ziętek kiedy był jakiś problem do rozwiązania miał zwyczaj zabierać odpowiednich naczelników wydziałów (obowiązkowo z naczelnikami

kiem prawnego) do samochodu i wyjeżdżało się tam, gdzie trzeba było *znaleźć* rozwiązanie. W ten sposób byłem z nim na Górze św. Anny, kiedy powstał pomysł zbudowania tu pomnika Czynu Powstańczego, a także kiedy "rodził swoje największe dziecko" późniejszy Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku w Chorzowie, którego budowę rozpoczęto w 1951 roku. Mnie wtedy niestety przenoszono już do Warszawy.

-Czyżby Pan nie miał na to ochoty, przecież awansowano Pana?

-Wcale mi się to nie uśmiechało. Na Śląsku byłem u siebie, miałem ciekawą pracę, cenilem wielce śląską etykę pracy, której kluczem jest

rzetelność w wykonywaniu obowiązków. *Być w porządku, robić po*

rzędnie i na czas - to przecież naczelne cechy Ślązaków. W końcu

w Chorzowie mieszkali moi rodzice, ze Śląskiem też zdecydowała się

związać swój los starsza córka Aldona (po mężu Lukas), która następ

nie ukończy studia w Akademii Medycznej w Zabrze - Rokitnicy i jest

dziś pracownikiem naukowo-dydaktycznym Śląskiej Akademii Me

dycznej. Dzięki niej mam na Śląsku dwóch prawnuków. Druga córka

Danuta poszła w moje ślady i pracuje w Instytucie Geodezji i Kartogra

fii w Warszawie.

Wówczas - tak się jakoś złożyło - zamierzano przekształcić istniejący Główny Urząd Pomiarów Kraju, w Centralny Urząd Geodezji i Kartografii i widziano mnie w nim na stanowisku wiceprezesa odpowiedzialnego za nadzór nad pomiarami podstawowymi kraju.

-W Warszawie był już, wówczas na stanowisku wicepremiera, gen. Aleksander Zawadzki?

-*Zgadza się*. Najpierw dawano mi do stolicy delegacje, potem postanowiono mnie pod ścianą i powołując się na zasadę, *iż prezydentowi i pre*

mierowi się nie odmawia, wymuszono moje przenosiny do Warszawy.

Muszę jednak w tym miejscu dodać, że z Zawadzkim, jako wojewodą

Śląsko-Dąbrowskim, nie miałem bliższych kontaktów, poza jednym kie

dy mnie wezwał (było to w czasach kiedy polszczyono niemieckie nazwy

i nazwiska) po to, aby zwrócić mi uwagę, że nie czytam jego zarządzeń

w tej sprawie. Stwierdziłem, że chyba nie chodzi o nazwisko Leśniok.

Proszę nie żartować - odpowiedział - przecież to nie ja używam niemiec

kiego imienia. Rzeczywiście od urodzenia miałem dwa imiona: na pierwsze - Herbert, na drugie - Henryk. Co było robić, postanowiłem skreślić pierwsze i do dziś pozostaję przy drugim.

**-I tak się skończyła śląska epopeja. Od 16 lat jest Pan już na za-
służonej emeryturze. Niech Pan opowie jak wygląda tydzień
emery**

towanego profesora dr inż. Henryka Leśnioka?

-Nadal jestem bardzo zajęтым człowiekiem. Jedynie z racji cukrzycy
na którą choruję od dwudziestu lat nie lubię długich i dalekich
podróży,

bo rujną tryb życia potrzebny dla odpowiedniego odżywiania
się

w związku z tą chorobą. Miałem jeszcze do niedawna zajęcia na
Politech

nice. Jeszcze w październiku 1998 roku otrzymaliśmy, jako Wydział
Geo

deзии, zespołową nagrodę I stopnia rektora Politechniki Warszawskiej
za

osiągnięcia dydaktyczne. Działam aktywnie, już ponad 60 lat, w
Stowa

rzyszeniu Geodetów, którego jestem honorowym prezesem i
członkiem.

Od 1973 roku do dziś jestem członkiem Rady Konsultacyjnej General-
nej Dyrekcji Budowy Metra w Warszawie i wszystko wskazuje na to, iż
-biorąc pod uwagę tempo jego budowy - długo jeszcze przyjdzie mi w
tej Radzie pracować.

Wreszcie ciągle doskonałą polsko-angielską i angielsko-polską wersję
wydanego wcześniej słownika dla geodetów. Przecież w ostatnich kilku-
nastu latach w pomiarach geodezyjnych nastąpiła prawdziwa rewolucja
techniczna. Nowe urządzenia i metody, z reguły zagraniczne, wymagają
nowych nazw. Najprościej byłoby spolszczyć angielskie słowa, ale prze-
cież nie o to chyba chodzi. Proponuję więc nowe polskie ich odpowiedni-
ki, które najczęściej znajdują uznanie odpowiedniej komisji językowej...

**-Wystarczy. W przedpokoju stoi mnóstwo kryk (lasek), czy to
Pańskie hobby, czy też celowo je Pan na kogoś trzyma?**

-Historia tego hobby ma swój prapoczątek w Iraku. Miałem tam
przyjaciela, swojego odpowiednika na stanowisku w Urzędzie
Geodeзии.

Kiedyś składając wizytę w jego domu zwróciłem uwagę na pewną
laskę,

która - gdy ją wziąłem do ręki - okazała się bardzo ciężka. On
zauważył

moje nią zainteresowanie i zaproponował abym sobie wziął ją w
prezen

cie, bo ona przyniosła mu pecha. Okazało się, że jako młody
człowiek

wracał ongiś zza granicy na swój ślub. Na lotnisku w Bagdadzie
spytano

go w czasie odprawy celnej co to za laska i czemu taka ciężka.

Powiedział

z jakiego drzewa ją wykonano i dodał - na swoje nieszczęście - że
wiesz

z Indii. W Indiach panowała wówczas jakaś zaraza i celnicy

skierowali
go, zamiast do domu, na ślub, na sześciotygodniową kwarantannę. Tak
się
zaczęło moje zbieranie lasek. Do tej pechowej dla mojego
przyjaciela

doszły perskie, tureckie, afgańskie i inne. Mam ich już około pięćdziesięciu. Żadna nie może się powtarzać. Zbieram laski tylko z krajów i miast, w których byłem. Z wyjątkiem laski Aborygenów, którą przywiozła mi w prezencie żona z Australii, dokąd nie mogłem pojechać.

-Skończył Pan 86 lat, czy czuje się Pan człowiekiem spełnionym?

-Myślę, że tak. W końcu z biednego synka z Królewskiej Huty doszedłem dość wysoko.

W hierarchii polskiej nauki zająłem jakieś tam miejsce zaskarbiając sobie życzliwość wielu ludzi którym pomogłem w życiu, ponadto ciągle jeszcze przecież jestem użyteczny. Żał mi jednak tych pięciu lat młodości straconych w hitlerowskich obozach jenieckich. Jestem przekonany, że to co osiągnąłem w życiu zawdzięczam moim śląskim genom: odziedziczonemu po przodkach etosowi pracy oraz poczuciu solidnego wykonywania swoich obowiązków, wobec innych oraz wobec kraju.

Rozmawiał: Jan Cofałka

3. Zawsze trzeba pomagać³ - rozmowa z księdzem *ARKADIUSZEM NOWAKIEM*, doradcą ministra zdrowia ds. AIDS i narkomanii, laureatem prestiżowej nagrody *Organizacji Narodów Zjednoczonych*.

-Rozpocznijmy od rodowodu: co jest w księdzu śląskiego i ze Śląska? Dom, dzieciństwo, młodość?

-Urodziłem się 28 listopada 1966 roku w Rybniku. Moi rodzice teraz mieszkają w Stanowicach koło Leszczyn, gdzie również spędziłem parę

lat. Staram się tam bywać. Ostatnio niestety już rzadziej. Okazją są naj częściej uroczystości rodzinne, albo święta.

Pochodzę z typowo robotniczej rodziny. Ojciec rodem z Kujaw, natomiast matka, jej babcia, pradziadkowie to Ślązacy. Ojciec zawsze pracował jako kierowca samochodu ciężarowego, przez pewien czas na kopalni, a potem miał już swój samochód, którym zarabia. Mama zawsze prowadziła dom. Najpierw mieszkaliśmy z babcią w Rybniku, w familoku,

³ Wywiad ukazał się w miesięczniku „Śląsk” nr 4(66) kwiecień 2001 r.

potem rodzice się wyprowadzili do Jankowie gdzie mieszkaliśmy w wynajętym domu, tu chodziłem do szkoły podstawowej. 8 klasę ukończyłem już w Stanowicach. Tu rodzice kupili dom, w którym do dziś mieszkają z najmłodszym bratem. Drugi, też młodszy ode mnie brat, pracuje w Warszawie.

Z domu wyniosłem to, co jest typowe w każdej śląskiej rodzinie: pobożność, bo Pan Bóg jest tu ważny; umiłowanie pracy; obowiązkowość; ogromny szacunek dla rodziców. Wówczas ten szacunek nie pozwalał przeszkadzać kiedy mówili starsi, najważniejsze zdanie mieli rodzice, dzieci mogły jedynie słuchać gdy je dopuszczono do towarzystwa. Teraz stosunek dzieci z rodzicami jest bardziej partnerski.

- Pod koniec szkoły podstawowej w każdej, nie tylko śląskiej, rodzinie nie rodzi się problem co dalej? Jak to było w przypadku księdza słyszałem, że były pewne perturbacje?

Ja miałem inklinację do kształcenia medycznego. Chciałem iść do szkoły pielęgniarzkiej. Rodzice nie zgodzili się na to, uważali, że mężczyzna musi mieć określony zawód, który będzie zawodem stabilnym. Taką stabilność - ich zdaniem - gwarantowało Liceum Zawodowe przy hucie „Silesia”. Miałem zostać technikiem urządzeń obróbki plastycznej, tym samym musiałem odłożyć realizację swoich medycznych zamysłów.

W Liceum Zawodowym wytrzymałem trzy lata i zrezygnowałem, ponieważ miałem problemy z przedmiotami technicznymi i mechanicznymi, które mnie zupełnie nie interesowały.

Przeniosłem się do Liceum Ogólnokształcącego dla Pracujących w Rybniku. Ponieważ jednak do tego był wymóg podjęcia pracy, (na co musiałem mieć, jako niepełnoletni, zgodę rodziców) zostałem listonoszem w Rybniku - Kamieniu. Byłem nim jednak krótko, potem pracowałem jako asystent na poczcie, a stamtąd zostałem przeniesiony do urzędu pocztowego w Bełku, już na funkcję naczelnika poczty. Kiedy w 1985 roku zdawałem maturę, w ówczesnym Liceum Ogólnokształcącym im. Hanki Sawickiej w Rybniku, byłem już naczelnikiem poczty. Podobno najmłodszym w Polsce.

- **Ksiądz kończy szkołę podstawową i uczy się w średniej w okresie wielkiej polityki, wybuchu „Solidarności”, a potem stanu wojennego, czy polityka docierała do księdza?**

-Docierała, tylko że ja wówczas - zajęty swoimi sprawami - nie zda
wałem sobie sprawy z historycznego znaczenia tego co miało
miejsce,
stąd aż tak wielkiego piętna te wydarzenia na mnie, wówczas, nie
wywar
ły. Trudno mi się odnieść do politycznej oceny tamtych lat przez
pryzmat
własnych ówczesnych doświadczeń. Miałem kilkanaście lat i po
prostu
na politykę byłem za młody.

**-W pewnym momencie ksiądz podejmuje życiową decyzję i wy
biera niezwykle trudny zakon. Skąd u młodego człowieka
pojawiała
się taka potrzeba?**

-Mówiłem już o swoim dążeniu do pracy z chorymi i o tym, że wy
pełniając wolę rodziców poszedłem do innej - niż chciałem - szkoły,
nie
oznaczało to, że wygasły moje pragnienia. Kiedy zacząłem myśleć o
ka
płaństwie, chciałem połączyć jedno z drugim. Szansę na to
połączenie
dawał mi Zakon Kamilianów. Przerwałem więc pracę na pocztce i
wstąpi
łem do nowicjatu tego zakonu, w Taczyszowie koło Gliwic. Do
kapłaństwa,
oprócz chęci służenia i pomagania innym, przywiodło mnie
zafascynowa
nie nim i Kościołem. Kiedy decydowałem się zostać kapłanem
miała
miejsce w Polsce ogromna integracja społeczna wokół Kościoła.
Kościół
był instytucją, która zajmowała niezwykle pozycję i przyciągała
ogromne
rzesze ludzi. Pozycja księdza również była bardzo wysoka.
Mieliśmy
przecież już Polaka Papieża, przeżyliśmy jego niezwykle znaczące
wizy
ty w Polsce, w 1979 i w 1983 roku, wszystko to imponowało mi i
działało
na moją wyobraźnię.

**-Ale Kamilianie, to bardzo specyficzny zakon, niech ksiądz przy
pomni jego założenia?**

-W Polsce jest nas niewielu, ponad setka w kilkunastu miejscach. Na
świecie jest to liczny zakon. Jego założycielem był w XVI wieku św.
Ka
mil - Włoch wyrzucany z innych zgromadzeń zakonnych ponieważ
był
chory. Postanowił więc założyć własny zakon. Jego reguła jest
bardzo
określona i zakłada pracę z ludźmi chorymi, szczególnie tymi, którzy

są
odrzućci przez społeczeństwo. Bez względu na to jaki wyznają
świato
pogląd, wiarę, to nie ma dla nas znaczenia. Szczególnie mamy
pomagać
wtedy, kiedy może dochodzić do narażenia własnego życia. Taki jest
ide
alny charyzmat zakonu. Właśnie ten zakon świadomie wybrałem.
Przez
rok się przygotowywałem, poznawałem jego regułę, no i musiałem
pod
jąć decyzję, czy składać pierwsze śluby zakonne, czy nie. Ale
ponieważ

poszedłem do zakonu po to, aby w nim być, ślubowania złożyłem i w 1985 roku wyjechałem ze Śląska do Warszawy na studia teologiczne na Papieskim Wydziale Teologicznym.

Służyć z narażeniem życia

-Ponoć już na studiach ksiądz zaangażował się, jako jeden z pierwszych ludzi Kościoła, w pracę w środowisku osób uzależnionych?

-Po przyjeździe do Warszawy od razu poprosiłem przełożonych o zgodę, abym - niezależnie od studiów, co było moim głównym zajęciem - mógł pracować w tak zwanym obszarze społecznym.

Uzyska

łem taką zgodę, chociaż na początku niezbyt ufano tego typu zamiarom, tym bardziej, że wymyśliłem sobie pracę w środowisku osób

uzależnionych. Była to praca z rodzicami osób uzależnionych w Towarzystwie Rodzin i Przyjaciół Dzieci Uzależnionych. Uczyłem się od nich

praktycznych rzeczy, zapoznawali mnie z tajnikami narkomanii, dzielili się dramatem jaki przeżywali i byli zaskoczeni, że jestem z nimi,

bo wówczas niewiele osób z Kościoła angażowało się w tego typu pracę. Poznawałem wówczas także narkomanów. Na początku było sporo

naïwności z mojej strony, ale - krok po kroku - zdobywałem doświadczenie praktyczne i pogłębiałem wiedzę teoretyczną z obszaru

uzależnień. Miałem też swojego profesora w seminarium, który wykładał psychologię i pracował w środowisku osób uzależnionych.

Uczył mnie on bardzo wielu spraw i tak się ta moja praca rozszerzała aż po

rok 1989 i 1990, kiedy rozpoczęła się duża walka społeczności lokalnych z osobami, które przyznały się, że są zakażone na AIDS i chcą

w danej społeczności pozostawać lub zamieszkać. Początek walki

miał miejsce w Rembertowie pod Warszawą, gdzie Marek Kotański próbował utworzyć pierwszy ośrodek dla takich ludzi i mu się nie

udało

ło. Próbowałem mu pomóc i też mi się nie udało. Wówczas w porozu

mieniu z ówczesną wiceminister zdrowia - Krystyną Sienkiewicz

udało się przenieść te osoby do Konstancina.

Ja zgłosiłem się jako chętny do przejęcia nad nimi opieki, zakon się zgodził i tym sposobem, dzięki temu porozumieniu, mógł powstać, niechciany gdzie indziej, ośrodek dla wykluczonych z własnych środowisk chorych na AIDS i narkomanów.

-Ciagle mam w oczach sceny jakie pokazywała wówczas w 1990 roku telewizja z podpalaniem włącznie, przekleństwami pod adre

sem chorych, że to kara za grzechy, a ksiądz wówczas walczył o ich

prawo życia i bycia z innymi ludźmi?

-Ja uważałem, że tak trzeba robić i bardzo wierzyłem -już wówczas

- w to co mówiła medycyna, chociaż wtedy jeszcze do końca

wszystko

nie było sprawdzone. Oczywiście miałem też w sobie młodzieńczy pęd do

robienia czegoś wielkiego, osiągnięcia ideałów. Byłem w stanie wiele po

święcić, ale też szybko zrozumiałem, że praca z chorymi na AIDS nie jest

narażaniem własnego życia, a więc wypełnieniem ślubów zakonnych do

końca, chociaż w pewnym wymiarze tak. Starłem się więc robić to, co

robię do dziś, z największym pożytkiem. Moja działalność wymagała tak

że publicznego oddziaływania, żeby ludzie zmienili sposób myślenia

i ocenę choroby. W tej pracy poznawałem wspaniałych ludzi, później mo

ich przyjaciół, w tym panią prof. Zofię Kuratowską i panią prof. Ewę

Łętowską, ludzi nauki oraz kultury i sztuki. Byli to ludzie bardzo mi życz

liwi. Miałem coraz większe przekonanie, że w tych działaniach nie jestem

sam. Pomagał mi habit duchowny, widziano we mnie bowiem, dzięki nie

mu, przedstawiciela Kościoła, który walczy o prawa tych ludzi.

Oczywi

ście były także negatywne reakcje ludzi Kościoła na moją działalność, ale

wtedy wszystko było nowe i oparte nie na wiedzy, lecz na emocjach.

-Jaka zdaniem księdza jest skala zagrożenia narkomanią w Polsce?

-Dokładnych danych nie ma. Szacunkowe też są bardzo różne. Mówi się o kilkuset tysiącach. Nie ma jednak żadnego potwierdzenia tych da

nych, natomiast jeżeli patrzeć na anonimowe badania wśród młodych lu

dzi szkół ponadpodstawowych, to bardzo duża część pytaných odpowia

da, że miała kontakt z narkotykami. Nie oznacza to, że są osobami uzależ

nionymi, lecz że przez kontakt z narkotykami mogą mieć

predyspozycje
do tego aby nimi się stać. Dodam, że bardzo mnie niepokoi fakt
szybkiego
obniżania się bariery wiekowej sięgających po narkotyki. Sięgają już
po
nie uczniowie szkół podstawowych i gimnazjaliści.

**-Czy można wskazać jaki procent narkomanów jest zakażonych
na AIDS?**

-Na początku epidemii wśród osób zakażonych dominowali narko
manii. W tej chwili jest to jeszcze między 50 a 60 procent zakażonych,
ale

z tendencją obniżającą się, dlatego że zakażenie, w przypadku narkomanów, następuje wówczas gdy używane są narkotyki dożylnie. Obecnie jest tak wielka ilość i możliwość korzystania z innych narkotyków, nie wymagających kontaktu dożylnego, że siłą rzeczy obniża się wysokie dawniej ryzyko zakażenia, za to pojawiają się, niestety, coraz atrakcyjniejsze formy zażywania narkotyków, co powoduje, że coraz częściej i łatwiej się po nie sięga. Wystarczy przecież połknąć pastylkę, albo wypalić określonego papierosa.

-A więc zdaniem księdza narkomania jest największym zagrożeniem dla młodego pokolenia?

-Ja myślę, że tak. Ja się nad tym głęboko zastanawiałem. Nie lekceważąc zagrożenia tytoniem i alkoholem, narkomania - ponieważ jest to

choroba w którą się bardzo szybko wpada i z której nie można się w zasa

dzie wyleczyć (w rezultacie której następuje bardzo często śmierć) - sta

nowi rzeczywiście największe zagrożenie. Także dlatego, że -jak powie

działem wcześniej -jest coraz większa dostępność do narkotyków.

-Czy można określić grupy młodzieży, które są szczególnie zagrożone narkomanią?

-Myślę, że nie można. Analizując przychodzących do ośrodków młodych ludzi, którzy podejmują leczenie stwierdzam, że oni wywodzą się ze

wszystkich środowisk, z rodzin robotniczych i intelektualistów.

Kiedyś

mówiono, że dotyka ona częściej młodzież wywodzącą się z rodzin pato

logicznych. W tej chwili można powiedzieć, że również z rodzin zdro

wych, gdzie wydawałoby się iż wszystko jest poukładane jak należy.

Myślę, że po prostu narkomania powodowana jest wielką ciekawością

młodych ludzi oraz wspomnianą łatwością dostępu do narkotyków, czę

sto także niską ceną. Bywa przecież, że otrzymuje się pierwsze dawki za

darmo, wszystko to zwiększa możliwość sięgania po narkotyki oraz uza

leźnianie się od nich coraz większych grup młodych Polaków.

-Przyznam, że kiedyś zbulwersowała mnie wypowiedź księdza w której stwierdził, że w imię dobrze pojętej miłości do dziecka, nale

żałoby je wcześniej wyrzucić z domu, zanim nie będzie za późno, żeby

je leczyć z narkomanii...

-Dla mnie jest to łatwe do wypowiedzenia bo nie jestem rodzicem, natomiast dla rodziców taka decyzja jest ogromnie trudna. Z

doświadcze
nia- nie tylko mojego - wynikałoby, że jeżeli rodzice nie zauważą w
mia-

rę szybko, że ich dziecko sięga po narkotyki, jeżeli nie będą stawiali mu dość wygórowanych wymagań, jeżeli zamiast nich stwarzają ciepłarniane warunki pobytu w domu uzależnionemu dziecku, to ono nie będzie miało żadnych motywacji aby podjąć leczenie. Ponieważ w domu będzie ciepło łóżko, posiłek i kieszonkowe, czyli wszystko czego potrzeba do dalszego brania. Nieraz więc rodzice zdeterminowani do końca zamykali drzwi przed własnym dzieckiem. Znam przykład matki, która nie wpuściła dziecka na wigilię. Przeżywała coś potwornego, ale swój konsekwencją doprowadziła, że jej dziecko podjęło leczenie. To, że się je podejmie w przypadku narkomanii, jeszcze nie oznacza ostatecznego pozytywnego rezultatu, ale nieraz wskazana jest jakaś ostateczność, wstrząs sprzyjający rozpoczęciu leczenia.

-Na czym może polegać pomoc społeczeństwa chorym na AIDS i nosicielom wirusa HIV?

-Jeżeli chodzi o chorych i zakażonych to najkorzystniej byłoby gdyby społeczeństwo pomagało swój postawą wobec nich, natomiast zadaniem państwa jest zapewnienie odpowiedniej struktury opieki, leczenia i metod profilaktyki. Przeciętny obywatel powinien umieć i chcieć akceptować w swoim otoczeniu osobę o której wie, że jest chora. Wykazać dla niej zrozumienie, zachować normalność w kontaktach wynikającą z wiedzy o tej chorobie. Najważniejsze w tym wszystkim jest to, aby człowiek miał świadomość, że nie może żyć tylko dla siebie. Żeby nie było takich, którzy nikomu nie pomagają. Zawsze trzeba komuś pomagać, trudno jednak wymagać aby pomagać wszystkim.

-Ile jest w Polsce ośrodków leczenia chorych na AIDS i narkomanów oraz jak ksiądz ocenia potrzeby w tym zakresie?

-Fakt zakażenia, czy choroby AIDS, nie jest żadnym powodem aby takiego człowieka umieszczać w ośrodku. Dlatego na początku błędem było kiedy mówiliśmy o domach dla chorych na AIDS. Takie domy po prostu nie były potrzebne ze względów społecznych a nie medycznych, ponieważ ludzie byli wyrzucani z domów, nie mieli się gdzie podziać. AIDS nie przenosi się w drodze kontaktów codziennych, więc nie ma żadnego powodu aby chorych izolować. Natomiast jeśli chodzi o narkomanów, to jest takich ośrodków leczenia około 50 w kraju i tu już wymagamy, przynajmniej na początku terapii, pełnej izolacji, absolutnego zakazu

kontak
towania się ze społeczeństwem, w różnych ośrodkach różnie, od
miesiąca

do trzech miesięcy, co wynika z przyjętego programu leczenia. Leczenie wymaga żelaznej dyscypliny, stawia uzależnionemu określone wymagania i w ogóle zakłada konsekwencję w leczeniu, bo tylko ona może go uratować.

-Czy jest już sprzyjający klimat do tworzenia nowych ośrodków?

-Myślę, że generalnie tak, natomiast różnie bywa w szczegółach. Nie tak dawno miałem okazję w woj. lubuskim, na prośbę tamtejszego wojewody, przekonywać lokalną społeczność o konieczności zmiany postawy w stosunku do pewnego Pana, który zdecydował się, w małej miejscowości, utworzyć ośrodek dla uzależnionych nieletnich. Lokalna społeczność nie zgodziła się na to, doszło tam do gorszących starć, które znane były w Polsce przed wieloma laty. Okazało się, że w tej małej miejscowości ludzie nadal są absolutnie nieprzygotowani, nawet trochę prymitywni w tym wszystkim. Przede wszystkim zaś brakuje im podstawowej wiedzy o uzależnieniach. Nie dlatego, że tej wiedzy nie ma, ale że jej nie chcą mieć. Natomiast z radykalnie odwrotną sytuacją spotkaliśmy pod Warszawą, kiedy tworzyliśmy kolejne miejsce opieki dla osób uzależnionych i równocześnie zakażonych. Tu nie było żadnego problemu, choć powstał duży obiekt, ośrodek leczenia uzależnień i hospicjum dla umierających. Lokalna społeczność nie tylko nie protestowała, lecz sprzyjała jego tworzeniu. Miało to miejsce w Karczewie koło Otwocka. Z ogromną radością i szacunkiem patrzyłem na to, iż można coś takiego stworzyć, nie utrzymując tego w tajemnicy i bez negatywnych emocji społecznych.

-Czy można powiedzieć, że zmienił się stosunek społeczeństwa do chorych na AIDS i uzależnionych?

-Generalnie zmienił się na plus, ale stan wiedzy o tych problemach jest daleki od ideału, nawet czasami gorsząco niski. Myślę o pracownikach służby zdrowia a nawet nauczycielach. Dobrze, że przynajmniej w środowisku nauczycielskim te tematy przestały być tematami tabu, o narkomanii już się mówi. Chociaż jeszcze zbyt często spotykamy się z opinią dyrektorów szkół, że w ich szkole nie ma problemu narkomanii. Ci dyrektorzy są jednak w mniejszości. Teraz dyrektor szkoły już raczej wie, że nie oto chodzi, żeby się nie przyznać, lecz żeby odpowiednio działać i chronić młodość.

dzień. Często też rodzice wykazują wielką lekkomyślność i obojętność
wobec problemu narkomanii, bo ciągle wierzą, że to nie będzie dotyczyło
ich

dzieci. Tymczasem problem polega na *tym*, że rodzice w większości wypadków dowiadują się jako ostatni o fakcie, że ich dziecko sięga po narkotyki. Bywa tak, że dziecko jest uzależnione od kilku lat a rodzice, albo nie wiedzą, albo nie chcą wiedzieć, albo ukrywają przed sobą ten fakt i wtedy, kiedy jest już za późno, przychodzą po pomoc.

-Czy można nie wiedzieć o tym, że dziecko już długo bierze narkotyki?

-Jak praktyka wykazuje można nie wiedzieć. Natomiast to oznacza, że jest się bardzo obojętnym na tę problematykę. Z jednej strony dlatego, bo się nie posiada żadnej wiedzy na ten temat, nawet podstawowej, z drugiej bo nie obserwuje się w ogóle zachowania dziecka, albo żyje rodzic w tak odrealnionym świecie, że nie dopuszcza sytuacji, iż dziecko zachowując się tak jak się zachowuje, inaczej niż inne, sięga po narkotyki.

-Jak wygląda wobec powyższego problem narkomanii na Śląsku, bo przyznam, że ilekroć przyjeżdżam do Katowic, uderza mnie, już

na dworcu, spora liczba młodych ludzi pod wpływem narkotyku?

-W każdej aglomeracji miejskiej, dużej aglomeracji, problem jest ogromny. Śląsk na mapie narkomanii należy do tych regionów gdzie narkomania jest mocno rozwinięta. Tu zachodzi bowiem jedno miasto na drugie.

Istnieją tu oczywiście instytucje organizujące pomoc narkomanom. Był jednak wojewoda Kempski, który miał specyficzny pomysł na narkomanie, bardzo absurdalny, który od początku musiał być poddany krytyce. Dobrze, że okazało się iż był on niezgodny z prawem. (*Wywożenie narkomanów z dworca*

całkowicie za miasto - dop. J.C.) Takie pomysły nic nie wnoszą poza spektakularnym działaniem. Na Śląsku jest oddział detoksykacyjny, kilka ośrodków leczenia

uzależnień, ale myślę, że należałoby wyczulić władze samorządowe Śląska, żeby nie oszczędzały pieniędzy na profilaktykę. Dobra profilaktyka jest jak wiadomo o wiele bardziej opłacalna niż posiadanie na terenie swojej gminy narkomanów. Samorządy mają szansę włączenia się w tę działalność, oczywiście jeśli chcą. Być może pomoże im przygotowywana nowelizacja ustawy o wychowaniu w trzeźwości, która ma umożliwić aby pieniądze, które się

uzyskuje z akcyzy można przeznaczać nie tylko na profilaktykę
antyalkoho
lową, lecz również od innych uzależnień. Wówczas odpadnie
argument o
braku pieniędzy. Przy czym profilaktyka ta jest bardzo różnie
pojmowana.
Najlepszą profilaktyką jest - w moim odczuciu - budowanie boisk, hal
spor
towych, basenów, tworzenie siłowni, czyli tego wszystkiego co stwarza
moż-

liwości alternatywnego oraz - co podkreślam - finansowo dostępnego, spędzenia czasu przez młodego człowieka. Trzeba koniecznie inwestować w rzeczy długoterminowe. Oceny skuteczności działań profilaktycznych nie można dokonywać po roku, lecz po latach, bo jest ona programem na lata. Byłem ostatnio w Solcu Kujawskim, niedużym miasteczku i małej w sumie gminie, który ma: piękną halę sportową, siłownię, doskonale działający dom kultury, w którym jest wiele sekcji zainteresowań. Tam się chce ludziom coś robić, działać, społeczeństwo jest zintegrowane, bardzo mi to zaimponowało. Tam młodzież ma realną możliwość dostępu do różnych propozycji spędzania czasu i to jest najlepsza profilaktyka. Myślę, że w niektórych gminach i miasteczkach na Śląsku też tak jest.

-Czy Kościół ma, po początkowym okresie dystansowania się od chorych na AIDS i uzależnionych - co ksiądz odczuł na własnej skó

rze - sprecyzowane propozycje wspierania walki z tym rujnującym

uzależnieniem i chorobą AIDS?

-Czas zrobił swoje. Jest spore zaangażowanie Kościoła. Duże w działalność resocjalizacyjną, w tworzenie ośrodków dla osób uzależ

nionych firmowanych przez Kościół, to jest bardzo ważne. Myślę, że sy

gnały płynące od Ojca Świętego, słynna już fotografia z chorym na AIDS,

przyczyniły się do zmiany postawy wśród tych księży, którzy myśleli ina

czej na początku, którym się wydawało, że to wyłącznie zło. Jest wielu

księży na terenie Śląska, ksiądz Adrian Kowalski, który wykonuje wspa

niałą robotę z młodzieżą trudną, pod auspicjami arcybiskupa Damiana

Zimonia. Biskupa, który jest bardzo życzliwy wszelkim kwestiom od

działywania na ludzi młodych. Jest także wielu innych księży: ks. Wie

śław Sierański, ks. Bogdan Peć, który prowadzi ośrodek w Chorzowie,

jest ksiądz Walusiak w Bielsku również ze swoim ośrodkiem. Bardzo się

cieszę z rosnącego zaangażowania się w tę problematykę ludzi Kościoła.

-Z tego wynika, że 10 lat aktywności księdza, w obszarze niesienia pomocy ludziom uzależnionym i chorym na AIDS, owocuje?

-Przyznam, że niektórzy z księży zaczęli tę działalność równocześnie ze mną, na przykład ksiądz Walusiak. Tyle, że jemu przypadło pracować

bardziej lokalnie i kameralnie. Moja natomiast działalność była bardziej

nagłośniona, bo musiała wejść do mediów, aby problem mógł

zaistnieć
i być dostrzegany, o co zresztą miano do mnie nieco pretensji, ale to
już
też przeszłość.

1 O lat i co dalej?

-Księża zalicza się do grona społeczników takich jak Marek Kottański, siostra Małgorzata Chmielewska, Janina Ochojska, czy Jurek

Owsiak. Jak wobec tego, po swoich doświadczeniach, kiedy księża

uznawano za współpracującego z wrogami Kościoła, ksiądz odbiera

ataki, również księży, na Owsiaka?

-Są one niezrozumiałe dla mnie. Ja nigdy nie rozumiałem braku życzliwości dla działań Jurka Owsiaka. Cieszę się z tego, że hierarchowie Ko

ścioła w Polsce, niektórzy przynajmniej, bardzo jednoznacznie popierają

Wielką Orkiestrę. Mnie zawsze ta idea była bliska i uważam, że to iż Jurek

Owsiak wymyślił niefortunne hasło (*Róbta co chceta* - dop. J.C.) nie może

przekreślać tak szczytnej i pięknej idei, tego że całe społeczeństwo potrafi

się w ciągu jednego dnia zaktywizować i zjednoczyć w czynieniu dobra.

I co najwyżej rozumiem, że można patrzeć na to z pewną zazdrością, co

niektórzy czynią starając się organizować imprezy konkurencyjne. To jest

nieporozumienie, bo świadczy o tym, że jesteśmy mali w tym wszystkim,

że nie umiemy się cieszyć z tego, że się komuś udaje. Przecież jest to akcja

całej Polski, nie tylko Jurka Owsiaka. Sprawia mi przykrość jeśli księża

odmawiają pomocy lub przeganiają kwestujących z puszkami, natomiast

jest mi miło jeżeli słyszę z ust biskupa Józefa Życińskiego, czy Tadeusza

Pieronka, że takie działanie ma sens. Ich poglądy odpowiadają mi także

tym, że uznają Kościół za otwarty dla wielu grup społecznych i reprezentują

tym samym mądry, godny szacunku i naśladowania sposób postrzegania

rzeczywistości Kościoła. Nie ma u nich miejsca na skrajności. Mnie także

kiedyś zarzucono, że współpracując, na przykład, z prof. Kuratowską, czy

pro f. Łętowską, podaję rękę wrogom Kościoła. Było to dla mnie niezrozu

miałe i krzywdzące dla tych ludzi, stąd uważam, że trzeba być ostrożnym w formułowaniu takich sądów. Jeśli ktoś chce pomagać innemu człowiekowi, to jest to wielka rzecz. Często przy tym okazuje się, że człowiek, który zdaniem kogoś miał być daleko Kościoła, jest z nim bliżej niż by się wydało. Ale przede wszystkim, przed wydaniem łatwego sądu, należy tego człowieka dokładnie poznać.

-Ksiądz poświęcił już dziesięć lat swego 35 letniego życia na pracę wśród uzależnionych i zarażonych na AIDS? Jest ksiądz zakonnikiem, doradcą ministra zdrowia ds. AIDS i narkomanii, dyrektorem

Ośrodka Readaptacyjnego tegoż ministerstwa w Konstancinie i jego oddziałów w Piastowie i Anielinie; członkiem Komisji ds. AIDS przy Papieskiej Radzie Duszpasterstwa Służby Zdrowia w Watykanie. Dużo tego. O której ksiądz wstaje i jak wygląda typowy dzień tak zajętego człowieka?

-Wygląda różnie. Mój dzień się kończy około drugiej w nocy, toteż nie wstaję bardzo wcześnie, lecz gdzieś około siódmej, wpół do ósmej, i tak jak w przypadku każdej wspólnoty zakonnej, a takiej przewodniczę (mam dodatkowo trzech księży, którzy ze mną pracują w Anielinie gdzie mieszkam), odprawiamy Mszę Świętą. Następnie muszę dokonać wizyty cji ośrodka, zajrzeć do hospicjum, i gdzieś około dziesiątej, w zależności od potrzeb, wyjeżdżam do Warszawy gdzie znajduje się Krajowe Centrum ds. AIDS i Biuro ds. Narkomanii, dwie instytucje, które ściśle ze mną współpracują w wypełnianiu mojej funkcji i które stanowią aparat wykonawczy działań ministra zdrowia. Do ministerstwa jeżdżę prawie codziennie, szczególnie wtedy, kiedy jest taka potrzeba, albo są posiedzenia kolegium ministerstwa, albo inne ważne okoliczności tego wymagają ce, na przykład praca nad projektem ustawy o chorobach zakaźnych, która jest wymogiem wynikającym z naszych starań wejścia do Unii Europejskiej, z którą jesteśmy już opóźnieni. Sporo czasu w ciągu dnia zajmuje mi przyjmowanie ludzi, załatwianie różnych spraw i interwencji, a tak że obfita korespondencja napływająca od zakażonych oraz moja praca z kasami chorych. Często jeżdżę po kraju na różne spotkania z samorządami, młodzieżą, aczkolwiek coraz mniej mam czasu na nie. Wyjeżdżam też służbowo, w ramach pełnionych obowiązków, za granicę na różne sympozja i kongresy. AIDS jest bowiem przedmiotem stałego międzynarodowego zainteresowania a nasze doświadczenia, to co robimy, jest wysoko w świecie oceniane.

-Czy tak zajęty człowiek może więc wygospodarować choć tro

chę czasu dla siebie?

-Jestem człowiekiem, który lubi mieć czas dla siebie i w jego ramach odwiedzam przyjaciół, potrafię *znaleźć* czas na dobrą książkę.

Ponadto

nauczyłem się by nie robić wszystkiego samemu, zaniedbując siebie.

Ja

w ogóle przez pewien czas żyłem w przekonaniu, że jak będę miał urlop,

to coś się na pewno zawali. Od pewnego czasu zacząłem myśleć innymi

kategoriami, że trzeba ludziom oddawać pracę, nie koncentrować jej

tyl-

ko i wyłącznie na sobie, za to lepiej ją koordynować, żeby móc dopilnować różnych spraw.

Ponieważ mam wielką liczbę ludzi mi bliskich, przyjaciół, staram się z nimi utrzymywać kontakty, które nie polegają jedynie na telefonach. Lubię też pójść do kina, na koncert, albo czasami wyjechać w góry. Także - od czasu do czasu - gdzieś na rekolekcje.

-Ostatnio w wypowiedziach księdza pojawił się problem starości i nędzy często jej towarzyszącej.

-Stwierdziłem, że po 10 latach pracy z narkomanami należy pomyśleć o tym jak wykorzystać jeszcze swoje możliwości aktywnego działania

nia, trochę w innym kierunku. Chciałbym - na miarę zdobytych doświadczeń

oraz posiadanych umiejętności - zmierzyć się z ogromnie nabrzmiałym

problemem starych ludzi. Będę próbował się do tego przymierzyć, bo

czuję taką potrzebę.

-Ksiądz ma 35 lat. Chrystusowe lata poza sobą, trzeba przyznać że aktywność księdza przyniosła w końcu spore uznanie.

Wymienię

kilka znaczących wyróżnień: Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia

Polski - od Prezydenta RP; Order Uśmiechu - od dzieci; Nagroda im.

Brata Alberta i telewizyjny „Wiktor” oraz ostatnio Poverty Award,

najbardziej prestiżowa nagroda wręczona przez sekretarza generalnego Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku...

-Dla mnie duże znaczenie miało pierwsze, po jego ustanowieniu, otrzymane wyróżnienie „Tygodnika Powszechnego” którym jest medal

Św. Jerzego, ponieważ tygodnik ten zawsze był mi bardzo bliski. Z niego

się uczyłem może właśnie sposobu myślenia i postrzegania problemów,

stąd to wyróżnienie miało dla mnie ogromne znaczenie...

-Ale ksiądz przyznał, że nagroda ONZ miała dla niego szczególne znaczenie...

-Musiała mieć bo ją otrzymuje się raz w życiu i trudno sobie wyobrazić jakieś większe międzynarodowe uznanie dla działań, jak uznanie Organizacji Narodów Zjednoczonych. Tak naprawdę chodziło o to, iż Polska jest krajem, w którym jeśli chodzi o walkę z AIDS robi się dużo i właśnie to zostało docenione. Nagroda przyznana została co prawda

osobie, ale pojechałem ją odebrać w imieniu Polski i traktuję

osobnie to zostało docenione. Nagroda przyznana została co prawda

osobie

osobnie mnie, ale pojechałem ją odebrać w imieniu Polski i traktuję

jajako
nagrodę dla wszystkich tych, którzy przez wiele lat pracowali na
rzecz
chorych i uzależnionych.

-Gdy ksiądz wchodził do wypełnionej sali Narodów Zjednoczonych i odbierał nagrodę, czy ksiądz przeleciał w pamięci całe swoje

dotychczasowe życie i choć na ułamek sekundy wrócił do miejsca

skąd księdza ród?

-Przede wszystkim powróciłem do rodziców. W mojej wypowiedzi, która była bardzo limitowana czasowo, miałem na nią jedynie pół minuty,

wróciłem do miejsca z którego się wywodzę i do rodziców, którzy mi -

myślę - narzucili odpowiedni sposób wychowania...

-Chociaż ksiądz kiedyś powiedział, że nie zawsze się z księdzem zgadzali...

-Odwrotnie, to ja się z nimi nie zawsze zgadzałem.

-Na koniec pytanie o wspomniane na początku cechy kojarzone ze Ślązakami. Jakie z nich u księdza występują: pracowitość, rzetelność,

szeroko rozumiane poszanowanie porządku, pobożność,

poszanowanie

tradycji, szacunek dla starszych, niechęć do polityki i polityków...

-Akurat nieufności do polityki nie mam, ponieważ polityka jest czymś mi bliskim. Lubię politykę generalnie. Nie ma dnia w którym bym

nie przeczytał wszystkich ważnych gazet.

A poza tym, to chyba wszystkie wymienione powyżej cechy w jakiejś mierze posiadam. Chociaż może z tą pracowitością ostatnio jakoś u mnie gorzej. Zawsze sobie zarzucam, że można by więcej zrobić, a tu z panem ucinam sobie pogawędkę.

- Dziękuję bardzo. Szczęść Boże w dalszych poczynaniach.

rozmawiał Jan Cofałka

4. Do Bytomskich Strzelców...⁴—opowieść o Janie Rzyntelce - księdzu misjonarzu, wielkim patriocie i społeczniku

Kwiecień 2003 roku, coroczne „Święto Ślązaków” w Warszawie. Po-
stanowiono wspólnie zaśpiewać po jednej śląskiej pieśniczce laureatom
dorocznych nagród Towarzystwa Przyjaciół Śląska. Arcybiskupowi Al-
fonsowi Nossolowi, który urodził się niedaleko Gogolina, dedykowano
Karolinę. Natomiast znakomitej polskiej śpiewaczce prof. Krystynie

⁴ Artykuł ten ukazał się, w skróconej formie, w miesięczniku „Śląsk” nr 8(106) sier-
pień 2004 r.

Szóstek - Radkowej, wywodzącej się ze śląskiej rodziny o wielkich patriotycznych tradycjach (jej matka była siostrą jednego z przywódców powstań śląskich Karola Grzesika, późniejszego posła na Sejm, marszałka IV Sejmu Śląskiego i prezydenta Chorzowa) powstańczą piosenkę. Wybrano *Do bytomskich strzelców wojska zaciągają...* W czasie jej śpiewania posłowi Janowi Rzymelce z Katowic posypały się po policzkach łzy. Wzruszył się. Nigdy nie przypuszczał, że kiedyś, do tego w Warszawie, w pięknym Zamku Ostrogskich, siedzibie Towarzystwa im. Fryderyka Chopina, usłyszy tę powstańczą piosenkę, napisaną przez swego stryja ks. Jan Rzymelkę.

Od Żymelki do Rzymelki

Stryj posła, po swoim ojcu walcowniku w hucie „Laura” w Siemianowicach Śląskich, odziedziczył imię Jan. Z nazwiskiem było nieco kłopotu. Przyszły ksiądz urodził się 18 września 1877 roku w Józefowcu (parafia Chorzów, potem Dąb) jako Żymelka (bułeczka), lecz podenerwowany tym, że pruscy urzędnicy często „przełonaczali” jego nazwisko na „Cimelka” postanawia im to utrudnić. Żeby musieli się nieco nagłowić chcąc je prawidłowo wymówić, namawia swego ojca, aby nazwisko dotąd pisanie przez „ż”, zmienić na „nieortograficzne” Rzymelka. Tym sposobem połowa rodziny nosi do dziś tamto stare nazwisko, połowa to „nieortograficzne”.

Nie tylko tym różni się -jak twierdzi poseł Jan Rzymelka - rodzina: *Rzymelki są najczęściej krępi i raczej nie wyróżniają się wzrostem, ani szczególnymi oratorskimi umiejętnościami. Stryj natomiast był wysokim niezwykle postawnym mężczyzną, który potrafił świetnie i przekonująco przemawiać, a także serdecznie pochylić nad każdym człowiekiem potrzebującym pomocy lub wsparcia.*

Młody Jan, jak wielu Ślązaków w tamtych czasach kiedy na mapie świata nie było Polski, na miejsce nauki wybiera stary królewski Kraków. Jako 14 latek zgłasza się do Zgromadzenia Księży Misjonarzy - Prowincji Krakowskiej. Uczy się najpierw w Małym Seminarium Księży Misjonarzy na Kleparzu, a potem w Wielkim Seminarium. W 1901 r. zdaje eksternistycznie maturę w Gimnazjum św. Anny w Krakowie, które ukończyła plejada wielkich Polaków na czele ze S. Wyspiańskim. W rok później, 6 lipca 1902 r., od kardynała Jana Puzyny, w Katedrze na Wawe-

lu, otrzymuje święcenia kapłańskie. W trzy dni później odbywają się jego prymicje w Dębie.

W zbiorach rodziny Rzymelków zachowało się „Zaproszenie na PRYMICYE, które odprawi ks. Jan Rzymelka w kościele parafialnym w Dębie dnia 9-tego lipca 1902 o 9. godz.”, które rozsyłała jego matka Antonina (ojciec wówczas już nie żył).

Prymicje stały się wielką patriotyczną manifestacją, podobną do wcześniejszego wyświęcenia wybudowanego kościoła. Proboszcz, który był Niemcem wziął urlop, aby nie uczestniczyć w tym „polskim żywiole”. Młodzi wikariusze stanowili wówczas konkurencję dla starych proboszczów, bo z reguły byli rodowitymi Ślązakami oraz brali aktywny udział w odradzaniu polskiej świadomości narodowej na Śląsku. Takim księdzem - misjonarzem, działaczem społeczno-narodowym, wrażliwym na losy ludzi, z życiową dewizą: **Bóg i Ojczyzna**, był ks. Jan Rzymelka.

Bóg i Ojczyzna

Po święceniach ks. Jan Rzymelka przez rok jest kapłanem w Domu Ubogich. Potem, studiując w latach 1902-1906 historię kościoła, geografę i historię prawa na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, równocześnie uczy w Małym Seminarium Księża Misjonarzy na Kleparzu, kieruje misyjnym stowarzyszeniem charytatywnym i jest redaktorem różnych pism, w tym organu swego zgromadzenia kwartalnika „Miłosierdzie Chrześcijańskie”. Liczne artykuły podpisuje imieniem i nazwiskiem lub kryptonimem: J.R., Ks. J.R., a nieco później „Kapłan Górnośląski”. W latach 1905-1919 wykłada w seminarium duchownym zgromadzenia na Stradomiu i uczy religii (jest katechetą) w kilku krakowskich szkołach licealnych i zawodowych. W 1906 roku wchodzi do Komitetu Tymczasowego Opieki nad Podrzutkami, należąc równocześnie do innych stowarzyszeń charytatywnych związanych z opieką nad zaniedbaną młodzieżą. Obejmuje również kierownictwo Zakładu im. ks. Siemaszki na Białym Prądniku (dla chłopców - sierot i półsierot) z filią, którą otwiera, w Czernej koło Krzeszowic. Z polecenia księcia kardynała Adama Sapiechy kieruje sekcją sierocą Książęco-Biskupiego Komitetu Pomocy dla dotkniętych klęską I wojny światowej. W styczniu 1919 roku zostaje delegatem przy Rządowym Towarzystwie Opieki nad Młodzieżą.

Nigdy jednak nie zapomina o umiłowanym Śląsku. Od 1908 roku jest członkiem Towarzystwa Wielkopolan w Krakowie, bo stowarzyszenie to organizuje dla młodzieży z zaboru pruskiego, a więc także ze Śląska, wycieczki szkolne do starej stolicy Polski. Kiedy w 1918 zawiązuje się w Krakowie Towarzystwo Obrony Kresów Zachodnich Polski, mające na celu niesienie pomocy Śląskowi w jego walce o przyłączenie do Macierzy, rzuca się w wir jego działań. W czerwcu tegoż roku rezygnuje z dotychczasowych funkcji i działalności w organizacjach charytatywnych, by od lipca zostać pierwszym prezesem Towarzystwa Obrony Kresów Zachodnich Polski. W miesiąc po wyborze przedstawia Wojciechowi Korfantomu plan przygotowań do plebiscytu i pomocy jakiej Kraków może udzielać Śląskowi. Jako prezes Towarzystwa uczestniczy w rozmowach z J. Piłsudskim przebywającym w październiku 1919 w Krakowie, lecz ich poglądy, szczególnie jeśli chodzi o stosunek do Śląska, nie współbrzmiały, co będzie miało - o czym poniżej - pewien wpływ na losy księdza, któremu zawsze było bliżej do Wojciecha Korfanteo.

Kierowane przez ks. J. Rzymelkę Towarzystwo organizuje liczne kursy dla Ślązaków, niby to dotyczące historii Krakowa, de facto zaś przysposabiające ich do pracy w przygotowaniu plebiscytu. Zaświadczenie ukończenia kursu podpisane przez księdza - prezesa stanowi swego rodzaju glejt uprawniający do odbioru różnych materiałów plebiscytowych i pomocy dla Śląska.

W okresie plebiscytu i powstań śląskich ks. J. Rzymelka staje się - jak o nim pisano - *żywą pochodnią zagrzewającą do wytrwania oraz organizatorem pomocy dla walczących*.⁵ *Zagajał* bez mała wszystkie odbywane w Krakowie wieczornice górnośląskie, a było ich ponad 100, prowadził 58 wieców agitacyjnych połączonych ze zbiórką pieniędzy na potrzeby powstańców i na akcję plebiscytową. Organizował kwesty: uliczne, w teatrach i restauracjach, które wpłacane były na konto Towarzystwa Obrony Kresów Zachodnich Polski. Za zebrane, wcale niemałe, pieniądze kupują żywność i ubrania, które zawozi się do obozów powstańczych m.in. w Jaworznie, Szczakowej i Oświęcimiu.⁶ Dwa razy w czasie takich eska-

⁵ Prof. Henryk Pachowski historyk, sekretarz Tow. Obrony Zachodnich Kresów Polski, w latach 1922-1930 prezes Towarzystwa.

⁶ Encyklopedia Powstań Śląskich. Opole 1982, str. 251

pad przez granicę na Śląsk zostaje pobity przez niemieckie bojówki, dlatego też później, kiedy miał przyjechać, organizowana była „jego obsta-
wa”. Píše liczne odezwy i apele. W 1920 roku wydaje broszurkę pt. *Kto wyrządził ludowi polskiemu na Górnym Śląsku największą krzywdę?* W 1921 roku wychodzi zbiorek *Pieśni powstańców górnośląskich*⁷ podpisany „Kapłan - Górnosłazak”. Zawiera on także napisane przez niego, popularne do dziś takie powstańcze pieśni jak: *Do bytomskich strzelców, Od Bytomia bita droga, Tam od Odry, tam od Warty*.

29 czerwca 1920 r. powstaje Centralny Komitet Plebiscytowy, jako ponadpartyjny organ koordynujący i kontrolujący działalność społeczną organizacji pomocy dla Śląska na terenie kraju. Na czele komitetu, który miał siedzibę w Sejmie, stanął Marszałek Sejmu RP. Komitet powołał, jako organ doradczy, Radę Plebiscytową, działającą przy rządzie. Nada-
wało to sprawom przygotowań do plebiscytu górnośląskiego, wagi pań-
stwowej. W skład Rady wchodził ks. Jan Rzymelka.⁸

Ks. Jan Rzymelka nie tylko, bez opamiętania, pracuje wzywając do wypowiedzenia się w plebiscycie 20 marca 1921 roku za Polską, ale też osobiście udaje się na Śląsk, aby wziąć w nim udział głosując za Polską. Należy również do grona inicjatorów zbudowania w Krakowie, ze skła-
dek społeczeństwa, Domu Śląskiego, stanowiącego dom noclegowy i ognisko kulturalne dla wszystkich Ślązaków przybywających do Krako-
wa.

Kurytyba - Parana - Brazylia

W 1921 roku Polska otwiera konsulat polski w Kurytybie z zamiarem odrodzenia ducha narodowego i otoczenia opieką Polonii w brazylijskiej Paranie. Także kościół katolicki postanowił przeorganizować podupada-
jące tam jego placówki. Z Polski przybyło do Brazylii kilku wysoko kwa-
lifikowanych pedagogów, którzy opracowali programy i podręczniki po-
trzebne dla rozwoju dotąd samorodnego szkolnictwa i dla dokształcania
nauczycieli. Powstały dwie szkolne organizacje: świecka - „Kultura”
i katolicka - „Oświata”. Tę drugą tworzył przysłany tu ks. Jan Rzymelka.

⁷ Encyklopedia Powstań Śląskich. Opole 1982, str. 390-391

⁸ „Encyklopedia Powstań Śląskich” Opole 1982, str. 68 i 228

Prowincjonalny misjonarzy krakowskich ks. Kasper Słomiński, po trzeciej wizytacji domów misyjnych w Brazylii, uznał za konieczne ich reorganizowanie i wytyczenie im nowych kierunków działalności. Do tego zadania, na stanowisko wiceprowincjonała i kierownika misji na tym odległym kontynencie, wytypował właśnie ks. Jana Rzymelkę.

Z pewnością ks. Jan Rzymelka nie był tym zachwycony, musiał bowiem pozostawić pracę na rzecz umiłowanego Śląska, lecz propozycję przyjął z pokorą. Dla niego wola przełożonych była zawsze wolą Bożą.

Krakowska gazeta pisała: *Pracownika o wyjątkowo dużej wartości żegnał Gród Wawelski, kapłana obywatela, który kilkanaście lat oddawał rzetelne usługi biednym i opuszczonym chłopcom w zakładzie ks. Siemaszki. Żegnały go liczne stowarzyszenia humanitarne krakowskie na czele z Komitetem Arcybiskupim dla dotkniętych głodem, którym przewodniczył... Z głębokim żalem Towarzystwo Obrony Kresów Zachodnich żegnało swego prezesa, obrońcę Śląska walczącego z nieprzyjacielem o należenie do Macierzy polskiej.*⁹

Przed wyjazdem ks. Jan Rzymelka otrzymał z rąk Wojciecha Korfańskiego najwyższe odznaczenie powstańcze: Krzyż na Śląskiej Wstędze Waleczności i Zasługi.

W dniu 18 października 1921 roku ks. Jan Rzymelka „stanął” w Brazylii, gdzie miał „tyrać” -jak się mówi na Śląsku - przez siedem lat. Warunki jakie zastał nie były łatwe, lecz z właściwym sobie zapałem zabrał się do pracy. Scała rozproszone w różnych brazylijskich stanach polskie komórki w jedną organizację „Oświata”, której jest twórcą i prezesem. Rozwija ona polskie szkolnictwo, organizuje liczne odczyty, zjazdy, spotkania, wykłady, kursy dla nauczycieli, przedstawienia oraz stałe i ruchome biblioteki. Ks. Rzymelka stawia na nogi zadłużony i podupadający polonijny tygodnik „Lud”, który redaguje. Ponadto wydaje liczne podręczniki szkolne i naukowe. Wspólnie z ks. St. Piaseckim przygotowują nawet antologię literatury oraz słownik polsko-brazylijski. Uczestniczy w realizacji olbrzymiego zadania podźwignięcia na wyższy szczebel społeczny brazylijskiej Polonii. Te jego zasługi dostrzegł rząd Polski odznaczając go wysokim orderem państwowym.

⁹„Głos Narodu” 1921 r.

Józef Stańczykowski autor publikacji o Brazylii tamtych czasów pisał: *Głównym działaczem w Brazylii jest znany w Polsce z czasów akcji plebiscytowej na Górnym Śląsku, ks. Jan Rzymelka, wielki erudyta i doskonały mówca, którego nieustraszoną pracę przenika jedno tylko hasło „Bóg i Ojczyzna”*.¹⁰

Natomiast Ryszard Hajduk¹¹ w swym dzienniku z podróży brazylijskiej przytacza wspomnienie działacza Polonii brazylijskiej Pawła Nikodema według którego: *Ks. Jan Rzymelka, jako superior księży misjonarzy w Paranie, wykazywał w okresie międzywojennym szczególną dbałość o rozwój polskiego szkolnictwa zakonnego. Ksiądz Rzymelka przywiózł z sobą do Brazylii śląską pieśń powstańczą. Jeśli dziś przy rodzinnych uroczystościach czy na zebraniach towarzyskich słyszy się starych Polaków śpiewających o Bytomiu, do którego wiedzie „bita droga różami wysadzana”, czy o bytomskich strzelcach, do których „wojska zaciągają 1niejednej dziewczynie, niejednej kochance serca zasmucają” — zasługa to księdza Rzymelki. On był nie tylko autorem tych pieśni, napisał je w okresie powstań, lecz przede wszystkim uczył młodzież polską w Paranie ich śpiewania.*

Powrót do kraju

W 1929 roku ks. J. Rzymelka przybywa do kraju jako reprezentant brazylijskiej Polonii na I Zjazd Polaków z Zagranicy w Warszawie, po czym skierowano go do Wilna na superiora Zgromadzenia Księży Misjonarzy. I jak to z nim bywało: wykłada na Uniwersytecie Wileńskim; równocześnie dyrekturuje Stowarzyszeniu Pań Miłosierdzia; jest kierownikiem Związku Akademickich Kół Misyjnych w Polsce oraz wychowawcą w Małym Seminarium Księży Misjonarzy. Jednym słowem - z właściwym sobie temperamentem działa na wielu frontach.

Emerytowany ks. Wiktor Prądyński, rezydujący dziś w Domu Misyjnym przy Kościele św. Krzyża w Warszawie, poznał ks. Jana Rzymelkę jako student w Wilnie.

Do dziś pamięta, że kiedy wchodziło się do księdza superiora wszędzie leżało mnóstwo książek. Stały też one w wysokich sztaplach na podłodze.

¹⁰ Józef Stańczykowski „Polska w Brazylii” Kraków 1928

¹¹ Ryszard Hajduk „Loksodroma Śląsk - Brazylia”. Katowice 1969, str. 163-164

Przechodząc przez pokój trzeba było więc uważać, aby któregoś nie przewrócić. Lubił mieć książki pod ręką, aby w każdej chwili móc sięgnąć do potrzebnej. Inne cechy księdza Rzymelki, to jego społecznikowska pasja, głęboki patriotyzm i nadzwyczajne poczucie obowiązku. Nie potrafił być obojętnym wobec ludzkiej niedoli oraz tego co działo się w Polsce.

Sprawa biskupa polowego

W 1931 roku „śmiertelnie podpadł” Józefowi Piłsudskiemu ówczesny biskup polowy Wojska Polskiego Stanisław Gali, którego dymisję - we właściwy sobie żołnierski sposób - pomimo oporu Watykanu - wymusił Marszałek. Opór Kościoła złamał wstrzymując wypłaty uposażenia dla całej Kurii Polowej i bpa Galia. W końcu nuncjusz apostolski uległ, powstał jednak problem następcy biskupa polowego. Z tym zgłosił się do Marszałka, w dniu 16 grudnia 1932 roku, nuncjusz Francesco Marmaggi. Spytany przez nuncjusza o kandydata na biskupa polowego J. Piłsudski żadnej propozycji nie zgłosił. Powiedział natomiast: *Proszę wysunąć kandydatury, a ja się do nich ustosunkuję. Wysuwanego przez nuncjusza kandydata księdza Żemelko przyjmuję do zbadania i to z tym, że będę go studiował bez sympatii dla niego, z góry o tym uprzedzam*. Jak relacjonuje tę rozmowę pułkownik Ludwik Korwin-Sokołowski, wówczas szef gabinetu marszałka J. Piłsudskiego, nuncjusz prosił Marszałka, aby nie robił tego zastrzeżenia. Po trzech tygodniach Marszałek kandydaturę ks. Jana Rzymelki (bo o niego chodziło) odrzucił. Wiadomo było, że chętnie widziałby i zaaprobowałby kandydaturę ks. Mauersbergera, którego znał jako kapelana Szkoły Podchorążych w Warszawie. Tego kandydata jednak nie forowała hierarchia kościelna. Marszałek postanowił więc odrzucać kolejno wszystkich kandydatów, póki nie wypłynie kandydatura ks. Mauersbergera. Po pewnym czasie stało się jednak wiadomym, że kandydatura ta nie ma szans, a nominacja biskupa polowego zbyt się przeciągała w czasie. Wówczas wypłynęła kandydatura proboszcza w Królewskiej Hucie, księdza prałata Józefa Gawliny, którą zatwierdziły najwyższe czynniki państwowe¹².

¹² Adam Ludwik Korwin-Sokołowski „Fragmenty wspomnień 1910-1945”, Paryż 1985, za „Politykę” nr 49(2066) 7 grudnia 1996 r.

Że ks. Jan Rzymelka nie miał szans było wiadomo. Był on po prostu zbyt emocjonalnie związany z Wojciechem Korfantym, którego J. Piłsudski nie cierpiał. Potwierdza to również powyżej cytowany ks. Wiktor Prądzyński, który twierdzi, że odpowiednie materiały wskazujące na bliskie związki ks. Rzymelki z Korfantym, wraz nieprzychylnymi Piłsudskiemu wypowiedziami księdza, przygotował Marszałkowi jego osobisty adiutant mjr Mieczysław Lepecki. Ponadto trudno sobie wyobrazić aby ks. J. Rzymelka mógł przystać na warunki jakie podyktował Marszałek kandydatowi na biskupa polowego. Jeszcze raz zacytujmy fragment relacji szefa gabinetu Marszałka z rozmowy z ks. J. Gawliną w dniu 7 lutego 1933 r.: *Ponieważ nie wyraziłem zastrzeżeń do osoby księdza, więc ksiądz przyjdzie do wojska na biskupa polowego. Zawezwałem księdza, by mu teraz już ustalić pewne pouczenia jako minister Spraw Wojskowych. Ksiądz podlegać będzie mnie. Technicznie sprawy duchowieństwa wojskowego są u mnie ześrodkowane u mego szefa gabinetu... Podkreśliłem, że ksiądz pracuje u mnie, ale technicznie z moim szefem gabinetu, a to dlatego, by ksiądz nie trafiał tam, gdzie niczego nie zgubił i po kątach nie chodził... Muszę też księdzu jako następcy parę słów i moją opinię powiedzieć o poprzedniku księdza. Nazywam go świnią i to plugawą... Toteż przy obejmowaniu funkcji od niego nie radzę księdzu słuchać jego rad i wskazówek, z mojej strony musiałbym z góry je postęponować¹³.*

Proboszcz u św. Krzyża

Od lipca 1936 roku ks. Jan Rzymelka zostaje powołany do pracy w kołebce polskich księży misjonarzy. Zostaje proboszczem parafii św. Krzyża w Warszawie oraz superiorem (przełożonym) domu Księża Misjonarzy przy tym kościele. Nieco później, po śmierci założyciela zakonu, kardynał Aleksander Kakowski czyni go także komisarzem arcybiskupim Stowarzyszenia Sióstr Benedyktynek Loretanek (funkcję tę będzie pełnił z przerwami do 1952 r. odgrywając znaczną rolę w formowaniu się tego młodego zgromadzenia zakonnego, którego siostry głoszą Ewangelię poprzez słowo pisane). Działalnością Zgromadzenia żywo interesował się nuncjusz apostolski w Polsce Achilles Ratii (późniejszy papież Pius XI), którego ks. Jan Rzymelka poznał w okresie plebiscytowym.

Honor i gaża „Polityka” nr 49(2066) z 7 grudnia 1996 r.

Nadszedł rok 1939, z nim tragedia wrześniowa. Ks. Jan Rzymelka boleśnie przeżywa niedolę ukochanej Ojczyzny. Cierpi, lecz nie byłby kapłanem miłosierdzia, gdyby nie niósł pociechy i pomocy innym, o sobie najmniej pamiętając.

Niemcy wiedzieli o nim sporo, więc już w październiku 1939 roku trafia do więzienia na Pawiaku. Wówczas jednak hitlerowcy nie chcą jeszcze brutalnie zadzierać z Kościołem. Po interwencji biskupa i wizycie na Pawiaku komisarza Rzeszy dla miasta Warszawy dr Otto wypuszczają go po dwóch tygodniach na wolność. Nie przestaje jednak czynić swoich powinności, choć musi to robić bardziej ostrożnie.

Odrębnym problemem, który zasługuje tu na wzmiankę jest pomoc udzielana przez misjonarzy ludności żydowskiej. Pod tym względem wyróżniły się szczególnie dwa ośrodki, a mianowicie parafia świętego Krzyża w Warszawie i parafia świętego Wincentego a Paulo we Lwowie. Jeśli chodzi o Warszawę, to Żydom w różnej formie pomagał szczególnie proboszcz parafii, a zarazem superior domu ks. Jan Rzymelka i jego następca od 1944 roku ks. Leopold Petrzyk oraz ks. Leon Więckiewicz. Nie można zaprzeczyć, że księża Rzymelka i Petrzyk, w miarę możliwości nieśli pomoc ludności żydowskiej...czynili to...w każdym razie bardzo dyskretnie wobec najbliższych współpracowników¹⁴

Świadczenie tej pomocy potwierdza także bp. Karol Niemira, który omawiając pomoc Polaków dla Żydów w getcie pisze:....*spośród warszawskich misjonarzy szczególnie czynni w akcji pomocy byli ks. Jan Rzymelka i ks. Leopold Petrzyk z parafii św. Krzyża...*¹⁵

Pawiak po raz drugi

Nadszedł dzień 7 lutego 1944 roku. Był to poniedziałek. Dzień wcześniej w niedzielne popołudnie ks. Jan Rzymelka udaje się z duchową posługą do Sióstr Miłosierdzia w szpitalu Dzieciątka Jezus. Tam go zastaje wczesna godzina policyjna ogłoszona przez rozwścieczonych hitlerowców po zamachu na generała SS Kutscherę. Postanawia więc przenoco-

¹⁴ Stanisław Janaczek „Misjonarze” w: „Życie religijne w Polsce pod okupacją hitlerowską 1939-1945” Warszawa 1982 r.

¹⁵ „Ten jest z ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom 1939-1945.” - oprac. W. Bartoszewski i Z. Lewinówna Znak 1966, str. 147

wać. Rano wracając do swego kościoła, po drodze dowiaduje się od ludzi, o aresztowaniu przez gestapo jego współpraci księży. Proszą by nie wracał i nie oddawał się w ręce gestapo. ***Jakże - powiedział -ja mam nie iść tam, gdzie są moi współpraci?***

Pamiętam dużą grupę duchownych z Kościoła św. Krzyża i księży Salezjanów z zakładu ks. Siemca na Powiślu aresztowanych 7 lutego 1944 roku po zamachu na gen. SS Kutschere. Z Kościoła św. Krzyża zabrano wtedy wszystkich księży — w sumie 15 osób. Między innymi aresztowano ks. proboszcza Jana Rzymelkę... Na skutek interwencji ks. abp Szlagowskiego pod koniec lutego i w pierwszych dniach marca 1944 roku zwolniono kilkunastu księży i braci a resztę wysłano do Gross - Rosen, skąd wielu miało nie powrócić.¹⁶

Siedem tygodni przebywał na Pawiaku. *Cela uwięzionych księży -wspomina ks. Tadeusz Serzysko - zmieniła się na dom modlitwy. 29 marca 1944 r. księży i innych więźniów w liczbie 500 wywieziono do obozu w Gross-Rosen. Ks. Jan Rzymelka był duchowym przewodnikiem tych biednych cierpiących ludzi. Gdy zaplombowane, bydłące wagony ruszyły, on przemówił serdecznie, podnosząc na duchu i obudzając ufność w Boga. Zaintonował pieśń Maryjną „ Serdeczna Matko ” i wśród szlochu wielu i modlitwy rozpoczął swą męczeńską drogę, drogę milionów innych podobnych więźniów obozów koncentracyjnych.¹⁷*

Piekło odczłowieczenia

Gross-Rosen był jednym z najcięższych obozów koncentracyjnych. Miał opinię obozu, którego przeżyć niepodobna¹⁸. Ci co przeżyli mogli następnie twierdzić, że przeżyli piekło odczłowieczenia. Wartość dziennego wyżywienia zwykle nie przekraczała tu 800 kalorii; np. w obozie oświęcimskim wartość dziennego wyżywienia wahała się od 1302 do 1744 kalorii i była trzy razy niższa od powszechnie przyjętej normy dla pracującego człowieka. W Gross-Rosen te głodowe racje żywności były łączone z totalnie wyniszczającą pracą w kamieniołomach. Stąd mie-

¹⁶ Leon Wanat „Za murami Pawiaka” KiW 1985, str. 286-287

¹⁷ ks. Tadeusz Serzysko „Wspomnienie o ś.p. księdzu Janie Rzymelce CM”. Wiadomości Archidiecezji Warszawskiej 1960 nr 7-8 str. 455-63.

¹⁸ Mieczysław Młodawa „Gross-Rosen obóz koncentracyjny na Śląsku”. Warszawa 1980.

sieczny ubytek na wadze nowo przybyłego do obozu sięgał nawet 20 kg. Rzadko kto przeżywał tu dłużej niż kilka miesięcy.

Ks. J. Rzymelka zostaje sponiewierany i spoliczkowany od razu po wejściu do obozu, po przyznaniu się, że jest księdzem. Księża w obozie byli traktowani prawie tak samo jak Żydzi. Nie ugiął się jednak przed przemocą. *Potrafił nawet - wspomina ks. T. Serzysko - wystąpić w obronie jednego z kapłanów, którego chciał zabić łopatką obozowy kapo.*

Ks. Tadeusz Serzysko były więzień obozu Gross - Rosen napisze też¹⁹: *W obozie tym przebywało mniej więcej 30 kapłanów i osób zakonnych. Księża trzymali się, poza jednym czy drugim wyjątkiem, jak w rodzinie. Mieliśmy bohaterskiego przewodnika, znanego w całym obozie, dostojnego więźnia ks. Jana Rzymelkę, superiora Księży Misjonarzy i proboszcza św. Krzyża w Warszawie. I ci spod znaku Chrystusa i wrogowie duchowieństwa przyznać muszą, że był to naprawdę najszlachetniejszy więzień obozu koncentracyjnego Gross-Rosen.*

Z kolei Mieczysław Mołdawa więzień obozu i autor książki o Gross-Rosen wspomina: *Przywieziony z Pawiaka wiosną 1944 roku superior misjonarzy, powszechnie lubiany za pogodę ducha i życzliwy uśmiech. Mimo, że ujawnienie przynależności do stanu duchownego narażało zakonników i księży na dodatkowe szyskany funkcyjnych esesmanów, ks. Jan Rzymelka odważnie pełnił swoje kapłańskie obowiązki.*²⁰

Ks. Jan Rzymelka trafił do Gross-Rosen w okresie, gdy z jednej strony nieco zelżały obozowe rygory, z drugiej zbliżał się koniec wojny, więc -i tak nieludzkie - warunki, stale się pogarszały. Do końca grudnia 1944 roku wszystkie bloki zapchane były do rekordowych granic transportami ewakuacyjnymi z Oświęcimia. Od listopada więźniowie śpią po trzech na jednym łóżku szerokości 70 cm (dwóch „w głowach”, jeden „w nogach”), wreszcie na każdym wolnym miejscu na podłodze. Na początku 1945 roku zaczęły się ewakuacje. Przy dźwiękach obozowej orkiestry długie kolumny ledwie idących więźniów opuszczały bramę obozową, których ładowano do wagonów. Do 20-tonowej węglarki upychano kolbami przeciętnie 160-200 ludzi. Na czas trwającego, nawet do dwóch tygodni

¹⁹ „Głos Katolicki” nr 11(46) z 10 marca 1946 r.

²⁰ M. Mołdawa „Gross Rosen obóz koncentracyjny na Śląsku”. Warszawa 1980, str.251

transportu, dawano bochenek chleba i puszkę konserw. Po paru dniach podróży robiło się luźniej, bo umierali chorzy i zaduszeni²¹. Ogromnie wyniszczony ksiądz Rzymelka odbywa tę drogę krzyżową znajdując w Bogu siły, by pocieszać innych. Najpierw trafia do obozu Dora-Nordhausen, stąd ich ewakuują na północ do Bergen-Belsen. Po wyzwoleniu obozu przez Anglików, w dniu 15 kwietnia 1945 r, ks. J.Rzymelkę, a właściwie to co z niego pozostało, znaleziono w przydrożnym rowie. Być może hitlerowcowi szkoda było już kuli aby go dobić, albo uznał, że padający szkielet człowieka to już trup. Ten postawny przed uwięzieniem mężczyzna teraz przypominał kościotrupa i prawie nie dawał odznak życia. Kiedy jednak uznano, że jeszcze oddycha, zaczęto go przywracać do życia. Zdołał wyszeptać, że jest księdzem misjonarzem. Dlatego trafił do szpitala w Centralnym Domu Księży Misjonarzy w Paryżu, gdzie przez wiele miesięcy powracał do -jako takiego - zdrowia.

Znowu w kraju

W 1946 roku wraca do kraju. Patrzy na ruiny, odbudowywaną świątynię i póki mu starczyło sił, spieszył z pomocą parafii. Był przewodnikiem duchowym oraz spowiednikiem zgromadzeń zakonnych Sióstr Loretanek, Wizytek i Sióstr Służebnych Miłosierdzia i dyrektorem Stowarzyszenia Dzieci Marii. Dopóki jemu samemu zdrowie pozwalało, służył pomocą bliźnim.

Na krótko przed śmiercią jedna z sióstr przysłała go odwiedzić. Otworzył oczy, choć jedna powieka już nie mogła się podnieść po porażeniu prawej strony i raku tchawicy. Poznał siostrę, wpatrzył się w biały jej kornet - symbol chrześcijańskiego miłosierdzia i łza spłynęła mu z oczu, z ruchu ust siostra odczytała jego pożegnalne: „Żegna”.²²

Zmarł 2 maja 1960 roku w przededniu rocznicy wybuchu III Powstania Śląskiego. Nie dożył 83 urodzin, z których 58 lat oddał służbie Bogu, całe zaś życie Ojczyźnie.

Z początkiem maja zmarł w Warszawie w wieku 82 lat jeden z wybitniejszych przedstawicieli naszego duchowieństwa — ks. Jan Rzymelko ze Zgromadzenia Księży Misjonarzy. W osobie śp. ks. Jana Rzymelko traci-

²¹ jak wyżej str. 282 i dalsze

²² Z mowy pogrzebowej wygłoszonej przez ks. T. Serzysko - Archiwum Księży Misjonarzy w Stradomiu

my kapłana wielkich zasług, wielkiej świętości i gorącego patriotę...
-napisał przeinaczając nieco nazwisko „Tygodnik Powszechny”²³.

Posel Jan Rzymelka pamięta swego stryja kiedy czasami przyjeżdżał na Śląsk. Siadał wówczas do pianina, brał go na kolana i grał śpiewając ulubione pieśni: kościelne, tamte przywiezione z dalekiej Brazylii oraz te bardzo mu bliskie, powstańcze.

Kiedy stryj zmarł, dzisiejszy posel Jan Rzymelka miał 8 lat. Przyjechał z ojcem na pogrzeb w dniu 5 maja 1960 r. Kościół św. Krzyża był przepelniony. Po mszy nie mogli się dostać do podstawionych autobusów, tylu było chętnych odprowadzenia ks. Jana na cmentarz powązkowski. Kiedy próbowali zdobyć w nich miejsce mówiąc, że są najbliższą rodziną zmarłego, usłyszeli, że wszyscy tu stanowiącego wielką rodzinę. Nas nie znali. Musieliśmy pojechać taksówką.

Po latach, w 1989 roku, kiedy ustalano listy kandydatów do czerwcowych wyborów do Sejmu, ową słynną listę ze zdjęciami z Lechem Wałęsą, podszedł do kandydującego z niej do Sejmu Jana Rzymelki, późniejszy wicemarszałek Senatu Andrzej Wielowieyski z pytaniem, czy jest może spokrewniony z ks. Janem Rzymelką. Bardzo się ucieszył usłyszawszy słowa potwierdzenia, bowiem poznał przed laty ks. Jana Rzymelkę, *niezwykle szlachetnego i powszechnie szanowanego człowieka, zatroskanego losami Kościoła i Ojczyzny w ciężkich czasach stalinowskich*, kiedy jako młody członek parafii św. Krzyża zaglądał na parafię.

Ksiądz Jan Rzymelka ma małą uliczkę swego imienia na ojcowiźnie, w Katowicach - Wełnowcu, odchodzącą od Józefowskiej w stronę al.W.Korfantego. W 1976 roku w Kurytybie nazwano jego imieniem jeden z placów w tym mieście.

Powoli wymierają ci, którzy znali osobiście dostojnego i szlachetnego księdza misjonarza, wielkiego patriotę i społecznika Jana Rzymelkę, lecz przecież jest z nami ilekroć śpiewamy jego „Do Bytomia bita droga różami wysadzona...” albo „Do bytomskich strzelców wojska zaciągają, niejednej panience serce zasmucają...”.

Jan Cofałka

²³ „Tygodnik Powszechny” nr 29(599) 17 lipca 1960 r.

5. Zajrzeć w XXI wiek - *Spowiedź życia Władysława Sali* ²⁴

W dobie, w której byle kto, za byle zasługi, żąda wielkich apanaży i uważa to za rzecz normalną; powszechnego pędu do posiadania i konsumpcji, taki człowiek jak 95-letni już Władysław Sala (ur. 5 czerwca 1904 r.), z jego 30-metrowym mieszkaniem na warszawskim Mokotowie, wypełnionym po brzegi jedynie bogactwem życiorysów żyjących w nim ludzi, musi jawić się jako relikw z innych zupełnie czasów. Gdyby do tego mieszkania wdarł się jakiś opryszek zwabiony legendajego głównego lokatora, byłby zdumiony skromnością materialnego dorobku człowieka, który zapisał złotą kartę na Śląsku, podobną w Warszawie i wszedł do historii naszej pedagogiki. Człowieka o którym nakręcono dwa filmy, napisano mnóstwo artykułów, do którego jeszcze dziś²⁵ - chociaż jest już od 25 lat na zasłużonej emeryturze - przychodzi dziesiątki listów i kartek z różnych stron świata. Od jego wychowanków i ludzi, którym kiedyś pomógł znaleźć życiową drogę, albo też uratował od śmierci.

Właśnie w tym mieszkaniu, pełnym pamiątek i dokumentów, siedzę naprzeciw Władysława Sali i jego o dwa lata młodszej żony Janiny, zachęcając ich - przy pomocy córki Danuty - do życiowej spowiedzi.

Małopolanin z urodzenia

„Moja matka miała dziewiętnaście lat, cztery morgi sierociego wiana i pół roku nauki w krzyszkowskiej szkole. Ojciec, starszy od niej o dwa naście lat, bogatszy o rok edukacji w myślenickiej szkole, ale bezrolny..... Łącznie o wiele za mało, by zacząć własne, samodzielne życie. A jednak pobrali się i dali nam dużo, dużo więcej ponad to, na co było ich stać...niepowtarzalny wzór życia ludzi porządných i pracowitych..” - napisze Władysław Sala w „Pamiętnikach nauczycieli”, wydanych na 75-lecie Związku Nauczycielstwa Polskiego. Mógł przecież opowiedzieć o słynnej galicyjskiej biedzie, która zniszczyła niejednego Janka Muzykanta ale Pan Władysław napisze, że z tego biednego rodzinnego domu wyniósł jeszcze coś niezwykle cennego, co towarzyszy mu całe życie: **potrzebę służenia innym, bardziej potrzebującym.**

²⁴ Artykuł ukazał się w miesięczniku „Śląsk” nr 6(44) czerwiec 1999 r.

²⁵ Władysław Sala zmarł 4 grudnia 2000 r.

Był pierworodnym synem, po nim przyszło jeszcze na świat ośmioro rodzeństwa, z którego przeżyło sześcioro. Z nim więc rodzice wiąźali największe nadzieje. Matka, kiedy ją wezwał nauczyciel szkoły ludowej Karol Świech (w odrodzonej Polsce był nauczycielem na Śląsku, zginął w obozie koncentracyjnym) i powiedział: „Będziecie mieli wielki grzech, jeśli tego chłopca nie dacie do szkół, do miasta”, wymarzyła sobie, że „wyjdzie na księdza”. Ojciec myślał o adwokacie, a małemu Władowi marzyło się zupełnie co innego. Zawsze było wokół niego mnóstwo rówieśników, których organizował w szkolne klasy, potem w wojskowy oddział, ze sztandarem i własnoręcznie wydłubanymi nożykami, na pastwiskach, karabinami. Za to z oryginalnymi zdobycznymi austriackimi kulami w kieszeniach.

Rodzice, choć w domu bieda piszczała z każdego kąta, grzechu mieć nie chcieli i mały Władysław, z ludowej szkoły w rodzinnych Krzyszkowicach powędrował do miejskiej w Myślenicach. Oznaczało to dla głodnego wiedzy Władka codzienne maszerowanie o świcie dwanaście kilometrów w jedną stronę i tyle samo po południu z powrotem. A w szkole nie było żartów, wiedzę wbijano także różgą. Po trzeciej klasie czując, że nie da sobie rady z wymaganym tu poziomem łaciny i greki, przenosi się do bliskiego jego sercu seminarium nauczycielskiego w Krakowie, grzebiąc nadzieje rodziców na to, że będzie księdzem lub adwokatem.

Ojciec, który go zawiózł do Krakowa, za radą swego kolegi umieszcza go u pewnej starej kobiety gdzie przyjdzie mu mieszkać w jednym pokoju, w którym - oprócz czterech łózek dla trzech osób dorosłych i czterech uczniów - był tylko stół. Do tego jedyne go pokoju wchodziło się przez skrzypiący przez cały dzień, od świtu do wieczora, magiel. Dopiero po jego zamknięciu można było usiąść obok niego przy oknie, by na parapecie, pouczyć się i wchłaniać, dopóki się dało, pożyczane książki.

Ojciec, do kiedy mógł, przywoził mu co tydzień jedzenie: bochen chleba, czterolitrową bańkę mleka i nieco kawy palonej z jęczmienia z sacharyną. Kiedy zaniemógł Władysław musiał co sobotę, często boso, bo trzeba było szanować buty, biec 26 kilometrów do domu, by w nocy, z niedzieli na poniedziałek, powrócić do Krakowa z chlebem w plecaku na kolejny tydzień. Ale i tak nie stać było rodziców na zapłacenie stancji, na której, oprócz wspomnianego miejsca do spania, dostawał raz dziennie jakąś bryję przypominającą zupe. Znalazła się jednak znajoma rodziny z Wielopola,

która zgodziła się wydzielić mu u siebie kawałek miejsca, na twardym i wąskim wieku kufra. Z bliska więc młody Władysław Sala poznawał nie tylko biedę, ale także ogromne obszary potrzeb społecznych. Za ten nieopłacony kąt rewanżował się wiedzą przynoszoną z seminarium, a także głośnym czytaniem pożyczanych od innych gazet i broszur.

W seminarium, dzięki nauczycielowi historii, któremu pomagali w wysyłce pomocy dla walczącego Śląska, zetknął się po raz pierwszy z tą dobijającą się do Macierzy dawną częścią Polski. I byłby już wówczas wyruszył na Śląsk jako ochotnik gdyby nie to, że w kwietniu 1921 roku zmarł ojciec. Teraz siedemnastoletni Władysław musiał już dawać sobie zupełnie sam radę. Sam, ucząc się (choć nie bardzo było gdzie i kiedy) musiał udzielać korepetycji. U jednych za obiad, u drugich za podwieczorek i kolację, wreszcie jeszcze u innych za parę groszy na ubranie, papier na zeszyty, a także na trumienkę dla zmarłego małego brata Jasia. Teraz w sobotę biegł do domu już nie po jedzenie, lecz aby pomóc i poradzić matce. Matka, chociaż chorowała i było jej niezwykle ciężko, nie chciała aby przerywał naukę.

Jeszcze dziś, gdy wspomina tamte czasy dziwi się, że z tego wyszedł jedynie z poprawką matury z literatury polskiej, którą mu zafundował jej nauczyciel. Jemu też na przekór poświęca tomik wierszy zatytułowany ironicznie „Moje próżnowanie”.

Po zdaniu matury, na której występował w nowym ubraniu zarobionym za korepetycje, z listem polecającym dyrektora seminarium wyrusza na Śląsk. Było to we wrześniu 1924 roku.

W walizce, oprócz małej poduszki i kilku osobistych rzeczy (większość na sobie) miał jedyną własną i ulubioną książkę: „Krzyżaków” H.Sienkiewicza, którą był zafascynowany (dlatego też jego najstarsze dzieci noszą imiona: Zbyszek i Danuta). Od krewnych wie, że tu łatwiej o pracę. Naiwnie przypuszcza, że przyda się tu do wielkiej walki z analfabetyzmem. Zdumiony stwierdzi potem że tu, przeciwnie niż w jego rodzinnej Małopolsce, wszyscy czytają, chociaż nie wszyscy po polsku.

Ślązak z wyboru

Katowice go zachwyciły czystością, odmiennością architektury, bogatymi wystawami, ale zauważyła, że wielu ludzi na ulicach rozmawia po niemiecku. Na pracę nadkontraktowego nauczyciela w dwujęzycznej

szkole (Hilsschulle) z polskimi i niemieckimi oddziałami musi poczekać do października. Przez dwa tygodnie zatrzymuje się więc u kolegi nauczyciela Jana Chramca w Brzeczko wicach, gdzie po kawalersku żyją „na ryżu”. Potem u ciotki w Jęzorze, na styku granic niedawnych trzech zaborów, w tak zwanym „trójkacie cesarzy”. U Chramca poznaje Franciszka Kawę powstańca śląskiego, z którym się zaprzyjaźni.

Pierwsze pięć lat na Śląsku jest dla 20-letniego na początku Władysława Sali niezwykle zachłanne jeśli chodzi o pracę i wszelkiego rodzaju działania. Szkoła mu nie wystarcza, także dlatego, że przecież musi pomóc rodzinie o której nie zapomina. Prowadzi kursy języka polskiego dla górników, w godzinach wieczornych zaś pracuje w szkole dokształcającej, w której styka się z problemami nieco starszej młodzieży. Trafia do chóru „Ogniwo”, gdzie poznaje poetę-powstańca Emanuela Imieł, który pomaga mu coraz lepiej rozumieć Śląsk i Ślązaków.

Mieszka w szkole w dużym pokoju śpi na sienniku wypchanym słomą i dopiero później dowie się, że wcześniej kiedyś tu był szpital, nie szkoła, a w jego pokoju była trupiarnia.

Młody zapalony do pracy nauczyciel coraz bardziej „wsiąka” w tutejsze realia. Spostrzega, że rynek pracy jest instrumentem wrogiej Polsce polityki. Widzi jak-przy jego pomocy - wywiera się nacisk na rodziców aby wybierali dla swych pociec niemieckie szkoły. Przeciwno temu przymuszaniu podejmuje w swoim środowisku walkę, co zjednywało mu uznanie środowisk patriotycznych, w tym powstańczych. Z pracy w szkole najmilej wspomina Szkołę Powszechną nr 12 im. Adama Mickiewicza w Katowicach - Bogucicach, gdzie rozpoczął swój pierwszy pedagogiczny eksperyment polegający na organizowaniu współpracy z rodzicami. Stwierdził bowiem, że także rodzicom trzeba pomóc w sytuacji brutalnego „kupowania dzieci” do niemieckich szkół. W Bogucicach mieszkał także jego krajan Augustyn Rzepka, który w 1921 roku poszedł do powstania i tu już pozostał.

Był urzędnikiem państwowym i działaczem powstańczym.

W Bogucicach po raz pierwszy został pochwalony przez wojewodę Michała Grażyńskiego. Grając rolę Waleriana Łukasińskiego, w przedstawieniu teatralnym zorganizowanym przez powstańców, nie tylko uzyskał jego gratulacje za grę, lecz także za deklamację własnego patriotycznego wiersza.

Młody W. Sala im więcej pracował, tym bardziej odczuwał potrzebę doskonalenia swej wiedzy, dokształcania się. Pomimo rozlicznych zajęć w szkole, w chorze „Ogniwo”, organizowania licznych wycieczek, kursów i zabaw towarzyskich (na jednej z nich poznał późniejszą wierną mu do dziś towarzyszkę życia Janinę Orzechowską, która była nauczycielką robót ręcznych) uczęszcza jeszcze na Wyższy Kurs Nauczycielski organizowany przez Związek Nauczycielstwa Polskiego. W ogóle gdzie się pojawi ten młody nauczyciel i działacz entuzjasta, tam się przykleja do niego jakaś funkcja. Sekretarzuje więc w Związku Obrony Kresów Zachodnich, w ognisku ZNP na Katowice, a także coraz bardziej wciąga go praca w Związku Powstańców Śląskich, z którym coraz bardziej się wiąże. Także jeszcze w tym pierwszym pięcioleciu swego pobytu na Śląsku zaczyna pisywać artykuły do tutejszej prasy, w tym do „Powstańca Śląskiego” i „Strzechy Rodzinnej”.

Na egzaminie kwalifikacyjnym nauczycielskim przedstawia pracę pod tytułem „Praca pozaszkolna nauczyciela na Śląsku”, za którą otrzymuje stopień celujący i jako wyróżniającemu się nauczycielowi proponowano dwuletni płatny urlop na rozpoczęcie studiów. Wybiera znaną wówczas w kraju szkołę społeczników, czyli Studium Pracy Społeczno-Oświatowej prowadzone przy postępowej Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie. Studia te popiera Związek Powstańców Śląskich, który widzi w dynamicznym Sali przyszłego organizatora młodzieżowej przybudówki Związku. Tym sposobem Władysław Sala lata 1929-1931 spędza w Warszawie. Tu poznaje wielu wybitnych uczonych i pedagogów: Ludwika Krzywickiego, Józefa Chałasińskiego, Bogdana Suchodolskiego, a także Janusza Korczaka, z którym przyjdzie mu się spotkać w dramatycznych czasach drugiej wojny. Wolna Wszechnica Polska, jak przyznaje, otworzyła mu oczy na świat, co ugruntowały praktyki w Wilnie i na Pomorzu. Podczas nauki w tej „szkole społeczników” nie tylko chłonie różne doświadczenia pracy z młodzieżą, lecz nie zaniedbuje kontaktów ze Śląskiem przesyłając tu swoje felietony: „To i owo z warszawskiego bruku”. W 1930 roku żeni się i czyni to przekornie trzynastego sierpnia.

Po powrocie w 1931 roku na Śląsk odnajduje go odmienionym. Uderza go coraz większa buta Niemców i ich bojówek przy jednoczesnej zmurze bezrobocia. Zostaje instruktorem oświaty pozaszkolnej na miasto

Katowice. Widzi setki młodych ludzi wystających na placach i wałęsających się po ulicach, grających w skata na podwórkach i w parkach. Wstrząsa nim wydarzenie w kopalni „Ferdynand”, gdzie w przykopalnia-nej stodole żywcem spłonęło 17 bezrobotnych szukających tu schronienia. Postanawia zająć się bezrobotnymi. Idzie do księdza w Bogucicach chcąc go namówić do współpracy, ten jednak wyzywa go od „komunistycznych agitatorów”. Sam więc maluje kredką afisz - odezwę, którą wiesza na ratuszu w Bogucicach na Zawodziu (dziś chyba znajduje się tu rektorat Akademii Ekonomicznej). Przychodzi około 300 ludzi, w większości niezbyt przychylnych, domagających się pracy, zaś W. Sala namawia ich, aby założyli świetlicę, gdzie mogliby godnie spędzać czas. Zostało kilkunastu, z którymi zorganizował pierwszą świetlicę w udostępnionym przez miasto lokalu.

Po tej pierwszej bogucickiej zaczęły powstawać następne świetlice dla bezrobotnych w całym mieście i okolicy, z Załężu, w Dębie i innych dzielnicach. Wielu, szczególnie młodych bezrobotnych, znalazło tu miejsce doksztalcania się, przyjacielskich spotkań, a także rozrywkę. W. Sala musi się więc zająć koordynacją pracy całej sieci świetlic. Komisja koordynacyjna stale pracowała przy Pocztowej 16. Powstaje teatr kukielkowy „Rusalka”, a w ramach utworzonego Uniwersytetu dla bezrobotnych (jedynej takiej placówki w Polsce) zaczęto prowadzić działalność oświatową i dyskusyjną. W. Sala z dumą wspomina, że ów ksiądz, który kiedyś zwyzywał go, potem przyszedł wyświęcić świetlicę. Działalność Sali dociera aż do Warszawy, dokąd chcą go porwać, jednak się na to nie godzi. Ma tu wsparcie Związku Powstańców Śląskich, dzięki czemu można było nawet wydawać pismo dla bezrobotnych, bywalców tych lokali, pt „Świetliczanin”, którego stronę tytułową zaprojektowała j jego żona.

Powstaje centralna biblioteka, urządzono pracownię zabawek, która po jakimś czasie przekształcona zostaje w spółdzielnię pracy o nazwie „W imię człowieczeństwa”, a następnie „Jawor”. Dzięki staraniom W. Sali, który potrafił wszędzie trafić - jakbyśmy to dziś powiedzieli - bezrobotni dostawali raz w miesiącu darmowe bilety do teatru, a czasami nawet jakąś pomoc. Świetlice wyciągały młodych ludzi z knajp, bo tu było ciekawiej. Przy pomocy tych świetlic powstał na Śląsku -jak widać - wielki ruch pozytywistyczny.

W szeregach OMP

Wobec narastającej antypolskiej działalności, w Związku Powstańców Śląskich dojrzewa pomysł powołania organizacji młodzieżowej, która by mogła się przeciwstawić niemieckim bojówkom i działałaby pod opieką Związku. Głównym organizatorem powstających Oddziałów Młodzieży Powstańczej (OMP) i pierwszym prezesem jego Zarządu Głównego zostaje W. Sala. Statut stwierdzał, że ich celem jest przygotowanie wysoce patriotycznej, oddanej sprawie Polski młodzieży, wychowanej na tradycji powstań śląskich, przystosowanej do życia w społeczeństwie i obrony kraju.

Oddziały Młodzieży Powstańczej rosną jak grzyby po deszczu. Już w pierwszym roku zrzeszają ponad trzy tysiące członków. Członkowie OMP w wieku od 14-18 lat to byli junacy, starsi 18-25 lat to druhowie. W dwa lata po utworzeniu organizacja liczyła już dwanaście tysięcy członków. Miała oddziały w każdym mieście i wsi Śląska, własną szkołę instruktorów, pismo, audycje w radio, wiele świetlic, jej członkowie nosili piękne mundury i odznaki zaprojektowane przez Pawła Stellera. Słowa hymnu OMP napisał Emanuel Imiela. Już podczas pierwszych zorganizowanych dożynek w 1934 roku kiedy W. Sala prowadził OMP, obserwujący defiladę wojewoda M. Grażyński powiedział: „Sala to genialny organizator”.

W. Sala stał się na Śląsku swego rodzaju instytucją-osobą niezwykle popularną wśród młodzieży, jakbyśmy to dziś powiedzieli - jej idolem. I wówczas następuje coś, co zmusza go do opuszczenia tego wszystkiego i ponownego wyjazdu do Warszawy.

Mówi o tym niechętnie. Tamten ból jeszcze dziś odczuwa, więc broni się przed przypominaniem. Ze strzępów słów i wspomnień mogę wysnuć następującą hipotezę. Już po zamachu majowym w obozie władzy toczy się ostra walka. Nasila się ona im bardziej słabnie Józef Piłsudski. Na Śląsku toczy się walka pomiędzy obozem Wojciecha Korfanteo a wojewody Michała Grażyńskiego. OMP jest pod wpływem ludzi Grażyńskiego, który podobnie jak Sala wywodzi się spod Myślenic.

Do wybuchu dochodzi w 1935 roku. Jan Lortz ówczesny szef Związku Powstańców Śląskich chce zorganizować, w rocznicę wybuchu III Powstania Śląskiego wielką manifestację w Warszawie, przeciwko paktowi

o nieagresji z hitlerowskimi Niemcami, dla pokazania, że Śląsk i Ślązacy są z Polską. Polskie władze nie są jednak tym zainteresowane. Delegacja związku nie dostaje się do ciężko już chorego Piłsudskiego, zaś premier F. Sławoj-Składkowski (ponoć na żądanie ambasadora Niemiec Hansa von Moltkego) zakazuje przyjazdu do Warszawy. Rozgoryczony Jan Lortz postanawia więc zorganizować wielką manifestację na katowickim rynku, także z udziałem kilku tysięcy członków OMP. Na wiecu nie oszczędza się rządu, co więcej - przyjęto antyrządową rezolucję. W rezultacie Lortza ogłoszono wrogiem sanacji i zmuszono do złożenia rezygnacji. Związany z nim i zawsze mu lojalny W. Sala, z bólem serca - aby nie stawiać wszystkiego na ostrzu noża - postanawia przyjąć propozycję kontynuowania studiów pedagogicznych w Warszawie, po których, we wrześniu 1939 roku, miał ponownie powrócić na Śląsk.

Warszawiak z wyroku losów

Władysław Sala i jego działalność była w Warszawie znana. Stąd też studiując na nowo powołanym wydziale pedagogiki społecznej Wolnej Wszechnicy Polskiej jednocześnie rozpoczyna działalność w Wydziale Opieki Społecznej. Twierdzi, że nigdy w życiu nie pozostawał bez jakiegoś społecznego zajęcia. Tym razem organizuje opiekę nad sierotami. Zawsze go interesowała pomoc ludziom zagubionym, bezbronny, przede wszystkim dzieciom. Jest 1936 rok. W rok później natomiast jest już kierownikiem Instytutu Mokotowskiego, najstarszego w Polsce zakładu opiekuńczego dla młodzieży moralnie zaniedbanej.

Posiadane doświadczenie pozwala mu szybko stwierdzić, że ta młodzież nie jest gorsza, tylko gorzej wychowana, w domu, w szkole a później poddana koszarowemu życiu w placówkach takich jaką mu przyszło kierować. Wprowadził więc w niej radykalne zmiany. Wypuścił młodzież do lepszych szkół w mieście, zlikwidował jednakowe umundurowanie a także etat dozorczy, który jej pilnował. I przestali uciekać bo -jak twierdzi - zarówno psy jak i dzieci uciekają tylko od złego opiekuna. Odtąd wychowankowie mogli więc wybierać szkoły, gospodarować pieniędzmi które zarobili.

Pobudowano, przy pomocy wychowanków, nowoczesne pracownie: ślusarską, wikliniarską, szewską, krawiecką, i zakupiono chłopską. Przydała się ona szczególnie w okresie okupacji hitlerowskiej. Załatwiono

bowiem iż przychodzili tu do pracy Żydzi z getta. Z tym, że rano było ich około 40, a do getta wracało o połowę mniej. Tych, których udało się wykupić lub uciec, trzeba było „rozprowadzić po ludziach” lub *znaleźć* jakieś schronienie. Oblicza się, że w okresie od czerwca do września 1942 roku tym sposobem uratowano około 500 Żydów. Ciężar tej pracy spoczywał także na żonie Janinie, która była intendentką w Instytucie.

Pan Władysław odbywał także rozmowy z Januszem Korczakiem, aby i jego w podobny sposób uwolnić. Niestety nie można było uratować całej grupy z którą przebywał, a opuścić jej się nie zgodził. Za tę działalność Władysław i Janina Salowie otrzymują po latach Medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata i honorowe obywatelstwo Izraela.

Salowie razem z wychowankami przeżywają całą gehennę okupacji. Budynek Instytutu, wraz z ich mieszkaniem, zostaje we wrześniu 1939 roku spalony, a młodzież rozproszona. Wraca ona jednak tu, aby go odbudować. Instytut jest również schroniskiem dla wielu działaczy podziemia i miejscem tworzenia oraz przechowywania różnych konspiracyjnych materiałów.

Potem przeżyli likwidację powstania, ów koszmarny marsz wielu tysięcy mieszkańców Warszawy do obozów. Pan Władysław przed wyjściem radzi wychowankom aby starsi po drodze wyczuwali momenty kiedy można uciekać. Młodszy mają trzymać się starszych, zaś ci - którym nie uda się uciec - mają iść razem z nim. Prowadzi swych wychowanków do swych rodzinnych stron, pod ojcowską strzechę. W tym czasie jego żona z wymęczonym biegunką, najmłodszym synkiem na rękę i pozostałą trójką dzieci przy sobie, przeżywa koszmar codziennego marszu, a następnie ukrywa, aby w końcu jakoś wpakować się do pociągu w kierunku Krakowa.

Rodzina odnajduje się u babci Salowej w Krzyszkowicach koło Myślenic tam też, 21 stycznia 1945 r. przeżywa pierwszy dzień wolności.

Pan Władysław natychmiast zaczyna organizować pomoc dla dzieci z Warszawy. W Myślenicach nad Rabą tworzy filię Instytutu Mokotowskiego i wyrusza na ukochany Śląsk, gdzie mu powierzono zorganizowanie komitetów pomocy społecznej w całym województwie katowickim. Pułkownik Jerzy Ziętek, pierwszy wojewoda katowicki, ma twardą rękę i codziennie rozlicza go z pracy. Dla Ziętka nie ma rzeczy niemożliwych, a także łatwych wytłumaczeń. Wszystko trzeba pokonać. Sala

organizuje komitety pomocy społecznej w różnych miejscowościach oraz pomoc dla najbiedniejszych, głównie wspomnianych dzieci. Zarówno te ze spalonej Warszawy a potem i te przyjeżdżające ze Wschodu, znajdują na Śląsku życzliwą opiekę. Do Katowic też ponownie przenosi się rodzina W. Sali, która niewiele ma z ojca zajętego od świtu do nocy służeniem innym.

Kiedy zapada decyzja o odbudowie Warszawy, w tym Instytutu Mokotowskiego, coraz natęczywiej (także w ramach pomocy dla stolicy) upomina się o swego pracownika Warszawa. W. Sala ma wrócić do Warszawy 1 maja 1946 roku, lecz nie może w ciągu roku szkolnego opuścić swych wychowanków i pozostawić rozgrzebane różne sprawy.

W rezultacie przybywa do Warszawy 1 września i trafia... na komisję dyscyplinarną za spóźnienie. Rychło też okazuje się, że w Instytucie panują już „nowe” obyczaje, a na kierownika przewiduje się zupełnie kogoś innego - swojego.

W. Sala mocno przeżywa ten cios. Po raz pierwszy musi skorzystać z urlopu, aby leczyć w sanatorium stargane nerwy. Bierze się jednak w karby i, po obronie pracy magisterskiej („Praca z młodzieżą osamotnioną”), z tytułem magistra w kieszeni zgłasza się 1 października do pracy w Szkole Podstawowej nr 178 przy ul. Różanej na Mokotowie. Najpierw dostaje, na rok, najtrudniejszą klasę, potem sam wybiera pierwszą klasę, którą prowadzi przez siedem lat do ukończenia szkoły. Pani Janina dodaje w tym miejscu „Niech Pan sobie wyobrazi On w ogóle nie stawiał dwójek”. Pan Władysław uśmiechając się mówi: „To właśnie mobilizowało uczniów. Zawsze bowiem walczyłem o szkołę życzliwą uczniom i ściśle współdziałającą z rodzicami”.

Oczywiście i tu tworzy system współpracy z rodzicami, który z czasem przerodzi się w inicjatywę zorganizowania Uniwersytetu dla Rodziców. 8 lutego 1956 roku wykładem „Rodzina jako środowisko wychowania” ruszają pierwsze zajęcia, W. Sala otrzymuje z ministerstwa polecenie ponownego objęcia Instytutu Mokotowskiego, który teraz nazywa się Państwowym Zakładem Wychowawczym nr 4. Zwycięża sentyment, zapomina, że nie można dwa razy wejść do tej samej rzeki. W tym zupełnie już nie pasującym do jego dawnych koncepcji zakładzie, skrupowanym biurokratycznymi przepisami wytrzymuje, łącząc kierownic nim z pracą w Uniwersytecie dla Rodziców do 1963 roku. Wówczas decyduje się ka-

tegorycznie odejść. Praktycznie o niczym nie mógł samodzielnie decydować. Na wszystko trzeba było zgody wyższych, co nie oznacza, że mądrzejszych czynników. Ostatnie lata pracy zawodowej poświęca już tylko Uniwersytetom, które mnożą się jak grzyby po deszczu i wymagają odpowiedniego programowania i doskonalenia form ich pracy. Tym bardziej, że w 1964 roku powstała nawet Międzynarodowa Federacja Szkół dla Rodziców. W. Sala uczestniczy często w konferencjach i wymianach doświadczeń w różnych krajach.

Na zasłużoną emeryturę odchodzi w 1974 roku, po 50 latach pracy na rzecz dzieci i młodzieży. Tak się też złożyło, że ta ostatnia praca w Uniwersytecie dla Rodziców przyniosła mu najwięcej zaszczytów i wiele nagród, łącznie z medalem Edukacji Narodowej. Wśród posiadanych odznaczeń bardzo sobie ceni, oprócz tak zwanego „chlebowego”, czyli Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski, Warszawski Krzyż Powstańczy oraz jakże drogie jego sercu Trzy Powstańcze Skrzydła, które otrzymuje w Katowicach jako jeden z pierwszych.

Śląska choroba

Kiedy - pod koniec tej „spowiedzi życia” W. Sali i jego żony Janiny (ostatnio utraciła, nad czym bardzo boleje, możliwość widzenia) pytam Pana Władysława, czy na coś choruje - odpowiada bez chwili wahania: „**Tylko na Śląsk!** Śląsk przygarnął mnie przed 75 laty, dał mi szansę sprawdzenia się i pracy dla innych, przy okazji sowicie wianując w życiowe doświadczenia. Tu spędziłem najbardziej twórcze i aktywne lata swojej młodości. Uczyłem, doskonaliłem siebie, pisałem wiersze, piosenki, artykuły, audycje radiowe, śpiewałem w chórze, występowałem w przedstawieniach teatralnych, stale coś organizowałem, przewodziłem dużej organizacji młodzieżowej, wreszcie tu poznałem wielu wspaniałych ludzi. Niestety - dodaje po chwili zadumy - większości już nie ma wśród żywych”.

Dawniej dzwonek u drzwi wejściowych prawie nie milkł. Stale bowiem zjawiali się tu goście ze Śląska i Ślązacy żyjący w Warszawie.

Odszedł już powstaniec śląski Franciszek Kawa, który kiedyś szturmował Górę św. Anny, a którym W. Sala opiekował się w Warszawie do śmierci, a potem „wychodził” u władz stolicy ulicę jego imienia na Bemowie. Nie ma już poety - powstańca - Emanuela Imieli, którego grób

ongiś w Katowicach przekopano, ale na „krzyk” Sali nie tylko go przywrócono, lecz dołożono tablicę pamiątkową, przy ulicy Andrzeja. Nie ma Pawła Stellera - ojca śląskiego drzeworytu, który zaprojektował odznakę OMP. Ani też wielu innych, których wspomina w różnych swych publikacjach oraz w książce, którą napisał o Oddziałach Młodzieży Powstańczej, już na emeryturze, to znaczy wówczas kiedy można to było uczynić bez cenzury („Do powstańców śląskich młodych zaciągają”. Śląski Instytut Naukowy, Katowice 1982). Załatwił też w Katowicach, za dworcem, plac im. OMP, udało mu się dopiąć, aby także w Warszawie, na Grobie Nieznanego Żołnierza, wśród licznych bitew jakie Polacy stoczyli, znalazły się Powstania Śląskie.

Dopóty mógł swobodnie się poruszać nie przepuścił żadnej okazji aby pojechać na Śląsk, który przed 75-laty był dla niego wielkim odkryciem, który go uformował jako człowieka wrażliwego na los innych ludzi, wreszcie na ten Śląsk, który pozostaje jego wielką miłością: „Największą miłością” - dodaje i nieoczekiwanie zaczyna śpiewać pieśń, którą napisał przed wielu wielu laty:

*„Ziemio Śląska, Ziemio Święta Krwią
okupiona. Krwią okupiona
Najpiękniejsza Ziemio Polska Bądź
pozdrowiona. Bądź pozdrowiona.”*

Gdy śpiewa wydaje mi się, że na dnie jego skupionych oczu dostrzegam zapalające się ogniki, takie chyba jakie miał gdy dumnie stał na katowickim Rynku wówczas, gdy przyjmował z kierownictwem Związku Powstańców Śląskich defiladę Oddziałów Młodzieży Powstańczej .

Żegnając się ze mną Pani Janina mówi, że ich lekarze chcieliby, aby dożyli do przypadającego w przyszłym roku 70-lecia ich małżeństwa. Pan Władysław od razu dodaje: „**Jeśli ten Najwyższy pozwoli, to może uda się jeszcze choć zajrzeć w XXI wiek**”.

Kiedy wychodzę Pan Władysław wskazuje mi na drzwi na których od wielu lat, króluje napis: „**Bydom tacy dobrzi i przydom zaś**”.

* * *

Towarzystwo Przyjaciół Śląska, podczas uroczystości z okazji X-lecia swej służby Śląskowi w Warszawie, uchwaliło list z pozdrowieniami dla Władysława Sali, i jego małżonki, informując, iż wystąpiło do Prezydenta PwP A. Kwaśniewskiego z wnioskiem o przyznanie mu najwyższego polskiego odznaczenia państwowego²⁶.

Jan Cofałka

6. Mity i realia²⁷- rozmowa z płk. dr Mieczysławem Starczewskim o Polskim Państwie Podziemnym na Śląsku w latach 1939-1945

płk dr MIECZYŚLAW STARCZEWSKI

W metryce jako miejsce urodzenia zapisano mu Gniazdów. W rzeczywistości jednak urodził się dzień przed wigilią Bożego Narodzenia 1943 roku w Polenlagrze w Piotrowicach na Zaolziu, w którym przebywali jego rodzice. Obydwoje rodzice byli członkami Armii Krajowej w Okręgu Śląskim. Ojciec był oficerem wywiadu. Po wojnie, nie ujawniając działalności konspiracyjnej, rodzina wraca do Gniazdowa. W 1963 roku, przyszły historyk i badacz dziejów ruchu oporu, kończy Technikum Hutnicze w Zawierciu i powołany do odbycia służby wojskowej rozpoczyna naukę w Oficerskiej Szkole Samochodowej w Pile. We wrześniu 1966 roku jako absolwent pilskiej samochodówki skierowany zostaje na dowódcę plutonu transportowego w jednostce liniowej w Braniewie. Nie rezygnuje jednak z zamiaru studiowania i poświęcenia się pracy naukowo-dydaktycznej. Od dzieciństwa interesuje go historia, zgłasza więc zamiar podjęcia cywilnych studiów w Gdańsku; wojsko jednak go nie wypuszcza. W końcu udaje mu się uzyskać skierowanie do Wojskowej Akademii Politycznej, którą kończy z wyróżnieniem w 1974 roku, po czym przechodzi do pracy w wyższym szkolnictwie wojskowym. W 1983 roku za pracę o ruchu oporu na Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim uzyskuje stopień doktora nauk humani-

²⁶ W dniu 9 czerwca 1999 r. Władysław Sala otrzymał Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski.

²⁷ Wywiad ukazał się w miesięczniku „Śląsk” nr 9(59) wrzesień 2000 r.

stycznych. W trakcie zbierania materiałów do niej poznaje wszystkich żyjących wówczas legendarnych dowódców i działaczy śląskiego podziemia z gen. Zygmuntem Walterem - Janke i Juliuszem Niekraszem na czele. W 1990 roku zostaje kierownikiem Zakładu Historii Polski w Akademii Obrony Narodowej, którym kieruje do jego rozwiązania w 1994 roku, przechodząc następnie do katedry Historii Sztuki Wojennej. W pracy naukowej koncentruje się na okresie II wojny światowej i powojennym. Jest autorem kilku książek, licznych artykułów oraz naukowych referatów poświęconych tej problematyce. Na bazie pracy doktorskiej powstała fundamentalna pozycja pod tytułem *Ruch oporu na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim w latach 1939-1945* (Katowice 1988), w której zawarł wiedzę o działalności różnorodnych nurtów śląskiego podziemia. Obecnie przygotowuje książkę o Polskim Państwie Podziemnym na Śląsku w okresie okupacji.

Obrona Śląska we wrześniu 1939 roku - w tamtych warunkach i położeniu - jest wciąż nie tylko godna podziwu, ale rodzi pytania: jak to było możliwe? Źródłowe badania dowodzą, że przygotowania do konspiracji wojskowej na wypadek przewidywanej wojny z Niemcami były prowadzone od wielu lat. Także to wyjaśnia dlaczego do tworzenia zrębów Polskiego Państwa Podziemnego Śląsk mógł przystąpić z chwilą nastania okupacji.

-Panie doktorze, co rozumiemy pod pojęciem Polskiego Państwa Podziemnego?

-Najogólniej przyjmuje się, że była to kontynuacja Rzeczypospolitej w czasie okupacji, w warunkach konspiracyjnych. Na jego realną treść

składała się według Leszka Gondka: „...Powszechność i masowość opo

ru, aktywność polityczna i wojskowa ujęta w odpowiednie ramy struktu

ralne, podziemny parlament, administracja i wymiar sprawiedliwości,

tajna, ale i powszechna edukacja na różnych szczeblach, rozbudowana

poligrafia, zorganizowane życie kulturalne - wszystko to wypełnia

ło...europejski fenomen określony jako Polskie Państwo Podziemne".

Dodam od razu, że Śląsk spełniał powyższe kryteria i był znaczącą czę

ścią składową tego państwa.

-Czy jest jakieś całościowe syntetyczne opracowanie dotyczące działalności Polskiego Państwa Podziemnego na Górnym Śląsku?

-Nie ma. Jest to nadal problem badawczy, chociaż powstało już wiele różnych prac, które ukazują niektóre formy jego działalności. Wiele też

czyni na rzecz udokumentowania tego ważnego okresu historii

Śląska -

Muzeum Górnos Śląskie w Bytomiu, a zwłaszcza organizator licznych konferencji naukowych i wydawnictw dr Zbigniew Kapła. Obawiam się,

że

pełne odtworzenie działalności Polskiego Państwa Podziemnego na Śląsku

będzie mało realne zważywszy na ograniczoność bazy źródłowej.

W polskich i niemieckich archiwach nie napotkano dotąd całościowych

zbiorów dokumentów odnoszących się w tym temacie do tego regionu.

Także okres po II wojnie światowej nie sprzyjał gromadzeniu wiedzy

o Polskim Państwie Podziemnym. Służba bezpieczeństwa uniemożliwia

ła zbieranie relacji uczestników i materiałów źródłowych. Wielu działaczy

czy konspiracyjnych zostało aresztowanych, część opuściła Polskę, inni

postanowili ukrywać swoją okupacyjną przeszłość i zamknęli do ostatnich

dni życia.

-Te skromne zasoby archiwalne i literatura naukowa o Polskim Państwie Podziemnym na Śląsku nie mogą więc skutecznie niwelować

rozpowszechnianego w naszym społeczeństwie stereotypu

o „zdradzie Ślązaków”, o tym co głosi jedna ze znanych w Polsce

anegdota, że Ślązak jeśli walczył w AK, to był to Afrika Korps?

-Problem rzekomej „zdrady Ślązaków” utożsamiany był najczęściej z przyjęciem przez część Ślązaków tzw. Volkslisty, co brano za wyrzecze

nie się polskości, a nie zawsze odpowiadało prawdzie. Już w jednym

z opracowań Delegatury Rządu na Kraj z października 1943 roku znalazła

złem polemikę z taką tezą, w której twierdzono - między innymi - że nie

można mówić o znacznej liczbowo masie Ślązaków, która zaparła się

Matki-Ojczyzny i są zdrajcami: „Ale ich polskość jest odmienna niż Polaków

spoza Śląska, oni są narodem granicznym rozdartym między

dwa
narody: polski i niemiecki, są bliscy krwią i duchem narodowi
polskiemu
a upodobaniami i przyzwyczajeniami - niemieckiemu". Do
utrwalania
stereotypu Ślązaków jako „zdrajców" lub wręcz „ukrytych
Niemców",
przyczyniała się także prasa wydawana w Generalnym
Gubernatorstwie,
w której tak właśnie przedstawiano Ślązaków. Chociaż także tu na
Yolks
listy wpisała się - do tego dobrowolnie - pewna liczba Polaków. Po
II
wojnie komunistyczna propaganda, kreująca głównie tezę o
decydującej
roli PPR i jej formacji zbrojnej w walce z okupantem, też nie
sprzeciwiała

się temu oskarżeniu. Wreszcie dodać należy, że dobrego imienia Ślązaków nie miał kto bronić. Ci co mogli by to czynić (inteligencja śląska) zostali prawie wytrzebieni przez okupanta.

-No dobrze, więc jaka jest prawda według Pana ustaleń?

-Błędny jest pogląd, że na ziemiach tych nie prowadzono walki z okupantem, ponieważ ludność prezentowała apolityczność i była bierna. Większość ludności polskiej tego regionu (niezwykle trudnego do prowadzenia działalności konspiracyjnej, chociażby ze względu na zaściankowość ludności, urbanizację i brak większych kompleksów leśnych oraz liczbę Niemców, którzy tu zamieszkali) zaangażowała się w działalność Polskiego Państwa Podziemnego, lub ją akceptowała. Znane mi są liczne przykłady na to, że nawet gestapo bywało zszokowane gdy np. aresztowano, na początku września 1942 roku, 69 członków Polskiej Obrony Obywatelskiej, z których 17 posiadało Yolkslisty, czyli III lub IV grupę listy narodowościowej, zaś pozostali złożyli podania o przyznanie im obywatelstwa niemieckiego.

-Także w polskiej literaturze i filmie pojawia się np. postać obywatelskiego kapo mówiącego gwara śląską...

-Liczba ludności niemieckiej na Śląsku - o czym już wspomniałem - w stosunku do polskiej była wielokrotnie większa niż w Generalnym Gubernatorstwie. Ponadto mniejszość niemiecka została zasilona przez około 100 tys. Niemców z Rzeszy, i 36 tys. z innych krajów, których tu siedlono. Część mniejszości niemieckiej znała gwarę śląską. Także niektórzy pracownicy hitlerowskiego aparatu posługiwali się nią. Obecnie niemożliwym jest ustalenie, czy byli to Ślązacy, czy też mniejszość niemiecka zamieszkująca ten region a mówiąca po śląsku. Prawdopodobnie część z nich była Ślązakami, którzy uwierzyli w swoje pochodzenie niemieckie i pracowała dla Niemców. Tragizm sytuacji polega na tym, że pod nich podciągnięto wszystkich Ślązaków. Powtarzam więc, większość Ślązaków pozostała wierna Polsce i za tę wierność, tysiące z nich,

zapła
ciło najwyższą cenę, śmiercią w hitlerowskich katowniach. Ludność
Ślą
ska wspierała Polskie Państwo Podziemne, chociaż hitlerowcy
czynili
wszystko aby ją do tego skutecznie zniechęcić. Wiele akcji, na
czele
z tzw. Intelligenzaktion przeprowadzoną na wiosnę 1940 roku, miało
słu
żyć pozbawieniu społeczeństwa polskiego na tym terenie
przywódców
i organizatorów oporu wobec okupanta.

To Śląsk był pierwszy

-Twierdzi Pan w swoich pracach, że geneza Polskiego Państwa Podziemnego na Śląsku sięga okresu międzywojennego o czym jeszcze do niedawna niewiele się mówiło. Pomówmy o tych mniej znanych sprawach z dziejów i działalności Polskiego Państwa Podziemnego na Śląsku.

-Twierdząc iż nie byłoby możliwe sprawne tworzenie konspiracji wojskowej na Śląsku, i w ogóle w Polsce, gdyby przed 1939 rokiem nie wyszkolono całej armii rezerwistów i tajnych specjalistów dywersji po-zafrontowej. Już po zakończeniu III powstania śląskiego w 1921 roku rozpoczęto tworzenie tajnej sieci konspiracyjnej do działań sabotażowo-dywersyjnych, która objęła swoim zasięgiem teren pograniczny.

W planach strategicznych władze polskie - zdając sobie sprawę z dysproporcji sił między wojskiem polskim a armiami dotychczasowych państw zaborczych - zakładały możliwość czasowej utraty części, a nawet całości terytorium państwa. Stąd postanowiono stworzyć na zagrożonych terenach - do których zaliczano Śląsk - specjalną sieć konspiracyjną w celu prowadzenia sabotażu, dywersji i wywiadu.

- Nie można więc mówić o braku czujności i odpowiednich przygotowań?

W opracowanej instrukcji, którą następnie modyfikowano i realizowano podkreślano, że okres pokojowy należy wykorzystać do szkolenia i przygotowania ściśle zakonspirowanej sieci dywersyjnej, która w wypadku wojny przystąpi na terytorium przeciwnika, lub własnym obszarze zajęтым przez przeciwnika, do niszczenia fabryk zbrojeniowych lub pracujących na rzecz armii, magazynów żywnościowych, dezorganizacji transportu, zwłaszcza kolejowego, przerywania łączności telegraficznej i telefonicznej, prowadzenia akcji terrorystycznych, a wreszcie tworzenia oddziałów partyzanckich, organizowania strajków i sabotażu, co w rezultacie miało się przyczyniać do obniżania morale przeciwnika. Dla tych celów zorganizowano na Śląsku -jako pierwszy - ośrodek szkoleniowy (tzw. „placówkę nr 1) już w listopadzie 1921 roku, z siedzibą w Chropaczowie. Do wiosny 1939 roku szkolenie przyszłych dywersantów i organizatorów konspiracji odbywało się w ścisłej izolacji od świata zewnętrznego, a uczestników dobierano tak, by pochodzili z różnych miejscowo-

ści i nie znali się. Nie wolno było im też posługiwać się własnym nazwiskiem.

W 1939 roku rozwijano szkolenie w ośrodkach terenowych, szczególnie na obszarach zagrożonych przez III Rzeszę. Na Górnym Śląsku skierowano Antoniego Lisa, który zorganizował ośrodek szkoleniowy w Rudzie Śląskiej. Szkolono przede wszystkim osoby nie podlegające służbie wojskowej w wypadku mobilizacji, szczególnie młodzież i ludzi starszych. Prowadzono wykłady dotyczące, między innymi, tworzenia warunków organizacji konspiracyjnych, znajomości jej techniki, wymogów stawianych kandydatom do pracy w konspiracji, szkolenia dywersyjnego i sabotażowego, organizowania dywersji i akcji propagandowych, przestrzegania zasad konspiracji, maskowania się i prowadzenia korespondencji. Wobec braku środków szczególne znaczenie miało pozyskanie wojewody śląskiego Michała Grażyńskiego, który wziął na siebie finansowanie szkolenia sieci dywersyjnej na polskim i niemieckim Śląsku.

-Czy teza o wcześniejszym przygotowaniu kadr dywersyjnych na wypadek wojny i okupacji broni się po wybuchu wojny?

-Nie tylko broni się lecz znajduje także potwierdzenie w licznych źródłach niemieckich. Już 3 września 1939 roku członkowie dywersji po-
zafrontowej na czele z Janem Faską przystąpili do obrony Katowic. Nie
miecki korespondent wojenny Georg Bartosch pisał o walce o każdy metr
ziemi, zdobywaniu domu za domem, o oddziałach partyzanckich które
atakowały maszerujące kolumny Wehrmachtu, o uszkodzeniu przez dy
wersję dworca w Pszczynie, ataku na oddział niemiecki w tym mieście
5 września.

Hitlerowcy zaskoczeni byli działaniami partyzanckimi i ich natężeniem, co zaprzeczało ich propagandzie o niemieckości Śląska i entuzjastycznym witaniu ich jako wyzwolicieli. W komunikacie naczelnego dowództwa Wehrmachtu z 5 września 1939 roku podano, że Górny Śląsk „jest obecnie oczyszczany z partyzantów”, ale w tym samym czasie gen. Walter von Reichenau - dowódca I O armii, w rozkazie do żołnierzy pisał: „Napady polskich partyzantów zmuszają nas do ostrego przeciwdziałania”, czyli brania i rozstrzeliwania zakładników. Inny korespondent niemiecki E.Hadamowsky donosił: „...w każdą noc odbywała się strzelanina. Na kwaterach, które uważano za bezpieczne schronienie sypały się strzały i rozlegały wybuchy granatów. Dywersanci wysadzali w powietrze

mosty i drogi". Straty niemieckie musiały być dotkliwe skoro w komunikacji wojennym z 13 września 1939 roku znajdują się tak znamienne słowa: „Naczelne dowództwo Wehrmachtu w związku z niesamowitą walką partyzancką Polaków oświadcza, że każdy opór w miastach i na wsiach będzie zwalczany wszystkimi dostępnymi środkami, jeśli polska ludność cywilna będzie atakowała wojska niemieckie." Z rąk partyzantów zginęło wielu żołnierzy i policjantów, w tym generalny inspektor żandarmerii gen. Roettig.

-W trzecim tygodniu wojny, po agresji Związku Radzieckiego, los Polski został jednak przesądzony...

-Po klęsce Polski członkowie dywersji pozafrontowej przeszli do działań konspiracyjnych. Poszczególne oddziały partyzanckie na Śląsku

zaprzestały swojej działalności bojowej, zaś kierownictwo dywersji po

zafrontowej obszaru krakowsko-śląskiego doszło do przekonania, że ko

niecznością jest przejście do etapu konspiracji. Nie czekając na odgórne

decyzje przystąpiono do tworzenia organizacji ogólnopolskiej w celu po

kierowania oporem społeczeństwa. Następuje najburzliwszy okres two

żenia na Śląsku zrębów Polskiego Państwa Podziemnego, właśnie

w oparciu o kadry przygotowane przed wojną do prowadzenie dywersji

pozafrontowej i pracy konspiracyjnej. Były powstaniec śląski kpt. rez.

Ryszard Margosz tworzy na tej bazie Śląski Okręg Organizacji Orła Bia

łego (OOB), która szybko rosła liczebnie, zaś jej działalność musiała być

znaczna skoro kierownictwa niemieckich zakładów przemysłowych

przypisywały jej członkom przeprowadzanie licznych akcji sabotażu

wych, między innymi w Blachowni.

Pod koniec listopada dochodzi do nawiązania kontaktu Margosza z Józefem Korolem - kierownikiem dywersji na Śląsk - twórcą Polskiego Ruchu Wolnościowego, który jeszcze w październiku polecił swemu podkomendnemu Ksaweremu Lazarowi utworzenie organizacji w Chorzowie i okolicy. Organizacja ta, o nazwie Polska Organizacja Powstańcza (POP), szybko rozprzestrzeniła się na okoliczne miejscowości. 3 listopada 1939 roku Józef Korol „Hajducki” opracował jej statut i wysłał do Francji emisariuszy - w celu nawiązania łączności z polskim rządem na emigracji, którzy oprócz nawiązania współpracy, mieli zorientować rząd, że na Górnym Śląsku działa pod jego przewodnictwem organizacja, która przygotowuje powstanie zbrojne.

Śląsk nie czekał na wytyczne, lecz jak widać -już w 1939 roku - przystąpił do przygotowania powstania. Jako pierwszy w skali kraju opracował plan działań, który okazał się zbieżny, z późniejszymi planami Komendy Głównej ZWZ-AK. Przy tej okazji chcę zwrócić uwagę na fakt, że Śląsk, gdzie świeże były jeszcze tradycje powstań śląskich, nie tylko jako pierwszy występuje do emigracyjnego rządu z koncepcją odzyskania niepodległości Polski przy pomocy zbrojnego powstania, lecz Korol wysuwa także propozycję utworzenia w kraju przedstawicielstwa rządu polskiego na emigracji. Dziś trudno stwierdzić na ile powołana przez gen. Sikorskiego w 1940 roku Delegatura Rządu RP na kraj była wynikiem tej śląskiej inicjatywy prawdą jest, że taka została przez Korolą zgłoszona. Oznacza to, że Śląsk w początkowym okresie okupacji - o czym rzadko jakoś się wspomina - odgrywał dominującą rolę w skali kraju.

Po licznych późniejszych aresztowaniach, w bardzo trudnych warunkach funkcjonowania, Polskie Państwo Podziemne na Śląsku nie miało aż tak masowego charakteru jak w Generalnym Gubernatorstwie, ale rozwijało się dynamicznie, zaś wywiad, sabotaż, dywersja i propaganda wysuwały się na plan pierwszy w prowadzonej walce.

Zręby Państwa Podziemnego

-Korol dysponował kilkoma tysiącami żołnierzy jeszcze w 1939 roku, to już było coś...

-Tak oceniało ich liczebność również gestapo. Nawet naczelny prokurator Rzeszy przy Trybunale Ludowym stwierdzał, że Polacy nie zaakceptowali okupacji na Śląsku, a przeciwnie... „, spodziewali się, że Niemcy przegrają wojnę z mocarstwami zachodnimi, a tym samym także ich własny los ulegnie zmianie z domniemaną dla nich korzyścią. Duża część ludności polskiej, jeśli nie uciekła wręcz za granicę i tam w tzw. legionie polskim postawiła się bezpośrednio do dyspozycji mocarstw zachodnich w celu kontynuowania walki, uważała zakończenie działań wojennych w Polsce tylko za przejście od otwartego do utajonego oporu i uważała za swoje główne zadanie wspieranie wojny mocarstw zachodnich wszystkimi sposobami, a poza tym podjęła wszelkie własne przygotowania, aby w momencie oczekiwanego w niedalekiej przyszłości upadku Niemiec wskrziesić własne państwo polskie drogą powszechnego powstania zbrojnego".

- Jak przebiegały dalsze działania organizacyjne w tych pierwszych miesiącach okupacji. To także czas powstania innych organizacji konspiracyjnych na Śląsku?

Na początku grudnia 1939 roku Korol i Margosz wyjechali do Krakowa gdzie spotkali się z krakowskim kierownictwem Służby Zwycięstwu Polsce (SZP). Korol podporządkował SZP swoją organizację, zostając wyznaczony komendantem Okręgu Śląskiego SZP (nazwa ta nie przyjęła się na Śląsku, skrót ten rozszyfrowywano jako Siły Zbrojne Polski, ale do lata 1940 roku używano jeszcze nazwy POP). Margosz przekazał mu zorganizowaną przez siebie sieć, zaś sam objął zagłębiowską.

Do końca 1939 roku powstało spontanicznie na Śląsku jeszcze kilkanaście organizacji, bardziej jednak o zasięgu lokalnym, obejmującym miejscowość, kilka miejscowości, czy powiatów. Były to, między innymi, organizacje na bazie byłych drużyn harcerskich: Tajny Zastęp Harcerski Orłów (zwany też „Młoda Polska”); Polska Organizacja Powstańcza (POP) utworzona w Rybniku przez phm. Stanisława Wolnego. W październiku 1939 roku powstała też Polska Organizacja Zbrojna (PÓZ) w Rudzie Śląskiej, na czele której stanął młody wikary ksiądz Jan Macha. W tym samym miesiącu dr Paweł Musioł *założył* na Śląsku Cieszyńskim w ramach Stronnictwa Narodowego - Tajną Organizację Wojskową (TOW), która skupiała głównie nauczycieli. W powiecie tarnogórskim powstała „Nadzieja”, która działała również w powiecie rybnickim i katowickim. W listopadzie przystąpiono do tworzenia pierwszych komórek Związku Jaszczurczego na bazie członków Obozu Narodowo-Radykalnego „ABC”, zaś na przełomie 1939 i 1940 roku zorganizowana została Chłopska Organizacja Wolności „Raclawice”. Ponadto działalność prowadziło jeszcze kilka innych grup, o znaczeniu lokalnym, związanych z dawnymi partiami działającymi na Śląsku. Oprócz ruchu komunistycznego, który przed wojną działał nielegalnie i także w okresie okupacji nie wszedł w struktury Polskiego Państwa Podziemnego prezentując odmienią koncepcję walki zbrojnej oraz przemian w powojennej Polsce.

-W czym wyrażała się specyfika Polskiego Państwa Podziemnego na Śląsku oprócz skomplikowanych warunków funkcjonowania?

-Tworzenie Polskiego Państwa Podziemnego na Śląsku przebiegało wyjątkowo dynamicznie. Rodziło się ono z mnogości inicjatyw lokalnych, które stanowiły jego zręby. Miała na to zasadniczy wpływ - o czym

już wspominałem - żywa tradycja powstań śląskich i utrzymywana nadzieja, że przy pomocy kolejnego zrywu dojdzie nie tylko do wyzwolenia spod okupacji, lecz także do rzeczywistego zjednoczenia całego rozdartego Śląska z Polską. Czołową rolę w budowie Polskiego Państwa Podziemnego odgrywała SZP, którą kierował J. Korol, potrafiący wokół koncepcji powszechnego wyzwolenieckiego powstania scalać różne siły. Przyjmuje się, że jego zręby powstały w 1940 roku, zaś w 1942 roku zakończył się proces jego kształtowania.

Jeśli chodzi o cechy szczególne Polskiego Państwa Podziemnego na Śląsku, to oprócz wspomnianego wyraźnego od samego początku celu walki (nie rezygnowano z niego nawet po klęsce Francji) Okręg Śląski miał specyficzną budowę swego sztabu przystosowaną do realizacji tego celu, wyróżniającą go spośród pozostałych okręgów w kraju. W sztabie działały: wydział wojskowy i cywilny. Cywilny dzielił się na oddziały: opieki społecznej, spraw politycznych i cywilnych i bardzo istotny oddział propagandy. Oznaczało to, że SZP-ZWZ miała na Śląsku wbrew zaleceniom Komendy Głównej charakter wojskowo-cywilny. Dominującą rolę odgrywał pion wojskowy, zaś cywilny zabezpieczał jego działalność i stanowił zaplecze, jednocześnie organizując i kierując oporem społecznym. Można postawić hipotezę iż wydział cywilny odgrywał rolę przyszłej postulowanej przez Korolą Okręgowej Delegatury RP na Śląsku.

Propaganda i sabotaż

- Ważne znaczenie w tych działaniach miała mobilizacja do oporu i wiary w klęskę Niemiec?

Istotną rolę spełniała na Śląsku propaganda, w przeróżnych jej formach. Miała ona wielki wpływ na podtrzymywanie polskiego ducha i zachowanie wiary w Polskę.

Godzi się wspomnieć, że organizacje konspiracyjne na Śląsku wydawały aż 87 tytułów gazet nie licząc 70 tytułów dostarczanych tu z Generalnego Gubernatorstwa. Ponadto wydawano wiele broszur i ulotek, w których nawet jeśli (krzepiąc ducha) przesadzano w podkreślaniu możliwości konspiracji i rychłego upadku III Rzeszy, to spełniały one ważną rolę broniąc Ślązaków przed załamaniem.

Ponadto - co także było specyficzne dla Polskiego Państwa Podziemnego na Śląsku - w jego strukturach szczególną rolę odgrywali robotnicy,

którzy nadali walce szeroki charakter a z sabotażu w przemyśle uczynili jedną z najdotkliwszych dla okupanta form oporu. Walka sabotażowa, z udziałem obcokrajowych robotników pracujących w zakładach w tym regionie, osiągnęła swoje apogeum w 1944 roku.

Warto nadmienić, że wówczas śląski przemysł dostarczał blisko 50 procent globalnej produkcji zbrojeniowej III Rzeszy. Przeprowadzono około 300 różnych uderzeń na szlaki kolejowe. Tylko grupa kolejowa ppor. Wacława Smoczyka dokonała prawie 50 różnych akcji na Górnym i Opolskim Śląsku.

-Wspomniał Pan o propagandzie i sabotażu jako ważnych elementach działalności Polskiego Państwa Podziemnego na Śląsku, pora więc powiedzieć o najistotniejszym jego elemencie - siłach zbrojnych...

-Wspomniałem już, że czołową rolę odgrywały tu SZP przemianowane w styczniu 1940 roku na Związek Walki Zbrojnej (ZWZ), a w lutym

1942 roku na Armię Krajową (AK). Formacja ta osiągnęła w warunkach

okupacyjnych znaczną masowość. Kierował nią sztab okręgu i powołane

inspektoraty i obwody. Najszczuplejsza baza dla działalności konspira

cyjnej istniała na Śląsku Opolskim. W każdej miejscowości (z wyjątkiem

wspomnianej Opolszczyzny), organizowano plutony liczące co najmniej

30 osób. Na przykład w obwodzie rybnickim był to pluton kawalerii, 5

plutonów saperów, 6 plutonów szturmowych i 61 plutonów bojowych.

Ocenia się, że formacja zbrojna którą dysponować mógł Korol w połowie

1940 roku liczyła około 14 tysięcy żołnierzy. Pod koniec okupacji Okręg

Śląski Armii Krajowej liczył 25 tysięcy żołnierzy, z tego 15-16 tys. na

Śląsku, w tym 15 grup i oddziałów partyzanckich. Zorganizowane struk

tury ruchu oporu skupiały w sumie 40 tys. osób, z tego AK-owskie -15-

16 tys., 3-6 tys. - PPS-WRN z jego milicją, 7-10 tys. - Stronnictwo Naro

dowe, 1,5-3 tys. - Stronnictwo Ludowe i Bataliony Chłopskie, kilkuset

Stronnictwo Pracy, 2-3 tys. inne. Tak przedstawiają się fakty zaprzecza

jące hitlerowskiej, i czasami rodzimego chowu, propagandzie o Niemiec

kim lub proniemieckim Śląsku.

**-Ale prawdą też jest, że na Śląsku hitlerowcy potrafili zwerbować
wyjątkowo paskudnych konfidentów, których umieścili w
kierownictwach różnych konspiracyjnych organizacji np. Grolika,
Kamperta
i Ulczok, co im pozwalało mocno dezorganizować ich działalność...**

-Brak doświadczenia konspiracyjnego przy dość znacznej masowości SZP, potem ZWZ i innych organizacji, oraz spontaniczność działania
nie wolna od pewnej brawury - w przekonaniu o rychłym wybuchu po
wstania z pomocą zachodnich mocarstw -spowodowała, że za błędy
trzeba było zapłacić śmiercią wielu ich członków. Ale Polskie Państwo Pod
ziemne na Śląsku potrafiło po tych doświadczeniach stosować
różnorodne formy ochrony ludności polskiej przed terrorem okupanta. Od
drugiej połowy 1943 roku przystąpiono do likwidacji szczególnie
niebezpiecznych konfidentów gestapo. Zdrajcom konspiracyjne Wojskowe
Sądy Specjalne Okręgu Śląskiego ZWZ-AK wymierzały najczęściej
karę śmierci. W skład sędziowskiego kompletu orzekającego wchodził,
mimo to, inny, Juliusz Niekrasz, który po wojnie waleśnie przyczynił się
do osądzenia i skazania na śmierć wymienionych przez Pana
konfidentów gestapo, którzy nie zbiegli wraz z Niemcami, lecz pozostali na
Śląsku i uważani byli nawet za działaczy i organizatorów ruchu
komunistycznego na tym terenie. Także Okręgowa Delegatura na Śląsku powołała
sąd konspiracyjny. Wyroki śmierci wykonywały grupy (plutony)
egzekucyjne i oddziały partyzanckie. W sumie na terenie Śląska
zlikwidowano w sumie nie mniej niż 100 agentów.

**-Czy jednak owe masowe aresztowania w 1940 i 1941 roku nie
utwierdzały przekonania o tym, że miejscowym nie bardzo
można**

**ufać, więc kierownictwo Polskiego Państwa Podziemnego
przeniosło do Zagłębia?**

-Po grudniowych aresztowaniach, wiosną 1941 roku, czyli już po
śmierci Korola, siedzibę kierownictwa Okręgu Śląskiego ZWZ
powiększono o inspektorat Sosnowiec przeniesiono do Zagłębia.

Faktem jest, że przed przeniesieniem w kierownictwie okręgu było wiele
osób wywodzących się ze śląskiej inteligencji, potem Ślązacy przestali

w
nim odgrywać ważniejsze role. Ale godzi się zauważyć, że nie
tylko
kierownictwo Okręgu pozostawało poza Śląskiem, bowiem
również
Okręgowa Delegatura na Śląsk, po krótkim okresie kiedy była
tworzona
przez Teodora Glenska ze Stronnictwa Narodowego przy
poparciu
przedstawicieli PPS-WRN, Stronnictwa Pracy i Stronnictwa
Ludowego
i oficjalnym ukonstytuowaniu się jej (po mianowaniu na Delegata
Igna
cego Sikory) niedługo potem, kiedy on został zagrożony
aresztowa
niem, przenosi się aż do Warszawy. Odtąd Delegatura składała
się

z dwóch części: warszawskiej i śląskiej. Także organ wykonawczy Delegatury - Okręgowe Biuro Delegata Rządu mieściło się w Warszawie, przy ulicy Złotej 6, w siedzibie firmy Fritz Steffko und Definitiv. Pełnomocnikiem Delegatury do spraw kościelno-społecznych na obszar Górnego i Opolskiego Śląska został ówczesny ks. dr Bolesław Kominek, późniejszy biskup i kardynał, organizator życia kościelnego na ziemiach zachodnich. W maju 1944 roku po rezygnacji Sikory ze stanowiska Delegata, (ze względu na stan zdrowia), zostaje nim Wincenty Spaltestein, który po powstaniu warszawskim przenosi siedzibę Delegatury do Częstochowy.

Delegatura na Śląsku nie spełniała nigdy takiej roli jak na innych obszarach Polski, lecz starała się organizować opór społeczny, różne akcje propagandowe, oświatowe, przygotowując jednocześnie administrację na okres powojenny. Sytuacja w której dowództwo Okręgu i kierownictwo Delegatury były w różnych odległych bardzo miejscowościach (pomiędzy którymi była utrudniona łączność) powodowała, że były one stosunkowo niezależne od siebie. Także partie na Śląsku miały dużą samodzielność. Do tego w Delegaturze dominowali działacze Stronnictwa Pracy, które w porównaniu z PPS-WRN, czy Stronnictwem Narodowym było dość marginalne na Śląsku. Nie mniej jednak opisana powyżej sytuacja mogła powodować niedowartościowanie tych, którzy działali bezpośrednio na Śląsku.

A do odznaczeń - ostatni!...

**-No właśnie, z Pana badań wynika, że w ramach Polskiego Państwa Podziemnego na Śląsku, Ślązacy - delikatnie mówiąc - byli tak
że niedoceniani, jakbyśmy to dziś powiedzieli, w polityce odznaczeniowej?**

-Uważam, że złożyło się na to kilka spraw. Przełożeni, którzy decydowali o tym mieli rzeczywiście bardzo ograniczony kontakt ze Śląskiem. Łączność z nim była utrudniona.

Z jednej więc strony niby wiedzieli jaki to niebezpieczny teren (na przykład od 1941 roku był on inspekcjonowany tylko jeden raz), z drugiej nie potrafiono docenić tych niebezpiecznych warunków prowadzenia tu działalności konspiracyjnej. Głównie chyba dlatego, że obszar ten traktowano na równi z terenami Generalnego Gubernatorstwa, co było i jest

nieporozumieniem. Na przykład w Okręgu Śląskim w latach okupacji nadano 29 orderów Virtuti Militari, w tym blisko połowę Ślązakom. Hipotezę o nie docenianiu Ślązaków potwierdza lepiej liczba odznaczonych Krzyżem Walecznych. W okręgu nadano to wysokie odznaczenie bojowe co najmniej 409 osobom, z tego tylko 123 mieszkańcom Śląska. Także zastanawia niewielka liczba nadanych dla Okręgu Śląskiego Armii Krajowej, bo tylko 20, Złotych Krzyży Zasługi z Mieczami, które traktowano prawie na równi z Krzyżem Virtuti Militari. Srebrnym Krzyżem z Mieczami odznaczono 579 żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego, z tego tylko 202, czyli 37 procent dla Ślązaków. Jeszcze większe dysproporcje występują przy odznaczeniu Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Na obszarze śląsko-zagłębiowskim otrzymało je 1. 199 członków Polskiego Państwa Podziemnego, z tego tylko 262 Ślązaków, to jest około 20 procent.

Dane te chyba upoważniają do postawienia tezy, że Ślązacy nie byli traktowani na równi z członkami Podziemnego Państwa Polskiego z innych terenów kraju, chociaż analizując walkę z okupantem na ziemiach polskich wcielonych do III Rzeszy (podkreślam to ostatnie) można stwierdzić, że obszar ten odgrywał dominującą rolę. Nie jest też błędnym stwierdzenie, że w sabotażu i wywiadzie należał do przodujących w kraju.

-Jak wyglądają obecnie ustalenia jeśli chodzi o straty ludności na Śląsku dotyczące II wojny światowej, coraz częściej bowiem mówi się

o tak zwanej „śląskiej hekatombie”?

-Śląsk poniósł ogromne ofiary i został okrutnie wykrwawiony, to pewne. Wystarczy chociażby tylko popatrzeć na tablicę zamordowa

nych księży w katedrze Chrystusa Króla w Katowicach. Lista ofiar cią

gle jest niestety niepełna i trudna do ustalenia. Mniej więcej wiadomo

ilu Ślązaków zginęło w wyniku kampanii wrześniowej, zostało zamor

dowanych w Oświęcimiu i innych hitlerowskich obozach koncentracyj

nych i jenieckich, czy w Katyniu, a także ilu zostało ściętych przy po

mocy gilotyny w lochach gestapo w Katowicach. Ciągłe jednak brak

dokładnych danych o tym ilu zginęło na frontach po stronie niemieckiej

dlatego, że zostało przymusowo wcielonych do niemieckich formacji

wojskowych, a także ilu (zginęło i zmarło) w tuż powojennych obozach,

w rezultacie wywózek na Wschód i przymusowej deportacji. Miejmy

nadzieję, że coraz większy dostęp do różnych, dotąd chronionych bardzo, sejfów pozwoli przybliżyć się do oszacowania tych niepowetowanych strat, które do dziś ważą na stosunkach na Śląsku. Badania tych problemów nabierają ostatnio, niestety, czasami niezbyt dobrego koloru bowiem niektórzy starają się winę rozkładać równo między agresorów i napadniętych.

Rozmawiał: Jan Cofalka

7. Pożegnanie Profesora²⁸ - Jan Szczepański (13.09.1913-16.04.2004)

Do Profesora - bo zawsze tak o nim mówiono -jak do Mistrza zbliżałem się etapami.

Najpierw jako student, zgłębiałem „wytwory jego intelektu”, w tym znane wielu akademickim rocznikom: „Elementarne pojęcia socjologii”.

Potem nadszedł czas, kiedy czytanie Profesora, przemieniło się w potrzebę obcowania z jego przemyśleniami po to, aby konfrontować je z własnymi. Także dlatego, że Profesor pochodził z tego samego, ciągle niedocenionego regionu kraju jakim jest Śląsk. Do tego - jak twierdzi Kazimierz Kutz - wywodził się z najlepszego „sortu” Ślązaków - Cieszyńiaków.

Ponadto, pracując z posłami, miałem okazję poznać Profesora i czasem się z nim stykać. Do dziś mam przed oczyma jego pochyloną sylwetkę kiedy szedł długim sejmowym korytarzem jakoś tak, jakby nie chciał, aby zwracano na niego uwagę. Jakże różnił się od dzisiejszych parlamentarzystów, których marzeniem jest, aby ktoś ich zaczepił, a najlepiej poprosił o jakąś (nie ważne jaką?) wypowiedzieć dla telewizji lub radia.

Mnie nade wszystko imponował Profesora (właściwy chyba Ślązakom vide: E.J. Osmańczyk) pragmatyzm w podejściu do naszych spraw Polaków, skupianie się na tym co dziś możliwe i realne. Pamiętam znamienne

²⁸ Tekst pożegnania prof. Jana Szczepańskiego ukazał się w „Gazecie Wyborczej” 8-9 maja 2004 r.

anegdotę przytoczoną przez Profesora w zbiorze esejów „Rozważania o Rzeczypospolitej” (1971) o dwóch braciach, z których jeden wyemigrował za granicę, a drugi prowadził ojcowskie gospodarstwo. Po 1956 roku brat przyjechał w odwiedziny do brata i słuchał jego niekończących się żalów na rząd. Wreszcie odpowiedział: *Rzeczywiście wasz rząd jest okropny. Ani krów nie umyje, ani obory nie wybieli, ani podwórka nie pozamiata, ani płotu nie zreperuje, ani podłogi w mieszkaniu nie wyszoruje — słowem, okropny jest ten wasz rząd.*

Polując na eseje Profesora cieszyłem się więc kiedy udało się Wiesławowi Myśliwskiemu i Klemensowi Górskiemu namówić go na ich publikowanie w „Regionach” (weszły one do znanego zbioru pod tytułem „Sprawy ludzkie” - 1978), zaś później w „Sycynie” wielce refleksyjnego rozliczenia się z XX wiekiem w cyklu „U schyłku wieku”, którego ostatni odcinek „Próba spojrzenia na całość” ukazał się w czerwcu 1996 roku, kiedy Profesor liczył sobie już 83 lata.

Wcześniej, kiedy Profesor był bezpartyjnym posłem w Sejmie PRL, śląski pisarz i publicysta Wilhelm Szewczyk namówił go, aby nudne wówczas sejmowe „odsiadówki” wykorzystywał na pisanie. Z tej namowy powstał jakże piękny cykl esejów zebranych następnie w tomiku pt. „Korzeniami wrosłem w ziemię” (1985). Opisał w nich ziemię z której wyrósł, glebę społeczną i kulturo wąż jakiej czerpał składniki, które uformowały jego umysł, wyobraźnię i charakter. Ten zbiorek - czego do dziś nie mogę odżałować - ktoś mi „podprowadził” w Sejmie, w czasie uroczystości wręczania Profesorowi Nagrody Towarzystwa Przyjaciół Śląska w 1996 roku. Fragmenty esejów czytał wówczas zebrany Franciszek Pieczka.

W esejach Profesor nie był „suchym” intelektualistą, lecz jawił się jako niezwykle humanista o niezwykle wielkiej wrażliwości na nasze wspólne sprawy.

Od Edmunda Osmańczyka („Był rok 1945...”) dowiedziałem się, że Profesor był też poetą. Kiedy w kwietniu 1945 roku EJ. Osmańczyk poszedł obejrzeć katownię gestapo w alei Szucha, w jednym z pokoiów wały się po ziemi jakieś książki i czasopisma. Ktoś jedną z nich podniósł i podał mu. Była to pierwsza ogólnosląska antologia literacka z 1937 roku, w której znalazł się, obok wierszy innych śląskich poetów oraz rezydującego w Cieszynie Juliana Przybosa, także utwór Jana Szczepańskiego pt. „Żniwa”.

Wróćmy jednak do Sejmu. W lipcu 1982 roku pod przewodnictwem prof. Jana Szczepańskiego rozpoczęła działalność Rada Społeczno-Gospodarcza przy Sejmie. Miała być ona, w tamtych czasach, jakąś namiastką niezależnej opinii społecznej oraz nieśmiałą zapowiedzią pluralizmu politycznego. Członków Rady desygnowały załogi przedsiębiorstw, spółdzielczości, zrzeszeń, związków zawodowych i stowarzyszeń twórczych i naukowych. Opiniowała ona skierowane do niej projekty ustaw, plany społeczno-gospodarcze i budżet państwa.

W 1984 roku Profesor nieoczekiwanie rezygnuje z przewodniczenia Radzie. Jego rezygnacja wywołała wiele domysłów. W kręgach ówczesnej władzy nie ukrywano do niego, za tę decyzję, niechęci. Profesor -jak mi się wydaje - miał chyba serdecznie dość uwag często kierowanych do niego, w rodzaju: *Czego ta Rada nie wyprawia?* Dał temu już wyraz w maju 1983 roku, w artykule pt. „Blaski i cienie Sejmu”, pisząc, że *...Rada Społeczno-Gospodarcza wyraża opinie swoich środowisk, ich odczucia i postulaty, j ej opinie nie są wiążące dla Sejmu, ale wypowiedzenie tych opinii, ich opublikowanie w prasie radiu i telewizji stwarza ważne fakty społeczne...za tymi opiniami stoi pewien nacisk społeczny, z którym Sejm musi się liczyć.... Próby kierowania ...Radą tak, jak kieruje się klubami, nie mogą dać rezultatów, gdyż j ej członkowie... nie ponoszą odpowiedzialności politycznej za swoje opinie tak jak posłowie.*

Ówczesny wyjazd Profesora na wykłady do RFN był niewątpliwie próbą wyplątania się z politycznych uwikłań, w których się znalazł, chcąc pragmatycznie służyć swemu krajowi, najlepiej jak się dało w warunkach w jakich przyszło nam, być i żyć.

Przed dwoma laty redakcja miesięcznika „Śląsk” poprosiła mnie o przeprowadzenie rozmowy z Profesorem, którą umyśliłem sobie nazwać „Spojrzenie na całość”. Pani Nora, niezwykle żona Profesora, delikatnie -jak ona to tylko potrafi²⁹ - dawała mi do zrozumienia, że - w danej chwili -jest to niemożliwe. Dopuszczenie do, coraz bardziej podupadającego na zdrowiu Profesora, byłoby dla niego zbyt wyczerpujące.

Ale zdążył jeszcze w lutym bieżącego roku oddać głos na laureatów kolejnej edycji nagród Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie, któ-

²⁹ Pani Nora, czyli Eleonora Szczepańska, żona Profesora zmarła 30 listopada 2004 r. Była utalentowaną poetką^ powieściopisarką i rzeźbiarką.

rego był, przed 15 laty, członkiem założycielem, a potem - jako laureat Nagrody - stał się członkiem jej Kapituły.

Profesor odszedł. Wyrażając głęboki żal z tego powodu chcę zauważyć, dla pocieszenia, że zdążył przecież pozostawić po sobie tyle wspa-
niałych przemysłów. Szkoda tylko, że jak sam zauważył w „Polskich lo-
sach”: *Historia podobno jest „mistrzynią życia”, ale zawsze miała roz-
paczliwie mało uczniów. Może dlatego, że politycy nie lubią się uczyć, bo
sami wiedzą najlepiej, a nauki płynące z historii nie są receptami, lecz
wymagają nowych „przełożeń” na język współczesnej praktyki.*

Jan Cofałka

8. A teraz maluję gangsterów! - wyznaje prof. Waldemar Świerzy³⁰

WALDEMAR ŚWIERZY urodził się 9 września 1931 roku w Kato-
wicach.

W 1952 roku ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, filię w
Katowicach, Wydział Grafiki Propagandowej i przenosi się do Warszawy.

Posiada w swym dorobku ponad 1.500 plakatów, 500 okładek ksią-
żek, ponad 1.000 ilustracji do książek i prasowych, 30 okładek do płyt.

Ponadto jest autorem kilku serii znaczków pocztowych oraz sceno-
grafii teatralnych i telewizyjnych.

W latach 1953-2003 brał udział we wszystkich znaczących wysta-
wach plakatu w kraju i zagranicą, ok. 100 wystaw. Miał wystawy indy-
widualne: w Berlinie-1959 r., Budapeszcie, Pradze - 1959, 1985,
Wiedniu- 1960, Moskwie- 1965, SanPaulo - 1969, Hawanie - 1970,
Sztokholmie- 1976, w Meksyku- 1980, w Kopenhadze- 1982, Tokio
- 1982, 1991, Pecz, Aalen, Goslar - 1984, Jaksomdlle, Fl. - 1985,
w Poznaniu, Szczecinie, Łodzi - 1986, w Aosta (Włochy) - 1987,
Lahti - 1989, Kassel (RFN) - 1990 oraz we Wrocławiu w 2002 r.
z okazji 50-lecia twórczości.

³⁰ Rozmowa, w skróconej formie, ukazała się na łamach miesięcznika „Śląsk”
nr 2(100) luty 2004 r.

Jego prace znajdują się w zbiorach muzeów w: Warszawie, Essen, Moskwie, Petersburgu, Amsterdamie, Londynie, Wenecji, Sztokholmie, Nowym Jorku, Zurychu i wielu innych.

Ważniejsze otrzymane nagrody: Nagroda Państwowa I stopnia w 1979 r., Prix Toulouse-Lautrec w 1959 i 1962, 1 nagroda „Hollywood Reporter” w 1975 i 1985, złoty medal na Biennale Sztuki Nowoczesnej w San Paulo - 1969, złoty medal na Międzynarodowym Biennale Plakatu w Warszawie - 1976, złoty medal Międzynarodowego Biennale w Lahti - 1977, złoty medal Międzynarodowego Salonu Plakatu Jazzowego w Bydgoszczy - 1985, I nagroda i złoty medal Biennale Plakatu Polskiego w Katowicach - 1989.

Od 1965 roku prowadzi zajęcia dydaktyczne. Najpierw na PWSSP w Poznaniu, gdzie w 1987 otrzymuje tytuł profesora nadzwyczajnego, od 1994 roku kieruje katedrą plakatu i jest profesorem zwyczajnym w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Jest doktorem honoris causa krakowskiej ASP. Wykładał również gościnnie na Kubie, w Meksyku, Berlinie i w Kassel.

Jest członkiem elitarnego klubu wybitnych twórców sztuki Alians Graphique International z siedzibą w Zurichu oraz jurorem wielu wystaw i konkursów malarskich w kraju i na świecie, dzięki czemu zwieździł bez mała cały świat.

- Zanim cofniemy się i powrócimy na Śląsk, skąd ponad 50 lat temu wystartował Pan w wielki świat sztuki, chciałbym spytać co pan, profesorze porabia obecnie?

- Teraz maluję gangsterów!

- Jakich gangsterów?

- Amerykańskich i to głównie w Ameryce, bo to ich interesuje i śmiechy. Wydają te moje obrazy z gangsterami, na przykład prezentujące

w różnych wersjach Al Capone (największy ma ponad półtora metra

długości i ponad metr szerokości) w litografii, czyli szlachetnej technice.

Jeżdżę więc tam, od czasu do czasu, popracować, skorygować nakład

i kolory. Są to nieduże nakłady, ale dobrze się sprzedają, głównie w

galeriach. To mnie ostatnio bardzo zajmuje bo robię, to co lubię, do tego

co chcę i kiedy chcę.

-Skąd pomysł, aby malować amerykańskich gangsterów?

-Jak to skąd, przecież urodziłem się w wielkim kryzysie trzydziestych lat, a wtedy królował Al Capone!

-Nadal jest Pan pracoholikiem, któremu szkoda czasu na gadanie, bo można malować?

-To nie jest całkiem tak. Po pierwsze: teraz, poza tym co powiedziałem o moim amerykańskim malowaniu, nie bardzo jest w Polsce zajęcie

dla takich facetów jak ja. Plakatów, tak jak myśmy to widzieli wtedy gdy

głośno było o polskiej szkole, robi się niewiele. Teatry nie mają pieniędzy

dzi. Filmowi dystrybutorzy podpisali jakieś głupie umowy z tymi od których

kupują filmy i biorą je razem z ich, najczęściej sznurowatymi, plakatami.

Artystycznych okładek do książek też robi się już niewiele, bo zna

ne przed laty oficyny, albo podupadły, albo ledwie zipią.

Po drugie: jestem w zasadzie leniem, ale dlatego, że nim jestem, potrafię wstać nawet wcześniej rano i -jeszcze przed podaniem porannej kawy -malować. Wolę bowiem czekające mnie zadanie wykonać możliwie najszybciej, aby mieć więcej czasu na wypoczynek i źle nie wypaść w oczach tego dla którego mam daną pracę wykonać.

Po trzecie: wcale zrobienie plakatu nie przychodzi mi łatwo, choć efekt końcowy sprawia wrażenie jakby powstał lekko -jak się powiada -jednym machnięciem pędzla. Muszę się przyznać, że psuję bardzo dużo papieru aby *znaleźć* istotę tego co chcę nim powiedzieć. Często marnuję nawet setki arkuszy.

-Po drodze w oknie księgarni zobaczyłem dwie, właśnie wydane książki z okładkami Pana autorstwa. Czy Pan policzył ile z Pana ręki

wyszło okładek książek, w tym w znanej w serii „Współczesna proza

światowa", w której zrobił Pan, zaliczane do klasyki grafiki książko

wej, obwołuty takich książek jak „Lolita" V. Nabokowa, owe słynne

kobiece nogi w o wiele za dużych szpilkach, czy zakapturzonego mni

cha na okładce „Imienia róży" Umberto Eco? Czy zawsze czyta Pan

książkę przed namalowaniem jej okładki?

-Jeśli zrobiłem ponad 500 okładek do książek, to zdecydowana większość z nich była dla PIW. W okresie największego rozkwitu wspomnianej

przez Pana serii, która była bardzo kupowana, rocznie musiałem zrobić

okładki nawet do 15 pozycji. To było znaczne obciążenie, zważywszy na

inne
moje zajęcia. Początkowo czytałem książki przed przystąpieniem do
pracy

nad okładką, czy obwolutą. Najczęściej była to jakaś czwarta kopia ówczesnego maszynopisu (te lepsze mieli redaktorzy) i strasznie się mordowałem starając się czegoś doczytać. Traciłem na to po kilka dni i mogłem przy okazji oślepnąć. Umówiłem się wtedy z redaktorami, aby mi dawali streszczenia książki, albo umawiałem się z nimi by mi opowiedzieli ich treść.

-Czy nadal Pan jeszcze uczy młodych? Robi pan to chyba prawie 40 lat?

-Właśnie przestaję się tym zajmować. Został mi już tylko jeden dyplomant w Akademii Sztuk Pięknych. Uczyć zacząłem chyba w 1965 roku, kiedy to zostaliśmy namówieni przez rektora poznańskiej wyższej szkoły plastycznej do prowadzenia zajęć na tej uczelni. Dojeżdżaliśmy tam całą grupą: Magda Abakanowicz, Tadeusz Makowski, Stanisław Zamecznik i ja.

W 1984 roku - Henryk Tomaszewski (jeden z ojców polskiej szkoły plakatu - dop. J.C.) odchodząc na emeryturę chciał mi przekazać

kierowanie pracownią plakatu w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Wówczas

jednak nie chciałem zdradzać Poznania, gdzie byłem już profesorem.

W Warszawie uczyć zacząłem dziesięć lat później. Moim pedagogicznym zadaniem, zarówno w Polsce jak i zagranicą, na Kubie, w Meksyku, czy

Niemczech, gdzie także pracowałem, nie było nigdy uczenie malowania

plakatów, tylko tego jakich błędów powinni unikać młodzi ludzie.

-Co to takiego Alians Graphique International (AGI)?

-Jest to elitarne zrzeszenie grafików z siedzibą w Zurichu, do którego nie można po prostu wstąpić. Trzeba, posiadając pewien międzynarodowy

wy dorobek być poleconym przez krajową organizację, zaś o przyjęciu do

tego szacownego grona decydują dotychczasowi członkowie aliansu.

Mnie przyjęto do tej elity, w dobie największej popularności polskiego

plakatu i polskiej szkoły plakatu, czyli już dawno temu.

-Panie Profesorze powróćmy do źródeł, czyli na Śląsk. Urodził się pan w robotniczej, hutniczej rodzinie, niedaleko huty Baildon

i kopalni „Eminencja” (po wojnie „Gottwald”), w Katowicach - Dę

bie? Przy jakiej ulicy?

-Przede wszystkim urodziłem się w niedzielę, dlatego jestem szczę

ściarzem, stało się to -jak mi powiedzieli - 9 września 1931 roku,
przy
ulicy Dębowej 1. To był duży dom z napisem apteka. Dom należał
do
huty. Mieszkaliśmy u babci ze strony matki. Moja żona, która była
ostat
nio na grobach na Śląsku powiedziała mi, że tego domu już nie ma.
Został

zburzony pod autostradę, pozostał tylko samotny kościół po drugiej stronie ul. Chorzowskiej.

-Co Panu najbardziej utrwaliło się w pamięci z dzieciństwa?

-Tyle już lat minęło... Była straszna bieda, więc oprócz niej co jeszcze mogę wspominać. Chyba wiążące się z nią wyprawy po cudze jabłka, w których trzeba było przechytrzyć groźnego psa. Ojciec był długo bezrobotny, matka ciągle szukała jakiegoś zajęcia aby cokolwiek zarobić.

Nami, mną i siostrą, opiekowała się babcia. Ona mnie wychowywała.

W domu królowała wodzionka i chleb posypywany cukrem, więc czekało się na niedzielę. Wówczas bowiem u drugiej babci ze strony ojca (choć baliśmy się okropnie dziadka, straszego mruka od którego nigdy nie usłyszałem żadnego słowa), dostawaliśmy na śniadanie bułkę z leberką. Jak to wtedy smakowało!

-I września 1938 roku poszedł pan z tradycyjną tytą do szkoły, była to polska szkoła, potem była niemiecka i znowu polska?

Jakiej

szkoły Pan najwięcej zaliczył?

-Niemieckiej - pięć lat. Nauczyłem się niemieckiego, natomiast język polski jest rezultatem mojej pracy jako samouka. Do dziś pisząc coś, do końca

ca nie jestem pewien jakie powinno być „u” oraz „ż”, czy „rz”. Różnica między

przyjściem Niemców do Katowic a potem Rosjan polegała na tym, że w

pierwszym przypadku woda w mieszkaniach była cały czas, światła zaś u

nas nie było 10 minut. Po wejściu Rosjan wody nie było dwa miesiące, światła

też brakowało, a szkoła nie funkcjonowała przeszło pół roku.

-Po szkole podstawowej mając 14 lat, musiał Pan iść do pracy, aby pomóc matce i siostrze, gdyż ojca ciągle nie było jeszcze w domu?

-Rzeczywiście, nie było wyjścia. Ojciec pojawił się w domu dopiero w 1947 roku, z laską w ręce, jako repatriant z ZSRR. Do jego śmierci

w 1975 roku nie dowiedziałem się od niego, co z nim się działo po 1939

roku. Jak wielu Ślązaków, nie chciał o tym mówić.

-Z tego co udało się już komuś od Pana wyciągnąć, początek pracy to Firma „Geniusz i syn - szyldy reklamowe, plakaty, tablice rejestracyjne”, czy ten geniusz to było nazwisko? Co Pan tam robił?

-To było nazwisko. Syn, z nazwy spółki, prowadzi podobno dziś w Piotrowicach zakład lakiernictwa samochodowego. Moja pierwsza

praca polegała na noszeniu za majstrem kubła z klejem i drabiny, co

nie
było zbyt przyjemne, ani łatwe.

-Ale mógł się Pan do woli napatrzeć na plakaty, czy to jakoś Pana ukierunkowało? Kiedy Pan odkrył w sobie zdolności malarskie?

-Wcale mnie wówczas do plakatu nie ciągnęło, ja chciałem zostać artystą malarzem, bo taki artysta mieszkał w naszym domu. Jeśli chodzi

o malowanie, to malowałem od zawsze, bo to lubiłem. W szkole, na przy

kład, odrabiałem wszystkim rysunki za rachunki.

-Jak to było z tym zgłoszeniem się do Państwowej Szkoły Sztuk Pięknych w Katowicach? Co Pan takiego zademonstrował egzamina

torom, że przyjęli właśnie Pana?

-Moi koledzy z firmy, z reguły grubo starsi ode mnie, przeczytali gdzieś, że taka szkoła powstaje i zdecydowali się iść na egzamin.

Spyta

łem, czy mogę pójść z nimi, ale nie bardzo im się to podobało, żeby jakiś

gówniarz płatał się z nimi. Mimo wszystko poszedłem. Na egzaminie był

jakiś rysunek z modelu, jakaś *rzeźba* i sprawdzian wiedzy. To był pierw

szy nabór do szkoły, więc tym, którzy nas egzaminowali, a żaden z nich

nie był Ślązakiem, *zależało*, by trochę ludzi stąd w szkole się znalazło.

W rezultacie z naszej grupy do tej szkoły, która na początku mieściła się

przy Francuskiej, chyba w Domu Kultury, przyjęto właśnie mnie, naj

młodszego z tej grupy i jeszcze jednego.

-Poszedł Pan do szkoły średniej, zaś wyszedł z niej z dyplomem ukończenia wyższej uczelni?

-Wszystko dlatego, że po pewnym czasie szkołę podzielono na dwie: na średnią i na Państwową Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych we Wro-

clawiu, oddział w Katowicach i mnie -jedyne go bez matury, w wieku 16

lat, zgodzono się uczynić studentem nadzwyczajnym, a potem, po uzupeł

nieniu przedmiotów maturalnych, mnie „uzwyczaiono”. Ale wszystko

to - pamiętajmy - działo się tuż po wojnie. Żeby było weselej dyplom

otrzymałem w 1952 roku, nie zmieniając miejsca nauki, już w Akademii

Sztuk Pięknych w Krakowie, filii w Katowicach, na Wydziale Grafiki

Propagandowej.

- W tej szkole podobno strasznie dużo pracowaliście, czy prawdą jest iż trudno was było wypędzić z niej po obowiązkowych zajęciach?

- Tak, przesiadywaliśmy w szkole do późnej nocy. Nasza zachłanność malowania, podtrzymywana zresztą przez naszych nauczycieli, malarza pejzażu Rafała Pomorskiego, grafika prof. Józefa Mroszczaka, była ogromna. Bywało, że błagaliśmy modelkę, aby jeszcze godzinę posie-

działa, a nawet - ci co mogli - składali się aby jej zapłacić za dodatkowe pozowanie. Takiego stosunku do uczniowskich, potem studenckich, obowiązków nie spotkałem już nigdy potem, ani w Polsce, ani za granicą gdzie prowadziłem zajęcia z młodymi ludźmi. Dziś studenci na zajęcia przychodzą rzadko i raczej niechętnie, każdy pracuje już w jakiejś agencji. Kiedy pracowałem w Kassel, a później w Berlinie, to tam mówiono: „Jeśli się nie przyłożysz, to skończysz w agencji reklamowej”. U nas jest to marzeniem studenta. Decyzja, że będę robił plakaty zapadła w czasie kilkumiesięcznej praktyki studenckiej, jaką z dwoma innymi kolegami odbywałem w zrujnowanym Gdańsku. Tam wykonałem pierwsze plakatowe próbki. Odejścia od malarstwa nie mógł mi wybaczyć nasz profesor, malarz śląskich pejzaży R. Pomorski, za to zyskałem sympatię grafika prof. J. Mroszczaka.

-Wtedy prof. Mroszczak został dyrektorem graficznym Wydawnictwa Artystyczno-Graficznego (WAG) w Warszawie.

Czy

jest prawdą, że przysłał panu nawet pieniądze na pociąg do Warszawy?

-Mroszczak spotkał mnie po dyplomie na ulicy w Katowicach i spytał, czy nie przyjechałbym popracować w Warszawie. Powiedziałem mu, że nie mam za co. Wówczas obiecał, że mi przyśle pieniądze i tak się rzeczywiście stało. Byłem przekonany, że jadę do Warszawy popracować przez tydzień, nie więcej.

-Warszawa okazała się dla pana niezwykle przychylna.

-Przede wszystkim miałem tu, za sprawą prof. J. Mroszczaka, zapewnioną pracę w dużym wydawnictwie. Był lipiec 1952 roku.

Pracująca

w WAG żona ówczesnego - jakbyśmy to dziś powiedzieli - prezydenta

Warszawy Zarzyckiego załatwiła mi na kilka dni miejsce w hotelu dla

dziennikarzy, a przeniósł mnie w nim siedem lat, poprawiając przy po

mocy, znanego potem sprawozdawcy sportowego radia i telewizji Jerze

go Mrzygłoda, swoją śląską-polską wymowę i akcent na coraz bardziej

rozumiał w stolicy. No i nie opuszczało mnie szczęście człowieka uro

zonego w niedzielę.

-Apropos szczęścia, podobno kiedy panu brakowało pieniędzy, zawsze udawało się wygrać jakiś konkurs na plakat?

-Pamiętam, że kiedy przysposabiałem sobie mieszkanie w Warszawie, przyszedł rachunek za kaloryfery na 8 tys. złotych, których nie mia-

łem. Było to dość dużo pieniędzy, ale był wtedy konkurs na plakat, który wygrałem. Nagroda za zwycięstwo wynosiła akurat tyle na ile opiewał rachunek. Podobne sytuacje zdarzały mi się jeszcze kilka razy. Przytrafiło mi się też kiedyś wygrać jednocześnie dwa konkursy: na plakat o polskiej wódce i na plakat antyalkoholowy!

-Kiedyś Pan powiedział, że nigdy się nie nauczył jak robić plaka ty, za każdym razem pan debiutuje i strasznie cierpi nad białą kartką

papieru, czy to prawda?

-Rzeczywiście tak jest. Na przykład mam teraz bardzo trudny temat, zrobić plakat do wystawy: „Polki w historii” (od Emilii Plater do Wandy

Rutkiewicz) i nie wiem jak go zrobić, aby nie wyjść na seksistę, albo

na

męskiego szowinistę.

-Ale kobiety pan maluje wspaniale...

-Nie tylko maluję, ja lubię kobiety.

-Co więc - według pana - jest największą siłą plakatu?

-Trzeba brać pod uwagę, że plakaty nigdy nie występują „solo”, tylko „w chórze”. Przecież nie chodzi się ulicami, aby oglądać plakaty.

Plakat

ogłasza się w przelocie, jest jakąś obietnicą, więc musi być w nim jakiś

sygnał, żeby go zauważono spośród innych. Stąd musi spowodować

chęć

zatrzymania się, aby ktoś przystanął i zechciał go obejrzeć, w tym

zawiera

się jego -jak pan to określa - siła.

-Co pociągnęło pana do plakatu filmowego? Miłość do kina?

-Miłość do kina swoją drogą, ale ja wykonuję pewien zawód i jako

fachowiec powinienem umieć zrobić plakat na każdy temat, nie tylko

to

co lubię, na to mogłem sobie pozwolić znacznie później. Robiłem

różne

plakaty, ale najchętniej te o tematyce kulturalnej.

-Skąd się wzięła wspaniała seria jazzowych plakatów?

-W tym przypadku, to nie było zamówienie, to był mój pomysł. Zapo

trzebowanie wyszło ze mnie z mojej fascynacji muzyką jazzową. Co

cie

kawę, kiedy jestem w Stanach, przyjacieleciągają mnie po różnych

klu

bach jazzowych np. w Nowym Jorku, aby mi pokazać, że w prawie

każ

dym wiszą moje plakaty jazzowe i to te drukowane w Polsce. Sam

nie

wiem w jaki sposób one tam docierają.

- Czy zgadza się pan z tym co napisał o Panu w albumie pt. „Świe-

rzy” znakomity grafik niemiecki Uwe Loesch, że pana plakaty okre

ślają świat jako cyrk, tragiczną zmienność ideologii, surrealistyczny

taniec, koszmar, a także groteskowe oddanie sytuacji w totalitarnym państwie za pomocą inteligentnego żartu, że sztuka plakatu stała się dla pana grą na nosie funkcjonariuszy państwowych. Czy polityka jest, lub była, obecna w pana życiu?

-Každy może w jakiś tam sposób odczytywać sztukę, w tym moje plakaty. Ja jestem od polityki raczej daleko, chociaż zdarzyło mi się z Ro manem Cieślewiczem zrobić kiedyś w czasach PRL-u, dla żartu nie na konkurs, plakat na 22 lipca z tekstem: 22 lipca dawniej E.Wedel, który krążył w środowisku.

-Czy posiada pan jakieś sprecyzowane poglądy polityczne?

-Na pewno nie jestem prawicowcem, z lewicą, zwłaszcza po tym, co ona wyczynia, też nie jest mi po drodze.

- Niedawno zmarły, ojciec słynnego „Przekrojowego” Profesora Filutka - Zbigniew Lengren powiedział, że pan zużywa połowę czarnej farby, jaką produkuje się w Polsce? Tymczasem uznaje się dość powszechnie, że pana plakaty zadziwiają lekkością i barwą. Ktoś na wet napisał, że w przeciwieństwie do innych polskich plakatów, które robią wrażenie niezwykle poważnych i ciężkich, dzieła Świerzego są - nomen omen - świeże, swobodne i zabawne. Tryskają optymizmem, radością życia, żartem. Jest w nich ruch. Które z tych opinii o pana twórczości są panu najbliższe?

- Obydwie. Był taki czas, i Lengren ma trochę racji, że używałem sporo czerni w moich plakatach, a farb wtedy brakowało. Z drugiej strony jednak bardzo lubię kolor, stąd bliższe są mi jednak opinie, które dostrzegają w mojej twórczości: kolor, ruch, swobodę i żart, a także życzliwość do mało wanego obiektu i te opinie które dostrzegają, w tym co robię, mój charakter.

-Czy prawdą jest, że jeden z najbardziej znanych pana plakatów, powielony następnie w milionowym nakładzie, dla Zespołu Pieśni

i Tańca „Mazowsze”, zrobił Pan w jedno południe?

-To prawda. Byłem na wakacjach nad morzem i otrzymałem telegram, aby przyjechać do Warszawy, bo jest bardzo ważna rzecz. Całą noc

jechałem, bo tak się wówczas jeździło i okazało się, że chodzi o ten pla

kat. Miałem kupiony powrotny bilet, więc zabrałem się do roboty, zrobi

łem projekt i podpiałem do niego karteczkę z dopiskiem: „A teraz poca

łujcie mnie w dupę” wieczorem pojechałem dalej wypoczywać. Z tym

plakatem wiąże się jeszcze inna historia. Otóż ma on kilka wersji, bo-

wiem pani Mira Zimińska-Sygietyńska - wspaniała kobieta - ilekroć wyczerpał się nakład plakatu, troszcząc się o stan mojej kasy, dzwoniła prosząc bym coś w nim troszeczkę zmienił, żeby mogła ona (prawo do niego miało Wydawnictwo) mi za nowe wydanie zapłacić.

-Nazywają pana mistrzem portretu. Twierdzi się, że największą pana zasługą jest wprowadzenie portretu do plakatu, czy zgadza się

pan z tą opinią?

-Ja zawsze chciałem żeby portret był absolutnie podobny do portretowanego. Na plakacie portretowany musi być trzy razy bardziej podobny

do siebie: ze skóry, nazwiska i z wieku. To się mniej więcej zaczęło

od Fernandela, za którego dostałem nagrodę Toulouse-Lautreca.

Potem

namalowałem wiele innych portretów w tym T. Różewicza, H.M.

Gó

reckiego, J. Maksymiuka, ponad 250 postaci - malarzy,

kompozytorów,

muzyków, pisarzy, filmowców. Przy portretowaniu malarzy miałem

tre

mę. Jak wygląda muzyk, czy aktor każdy widzi w telewizji, ale

tworzy

malarzy raczej nikt -jeśli nie namalują autoportretów - nie zna,

ogląda

się przecież ich obrazy. Kiedy robiłem plakat do wystawy

Tadeusza

Brzozowskiego namówiłem go, wbrew jego woli, by na plakacie

nama

lować jego portret. Bardzo oponował, ale potem był z tego

pomysłu

zadowolony.

-Należy Pan dzisiaj do nielicznego grona artystów w Polsce, którzy nie były w stanie pokonać ogromne billboardy? Jak Pan ocenia

to zjawisko, czy jest jeszcze gdzieś miejsce dla polskiej szkoły

plaka

towej?

-Ja się zawsze dziwię, kiedy w Wilanowie, w Muzeum Plakatu, organizowany jest doroczny salon plakatu i zawsze jestem ciekawy, co tam

pokażą. A tam zawsze jest pełno nowych plakatów. Dziwi to tym

bar

dziej, że wykonanie plakatu jest bardzo drogie, a także ich

rozklejanie

kosztuje. Ze zdziwieniem więc stwierdzam, że nadal jeszcze robi się u

nas

plakaty: w Gdańsku, Poznaniu i Katowicach. Billboardy- to mnie

boli,bo

są one niezwykle bezdurne. Jeszcze gorsza jest reklama telewizyjna,

jakby
była robiona przez idiotów dla idiotów. Ale sam zrobiłem już trzy
billbo
ardy, w tym dla ogrodu zoologicznego w Warszawie.

- Wiem, że nie lubi pan ruszać się z ukochanego mieszkania na warszawskim Starym Mieście, przy słasko brzmiącej ulicy Piwnej, ale muszę spytać, czy bywa pan na Śląsku?

- Zawsze jak jadę na Śląsk, szczególnie autem, jestem wzruszony kiedy za Częstochową wylania się szara ściana i łapię ten znajomy zapach. Niestety nie mam już prawie nikogo na Śląsku. Po najbliższych pozostały groby. Bolą mnie natomiast niektóre bezsensowne przebudowy niweczące wizerunek tamtego Śląska, znanego chociażby z filmów Kutza.

Śląsk obecny jest też w moim domu w Warszawie. Kiedy przychodzą dzieci, to im szykuję śląski obiad z kluskami, które umiem robić, bo w ogóle lubię różne rzeczy pichcić.

-Skąd u pana taka kolekcja płyt?

-Płyty, to jedyne rzeczy, które kupuję i które potrafią mnie wyciągnąć z domu do sklepu. Kiedy u nas było z nimi kiepsko, kupowali mi je znajomi w świecie. Jest to głównie muzyka klasyczna, muzyka jazzowa, a tak że różne przeboje kupowane dla dorastającej kiedyś córki. Bardzo lubię muzykę.

-Pan sam też muzykował?

-To było na studiach, stworzyliśmy trio w którym grałem na gitarze. Mój wujek, brat matki, był fantastycznym gitarzystą i bardzo mi tym imponował. Dziś już nie gram, a tamtą gitarę pożyczyłem kiedyś Wojciechowi Siemionowi. A on ją połamał.

-Ostatnie pytanie: jaką narodowość pan zadeklarował w Narodowym Spisie Powszechnym?

-A co to za spis... Widocznie nie było mnie w kraju?

- To może inaczej, czy ma pan jakieś zdanie w sprawie uznania narodowości śląskiej?

- Nigdy nie miałem potrzeby określania się inaczej jak Polak.

Rozmawiał Jan Cofałka

PS. Wywiad z Waldemarem Świerzym przeprowadzałem 2 grudnia 2003 roku w znanym warszawskim Bistro Jazzowym „Gwiazdeczka”, mieszczącym się przy ul. Piwnej na Starym Mieście, naprzeciw domu w którym mieszka Profesor. Obsługa bistro nic nie słyszała o jego słynnych plakatach jazzowych zdobiących najbardziej renomowane kluby jazzowe w Stanach Zjednoczonych. Wychodząc spytałem Profesora, czy miał kiedyś indywidualną wystawę swej twórczości w rodzinnych Katowicach. Zapadło milczenie, które potwierdziło prawdziwość znanego powiedzenia, iż najciemniej jest pod latarnią.

9. Z Raciborza do Kamerunu³¹

Tomiczkowie są potomkami czeskich husytów, którzy osiedlili się przed wiekami na Śląsku, gdzie żyją do dziś ich dwie linie: katolicka i ewangelicka. To popularne w Czechach nazwisko nosi w Polsce ponad 800 osób, najwięcej na Śląsku Cieszyńskim.

Henryk Tomiczek urodził się 14 lipca 1917 roku. Już jego data urodzin zawiera w sobie wojnę i dwie rewolucje: tę francuską i tę bolszewicką. Jemu przyjdzie przeżyć kolejne wojny i rewolucje. Latem w 2001 roku, po jego 84 urodzinach, umówiłem się z nim na rozmowę, zamierzając -po powrocie z urlopu - napisać o nim. Uwierzyłem w jego zapewnienie, iż lekarze prognozują mu długie życie. Niestety zmarł nieoczekiwanie 10 sierpnia 2001 roku w szpitalu do którego udał się na, wydawałoby się, standardowe badania.

Dr Henryka Tomiczka poznałem ponad dziesięć lat temu na jednym ze spotkań Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie i zapamiętałem pasję z jaką przekonywał zebranych, aby sprzyjali promowaniu młodych zdolnych ludzi ze Śląska, by przez system fundowanych stypendiów mogli kontynuować dalszą naukę i rozwijać talent. On też kiedyś taką pomoc uzyskał.

„Idź popaść krowam”

Z dzieciństwa, na całe życie, wrył mu się w pamięć jego własny krzyk, który wydawał z siebie pewnego wczesnowiosennego dnia w 1922 roku, stojąc na parapecie okna rodzinnego domu w Studziennej (południowe przedmieście Raciborza), kiedy pod ich dom podeszła i otoczyła go bojówka niemiecka, z zamiarem rozprawienia się z jego ojcem Konstantym, powstańcem śląskim i znanym działaczem plebiscytowym. Matka kazała schować się ojcu, zamknęła drzwi, wzięła najmłodszą siostrę Bronisławę na lewe ramię, w prawej zaś dzierżyła tasak. Małemu Henrykowi z siostrą poleciła wrzeszczeć co sił w płucach i wzywać pomocy. Im bardziej bojówkarze walili karabinami w drzwi, tym przeraźliwiej wrzeszczeli. W końcu Niemcy wyrabali drzwi, lecz widząc desperację matki i tasak

³¹ Artykuł w skróconej formie ukazał się w miesięczniku „Śląsk” nr 7(105) lipiec 2004 r.

w jej rękę, chwilowo nie odważali się wejść. Krzyk dzieci usłyszeli sąsiedzi powiadamiając wójta, który z grupą Polaków przybiegł im z pomocą, w momencie kiedy Niemcy mobilizowali się, aby *zabić tę polską diablicę*. Wkrótce też nadjechali na koniach włoscy żołnierze z Komisji Międzysojusznicej, którzy rozdzielili -jakbyśmy to dziś powiedzieli - stromy.

Potem blisko pięcioletni Henryk zapamiętał długi i niezwykle uciążliwy marsz obok furmanki wypełnionej ich dobytkiem, w chłodny i śnieżny - deszczowy dzień, kiedy opuszczali - pomimo sprzeciwu matki - rodzinny dom, uciekając przed możliwymi dalszymi prześladowaniami do Polski. Dotarli do Górzyc niedaleko Wodzisławia, gdzie rodzice kupili dom od Niemców opuszczających Polskę. Także i tu ojciec nie był bezpieczny spijając z pistoletem przydzielonym mu przez polską straż graniczną. Domu zaś strzegły dwa wilczury wielokrotnie broniące ich przed niepożądanymi, głównie nocnymi „odwiedzinaми”. Ten pistolet mały Henryk wyniósł kiedyś z domu, aby pobawić się nim z synem sąsiadki. W pewnym momencie kolega wypalił do niego z bliska i tylko fakt, że pierwszy nabój był bez kuli (odstraszający) sprawił, że Henryk nie stracił życia. Wyszedł z tego z osmałeniami lewego oka i częściowym jego niedowidztwem.

Nie było im lekko w tej wymarzonej Polsce. Krewni rodziców -zwłaszcza matki - którzy za ich przykładem przenieśli się na polską stronę, naigrywali się z ojca, że Niemcom lepiej się tu żyje, niż jemu „ polskiemu królowi” - jak go nazywano - który nie mógł nawet znaleźć pracy. Ojciec uparł się i mawiał, że będzie gryzł kamienie, ale jego synowie będą polskimi inteligentami. To gryzienie kamieni spełniło się najszybciej jemu. Kiedy w końcu znalazł pracę przyszło mu z kilofem w rękę pracować na torach kolejowych. Tyrał tak przez pięć lat, z przepukliną jakiej nabawił się jeszcze w okresie plebiscytu w Raciborzu. Kiedy musiał zdecydować się na operację, przyplątało się zapalenie otrzewnej i zmarł w 1933 roku. Osieroconym Tomiczkom nie raz, nie dwa, nędza zagłada w oczy. Zdarzało się często, że Henryk - zgodnie z wolą ojca dojeżdżający do gimnazjum klasycznego w Rybniku - rano wychodził z domu zjadając tylko parę placków ziemniaczanych, upieczonych na piecu kuchennym, bez soli i tłuszczu. Blachę opalało się drewnem z gałęzi zbieranych na rowach wzdłuż torów kolejowych. Wdowia renta matki

była tak mizerna, że musiano wynajmować dwa, z trzech posiadanych pokoi. Sami spali na strychu, gdzie zimą wiatr zawiewał posłania śniegiem. Henryk mógł uczyć się tylko dlatego, że zwalniano go z czesnego, lub płacili je za niego inni. Wychowawca klasy wystarał się dla niego o stypendium im. Karola Miarki, dzięki czemu mógł dotrzeć do matury. Po maturze, wracając do domu, zobaczył wychodzącą mu naprzeciw niepokojną matkę. Kiedy usłyszała, że zdał, powiedziała zwyczajnie po śląsku: *Dobrze synku, no to weź teraz coś do jedzenia i idź popaść krowam*. To „krowam” było w dialekcie raciborskim, często wyśmiewanym tu w Górzycach.

Uniwersytet w Oflagu

Po maturze nie wiedząc co z sobą począć (był to czas wielkiego kryzysu i o pracy mowy nie było) decyduje się odbyć służbę wojskową. Szczęśliwie nie wykryto wady lewego oka i skierowano go do szkoły podchorążych rezerwy w Krakowie-Łobzowej. Po woj sku zapisuj e się, w roku akademickim 1937/1938, na Wydział Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, utrzymując się, między innymi, z reszty otrzymanego stypendium K. Miarki, którego część zużył na uszycie wyjściowego munduru podchorążego. Stypendium wystarczyło na krótko i trzeba było wracać do domu. Jako bezrobotny dorabia szewstwem, którego nauczył się od ojca, znanego w Studziennej, przed wyjazdem do Polski, mistrza i modelarza szewskiego. W końcu zostaje pomocnikiem woźnego w Komunalnej Kasie Oszczędności w Rybniku, potem pomocnikiem księgowej. W sierpniu 1939 roku wezwano go na ćwiczenia w 20 pułku piechoty Ziemi Krakowskiej. W osiem dni po przybyciu do jednostki wybuchła wojna, potem nazwana drugą światową.

Całą noc z 31 sierpnia na 1 września 1939 roku maszeruje na wyznaczone pozycje pod Pszczyną. Dochodzi tam do starcia z niemieckimi czołgami, w którym został dwukrotnie lekko ranny. Po rozproszeniu jednostki, przez kilka dni tułał się z kilku przygodnymi żołnierzami po lasach między Oświęcimiem i Pszczyną. Wzięty do niewoli niemieckiej z podejrzeniem o szpiegostwo, uratowany zostaje od egzekucji (z grupą jemu podobnych) przez niemieckiego oficera z przejeżdżającego czołgu, który kazał ją wstrzymać i polecił odesłanie ich na tyły. Jako wojenny jeniec zalicza obozy przejściowe, w rodzinnym Raciborzu, w pobli-

skiej Raciborskiej Kuźni, w Łambinowicach (skąd powiadamia matkę, iż żyje i jest tylko lekko ranny), potem przeniesiono go do oflagu dla oficerów (Offizierslager-Ofiag) Itzehoe - blisko granicy Danii, następnie do stalagu (Stammlager-Stalag) dla szeregowców i podoficerów w Neubrandenburgu, by ostatecznie „wylądować”, w połowie 1941 roku (w rezultacie odmowy podpisania zgody na tzw. zwolnienie z niewoli i przyjęcie statusu, rzekomo wolnego robotnika cywilnego), w kompanii szeregowych, w oflagu II C w Woldenbergu (dziś Dobiegniew). Po krótkim okresie pracy w charakterze sprzątacza w oflagowych barakach, polski kwatermistrz obozu wyznaczył go na tłumacza przy niemieckim kierowniku magazynu mundurowego. To poprawiło jego status.

Oflag w Woldenbergu stał się nieoczekiwanie - co brzmi paradoksalnie lecz prawdziwie - jego uniwersytetem. Narodziły się tu bowiem, spontanicznie, różnorodne formy szkolenia i dokształcania, które umożliwiły nawet zorganizowanie systematycznych studiów typu uniwersyteckiego. Wielką rolę w organizacji tych naukowych poczyniń odgrywała Komisja Kulturalno-Oświatowa, nazywana obozowym ministerstwem oświaty. Miała ona cztery wydziały: wydział kursów i kół naukowych, wydział imprez artystycznych, wydział bibliotek, wydział wychowania fizycznego i sportu. Jednym z najważniejszych jej zadań było rozdzielanie sal wykładowych, których było śmiesznie mało jak na potrzeby 6697 jeńców (5964 oficerów i 733 szeregowych), w tym ponad tysiąc pięćset studentów uczących się w dwudziestu siedmiu sekcjach. Zorganizowana przez jeńców obozowa biblioteka (służąca nie tylko studentom) liczyła ponad 30 tysięcy tomów. Podchorąży Henryk Tomiczek korzystał z możliwości kształcenia na ile tylko pozwalały mu na to, gorsze przecież od oficerów, warunki. Między innymi kończył na *obozowym uniwersytecie* kurs handlowy ze świadectwem numer I, co mu otwarło - po wojnie - drogę do Akademii Handlowej w Krakowie. Uczestniczył w obozowej konspiracji (ps. "Henryk") w ramach której, między innymi, wysyłał (poza cenzurą) różne przesyłki i paczki do kraju. Przez pewien czas był lektorem wydawanego w oflagu pisma. Wreszcie grywał z sukcesami w piłkę nożną (już w czasach szkolnych grał z powodzeniem w drużynie *Strzelca* Gorzyczki), z późniejszym trenerem reprezentacji Polski Ryszardem Koncewiczem.

25 stycznia 1945 roku wobec zbliżającego się frontu hitlerowcy rozdzielają jeńców na dwie kolumny: Wchód i Zachód i wyprowadzają je z oflagu. Późnym wieczorem 29 stycznia, w strasznych zimowych warunkach kolumna Wchód, do której trafił Tomiczek, dociera do folwarku Deetz (Dziedzice) na ziemi lubuskiej. Jeńców rozlokowano w stodołach i szopach. Rankiem 30 stycznia nadjechały sowieckie czołgi. Komendant kolumny podejmuje bezsensowną decyzję stawiania oporu, w rezultacie czego pociski z czołgów trafiają w stodołę, w której znajdowali się polscy jeńcy. Ginie kilkunastu polskich oficerów.

Redaktor i wydawca

Z obozu H.Tomiczek nie może od razu wrócić na ciągle zajęty jeszcze Śląsk, trafia więc do Krakowa, gdzie kończy w przyspieszonym trybie Wydział Ekonomiczny Akademii Handlowej. Dopiero potem, już jako magister, wraca na Śląsk. Tu wpada w ręce Adama Szczepanika, przedwojennego wydawcy „Gazety Handlowej”, który po zniszczeniu Warszawy *znalazł* się w Katowicach i uznał, że właśnie na Śląsku, w tym ogromnym skupisku przemysłu, są najlepsze warunki dla powojennego startu wydawnictw gospodarczych. Tworzy więc w Katowicach Spółdzielnię Wydawniczą „Życie Gospodarcze”, która szybko staje się dużym koncernem. W niej znajduje zatrudnienie Henryk Tomiczek, przechodząc wszystkie szczeble dziennikarskiego i redakcyjnego wtajemniczenia. Już po roku dopuszcza się go do udziału w programowaniu i organizowaniu numerów specjalnych wychodzącego wówczas „Życia Gospodarczego”, a także nowych czasopism, które „pączkowały” w tym okresie jak przysłowiowe grzyby po deszczu: „Drobna Wytwórczość”, „Rachunkowość i Podatki”, „Transport i Spedycja”, „Inwestycje w Przemysle”, „Gospodarka Mięsna” „Gospodarka Rybna”, „Przegląd Rynkowy”. Spółdzielnia nie tylko wydaje gazety, biuletyny, książki i różne druki, lecz jest organizatorem licznych targów i wystaw, łącznie ze słynną wystawą Ziem Odzyskanych w 1948 roku we Wrocławiu. Ten świetnie rozwijający się koncern wydawnictw gospodarczych postanawia jednak - w ramach tak zwanej centralizacji - przejąć stolicę. Katowicka Spółdzielnia Wydawnicza, już jako "Polskie Wydawnictwa Gospodarcze", staje się w 1949 roku, decyzją władz centralnych, przedsiębiorstwem państwowym i jego agendy zostaną przeniesione

z Katowic do Warszawy. Po tych decyzjach, zmianie nazwy i statusu spółdzielni, Tomiczek opowiedział jednemu z ówczesnym prominentów o pogrzebie piątej klasy. W pogrzebie czwartej klasy - według popularnego przedwojennego skeczu - nieboszczyk sam niósł pod pachą swą trumnę na cmentarz, oni zaś odprawili pogrzeb piątej klasy - niosąc trumnę jeszcze nucili melodię pogrzebową. Między innymi po tej wypowiedzi poczuł nadto wyraźnie zainteresowanie jego osobą miejscowego Urzędu Bezpieczeństwa, co ostatecznie skłoniło Tomiczka do zmiany miejsca zamieszkania i przeniesienia się do Warszawy.

W stolicy H. Tomiczkowi zaproponowano stanowisko szefa programowego nowego przedsiębiorstwa, ale wiązać się to miało z deklaracją wstąpienia do PZPR.

Po jej odmowie, nie widząc dla siebie możliwości pracy w nowym układzie, wchodzi w skład redakcji „Życia Gospodarczego”, gdzie poznaje swoją przyszłą żonę Annę Szóstakowską. Następnie był publicystą, sekretarzem redakcji „Transportu i Spedycji”, „Gospodarki Planowej”, wicedyrektorem wydawnictw spółdzielczości rolniczej oraz wykładowcą na uczelniach, kursach krajowych i zagranicznych. Przez szereg lat był też przewodniczącym komisji szkoleniowo-stażowej w wydawnictwach spółdzielczych, zajmującej się przygotowaniem nowych kadr dziennikarskich i spółdzielczych.

W 1965 roku na Uniwersytecie Wrocławskim, pod kierunkiem profesora Stefana Inglota, przygotował i obronił pracę doktorską poświęconą historii spółdzielczości na Górnym Śląsku. Tym samym wieńczy swoje zainteresowania ruchem spółdzielczym, którym zaraził się jeszcze w szkole średniej wstępując w 1931 roku do spółdzielni uczniowskiej „Przyszłość” oraz uczestnicząc, w 1933 roku, w założeniu Powszechnej Spółdzielni Spożywców w Rybniku.

Spełnione marzenie

Poczynając od rybnickiego gimnazjum marzył o pracy w handlu *zagranicznym*. Uczył się języków obcych (nawet szwedzkiego), których naukę kontynuował w obozie jenieckim w Woldenbergu. Postanowił też sobie, że jeśli tylko przeżyje wojnę, będzie starał się o pracę w wymarzonym handlu zagranicznym. Miał mu w tym pomóc, poznany w oflagu oficer pracujący przed wojną w handlu zagranicznym. Powracającego z obozu

H. Tomiczka nie dopuszczono do Warszawy, udaje się więc do Krakowa gdzie podejmuje studia ekonomiczne, po nich zapisuje się na dziennikarstwo, przerwane wezwaniem wspomnianego oflagowego kolegi, który miał go urządzić w Warszawie. Miał jednak pecha, bowiem ów kolega ulega ciężkiemu wypadkowi. Wraca na Śląsk, aby na wiele lat utknąć w pracy dziennikarskiej i działalności spółdzielczej.

Marzenie o pracy za granicą jednak zawsze w nim głęboko tkwiło. I w końcu spełniło się zupełnie niespodziewanie. Do tego w okresie największego psychicznego dołka po nieoczekiwanym zwolnieniu go z pracy w spółdzielczości. Niejako na odczepkę - jako bezpartyjnego - dołącza go ta sama spółdzielczość do grona partyjnych osób, kandydujących do pracy w agendach ONZ za granicą. Jedzie na rozmowy do Genewy i tam okazuje się, że nie tylko zna świetnie języki obce, ale posiada potrzebną szeroką wiedzę i spółdzielcze doświadczenie. Tym sposobem ląduje w 1972 roku nad Zatoką Gwinejską w Kamerunie. Państwie związkowym, które w tym właśnie roku, w rezultacie ogólnokameruńskiego referendum zostaje zjednoczone w jednolitą, dwujęzyczną (francusko-angielską), Republikę Kamerun - terytorialnie o połowę większą od Polski. H. Tomiczek spędzi tam sześć bardzo aktywnych lat (1972-1978), jako dyrektor Programu Narodów Zjednoczonych do spraw Rozwoju, realizowanego przez Międzynarodową Organizację Pracy oraz główny doradca techniczny. Zadaniem realizowanego programu była pomoc w upowszechnianiu idei spółdzielczości, utworzenie federalnego ośrodka rozwoju przedsiębiorstw spółdzielczych, przygotowanie do nich narodowych kadr oraz stworzenie warunków (również prawnych) dla funkcjonowania spółdzielczości. Zafascynowany Kamerunem, jego historią i pięknem, z tym większym entuzjazmem tam pracuje, zjednując sobie sympatię władz i różnych instytucji. Jego wkład pracy i fachowość doceniają władze państwowe, Prezydent Republiki przyznaje mu w 1979 roku Order Zasługi Kamerunu, z którego był bardzo dumny i cenił go sobie niezwykle wysoko. W marcu 1981 roku Sekretarz Generalny ONZ przedstawiając Zgromadzeniu Ogólnemu Narodów Zjednoczonych sprawozdanie na temat spółdzielczości oraz ocenę efektywności pomocy technicznej systemu ONZ na rzecz spółdzielczości wiejskiej w latach 1972-1979, wysoko ocenił realizowany program w Kamerunie.

Ocalić od zapomnienia

Natomiast w kraju, w 1982 roku, Henryka Tomiczka skierowano na emeryturę. Jego zdaniem- *raczej represyjnie i przedwcześnie*. Zabolalo go to, tym bardziej, że powrócił w pełni chwały z zagranicy, po tym jak udało mu się zrealizować swoje największe marzenie życiowe.

Na emeryturze nie zaprzestaje działalności społecznej i publicystycznej. Najwięcej uwagi poświęca dokumentowaniu i opisywaniu losów jeńców wojennych w obozach niemieckich w latach 1939-1945. Pełnił funkcję wiceprezesa Krajowej Komisji Woldenberczyków oraz Zarządu Środowiska Podchorążych Wojska Polskiego. Miał duży wkład w powołanie do życia Fundacji Woldenberczyków i wybudowanie przez to środowisko kombatanckie szkoły im. Woldenberczyków w Dobiegniewie (niemiecka nazwa Woldenberg). Zawsze komuś pomagał, głównie kolegom kombatanantom w załatwianiu trudnych i skomplikowanych spraw życiowych. Opublikował na łamach wielu gazet kilkadziesiąt wspomnień o odchodzących na wieczną wachtę obozowych kolegach (ostatnie ukazało się po jego śmierci). Był autorem dziesiątków publikacji naukowych i współautorem wielu prac, w tym książek: *Niemiecka konspiracja wojskowa w oflagu IIC Woldenberg; Oflag IIC i Woldenberczycy; Jeńcy wojenni II wojny światowej. Status polskich podchorążych w niewoli Wehrmachtu*. Z jego inspiracji opisałem na łamach „Śląska” („*Ten zuchwale odważny Benek*” nr 7(69) z lipca 2001 roku) losy jednego, ciągle mało znanego i docenianego, bohatera konspiracji antyhitlerowskiej - Bernarda Drzyzgi, rodem z Tarnowskich Gór.

W jego niedużym, ślicznie urządzonej - jak twierdził przez żonę - domku na Żoliborzu, w dużym pokoju na pięterku zgromadził, na regałach - od sufitu do podłogi - tysiące dokumentów w tematycznych teczkach. Dotyczą one Woldenbergu i Woldenberczyków, lecz nade wszystko jego wieloletnich zainteresowań związanych ze zbiorową zaradnością ludzi w różnych formach, w tym spółdzielczej i samorządowej. Chciał te dokumenty koniecznie uporządkować, spieszył się, ale coraz trudniej mu było zmuszać do tego nadwerężone - jeszcze w młodości - oczy. Miał satysfakcję, że wypełnił wolę ojca, nie tylko stał się polskim inteligentem, lecz dopilnował aby jego dwaj synowie uzyskali staranne wykształcenie. Starszy - Adam ukończył architekturę, młodszy o rok Marek zrobił

doktorat na Sorbonie i zajmuje się dokumentacją architektury zabytkowej.

W nekrologu (przygotowanym wcześniej przez niego samego) jaki ukazał się po śmierci znalazło się następujące przesłanie: ***Wśród ostatnich Jego życzeń i prośb było kontynuowanie przez współspoleczników dzieł zbiorowej zaradności i solidarności w których brał udział.***

Dr. Henryka Tomiczka żegnali liczni, zasmuceni jego odejściem przyjaciele, z którymi stale coś jeszcze planował; najmłodszy brat Józef ze Śląska, koledzy ze spółdzielczości, samorządów, dziennikarze i kombatan ci oraz członkowie różnych stowarzyszeń w których aktywnie działał.

Jego prochy złożono w rodzinnym grobie synowej na Starych Powązkach w Warszawie.

Daleko od ukochanego Śląska, jeszcze dalej od Kamerunu.

Jan Cofałka

KOMUNIKATY

1. Adres Towarzystwa i telefon kontaktowy:

Adres urzędowy:

Towarzystwo Przyjaciół Śląska

AL Jerozolimskie 7 IV p. pok. 437

00-495 Warszawa - telefon kontaktowy: 522-95-02

Adres dla korespondencji:

Towarzystwo Przyjaciół Śląska

00-955 Warszawa-15, skr. poczt. 60

2. Mamy e.mail: przyjaciele_slaska@poczta.onet.pl

Chcesz coś zaproponować władzom Towarzystwa, przekazać jakąś ważną Twoim zdaniem informację lub wiadomość, lub o coś zapytać - skorzystaj z naszego e.maila. Na pewno odpowiemy!

3. Są jeszcze do nabycia książki wydane z inicjatywy Towarzystwa:

Nadciągają Ślązacy. Czy istnieje narodowość śląska? Pod redakcją Lecha M. Nijakowskiego, str. 246, cena po kosztach produkcji - 25 zł.

Edmund Jan Osmańczyk. Dziennikarz - publicysta-parlamentarysta we wspomnieniach bliskich i przyjaciół. Redakcja Marek Masnyk i Stanisław S. Nicieja, str. 324, cena po kosztach produkcji - 35 zł

4. Płacimy składki członkowskie:

Obowiązkiem członka Towarzystwa jest aktywne uczestnictwo w jego życiu oraz opłacanie rocznej składki członkowskiej w wysokości: + **co najmniej 30 złotych rocznie przez pracujących, 15 złotych rocznie przez emerytów i studentów.**

Istnieją dwie możliwości zapłacenia składek:

1) osobiście skarbnikowi w czasie imprez i spotkań organizowanych przez Towarzystwo,

2) przekazem bankowym lub pocztowym na konto Towarzystwa:

**BP-H PBK w Warszawie nr
88 1060 0076 0000 4010 4001 0516**

Przypominamy, że zgodnie z § 12 statutu Towarzystwa członek, który przez okres 3 lat nie opłaca składek członkowskich, może zostać skreślony z listy członków.

Święto Ślązaków w Warszawie
(Zamek Ostrogskich, 27 kwietnia 2004 r.)



1. Święto Ślązaków prowadziła Krystyna Loska, towarzyszył jej prezes dr Józef Musioł.



2. Fragment sali: red. Maria Pańczyk-Pozdziej w stroju śląskim, wiceprezes Roman Pillardy, podsekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP Edward Szymanski oraz poseł Jan Rzymelka.



3. Fragment sali: prof. Zbigniew Religa z żoną, w środku posłanka Barbara Blida z prawej prof. Andrzej Bochenek z żoną Krystyną.



4. Fragment sali: na pierwszym planie Jan i Róża Brołowie, Barbara Kucharska, Jolanta Klimowicz-Osmańczyk.



5. Fragment sali: Grażyna Dachniewska, prezes „Baltony” Stanisław Dębicki, red. naczelny miesięcznika „Śląsk” Tadeusz Kijonka.



6. Fragment sali: poeta Jan Goczoł, ks. Franciszek Kurzaj, z tyłu jego brat Gerard.



7. Fragment sali: pierwszy z lewej ks. Wojciech Reisch, proboszcz parafii Panna Maria w Teksasie.

8. Podsekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP dekoruje działaczy Towarzystwa, odznaczenie otrzymuje Lech M. Nijakowski.





9. Sekretarz Kapituły Nagrody Jan Cofalka, odczytuje komunikat o przyznaniu Nagród Towarzystwa.



10. Krystyna Loska rozmawia z laureatem Nagrody prof. Andrzejem Bochenkem.



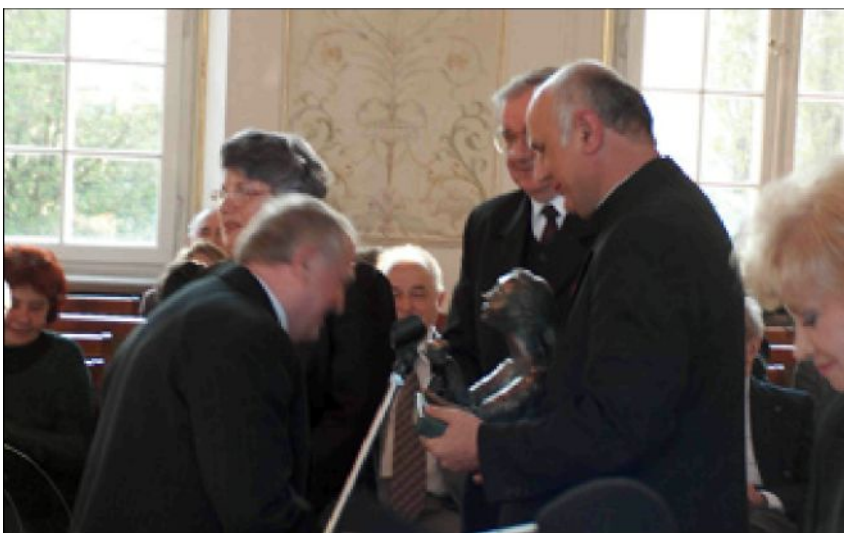
11. Krystyna Loska rozmawia z laureatem Nagrody ks. Franciszkiem Kurzajem z Teksasu, przysłuchuje się Jan Goczoł.



12. Prof. Andrzej Bochenek odbiera Nagrodę, którą wręczają prezes dr Józef Musioł i wiceprezes Henryk Pytlik.



13. Państwo Religowie i posłanka Barbara Błida słuchają podziękowania laureata.



14. Ks. Franciszek Kurzaj odbiera Nagrodę, którą wręczają prezes Józef Musioł i wiceprezes Henryk Pytlik.



15. Część uczestników Święta uczestniczyła w nim na stojąco. Od lewej: Ewa Musiol, Jacek Franek, Roman Pillardy, Irena Pytlik, Jadwiga Ramza-Chadaj.



16. Fragment sali: na pierwszym planie ks. Krystian Kukowka, Franciszek Pieczka, Władysław Francuz, Ewa Gawron i prof. Jan Kucz.



17. Fragment sali, od lewej: Stefan Switula i Witold Stefanowicz.



18. Dr Gabriela Kreihs promuje swoją książkę.



19. Posel Andrzej Markowiak lider *Salonu Raciborskiego* gratuluje Towarzystwu 15-lecia działalności, z tyłu Tadeusz Kijonka i ks. Roman Tomanek.



20. Koncertuje Piotr Banasik.



21. Red. Maria Panczyk-Pozdziej z ks. Franciszkiem Kurzajem w teksaskim kapeluszu.



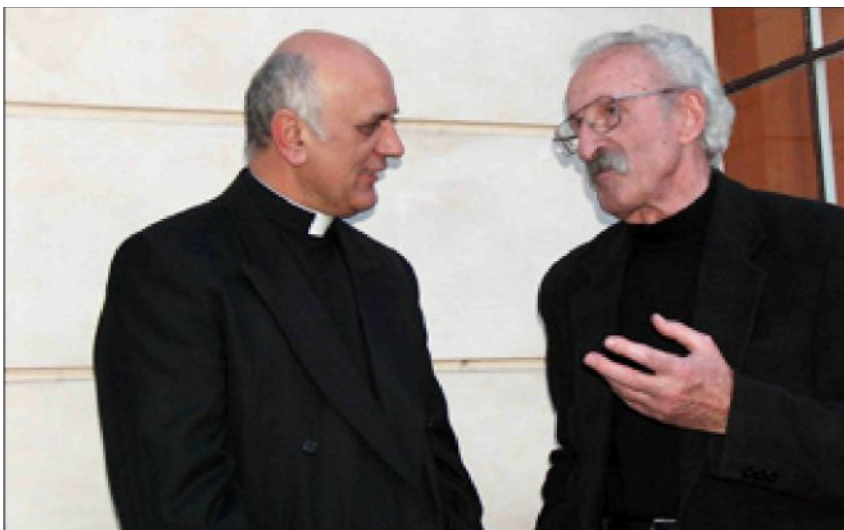
22. Od lewej: proboszcz parafii Panna Maria w Teksasie Wojciech Reisch, red. Maria Panczyk-Pozdziej i ks. Franciszek Kurzaj.



23. Laureci Nagród Towarzystwa w 2004 r.: prof. Andrzej Bochenek i ks. Franciszek Kurzaj z red. Marią Pańczyk- Pozdziej.



24. Ks. Franciszek Kurzaj z Rudolfem Paciokiem i Janem Leśniewskim.



25. Dwaj Franciszkanie: Pieczka i Kurzaj rozmawiają o śląskich sprawach.



26. Dyrektor Szkoły Podstawowej im. Powstańców Śląskich w Warszawie Marian Kobza i jego zastępczyni Jadwiga Ramza-Chadaj (pierwsza z lewej) z red. Marią Pańczyk-Pozdziej.



27. Rozmowa w kularach, od lewej: Alfred Andrys, Anna Janczewska, prof. Andrzej Bochenek.



28. Prof. Piotr Gawron - autor rzeźby „Ślązaczka”, Nagrody Towarzystwa, z żoną Ewą.



29. Prezes dr Józef Musioł z Krystyną Bochenek, żoną laureata Nagrody, wybraną w 2004 r. do Senatu RP.



30. Rodzinne zdjęcie w kuliach: od lewej prof. Marian F. Kolona, ks. Krystian Kukowka, Tadeusz Kijonka, Ewa Musioł, siostry Kreish, Henryk Pytlik, z tyłu Grzegorz Majcherczyk.



31. dr Józef Musiol, Ryszard Musiol, poseł Barbara Blida, poseł Jan Rzymelka.



32. Na tarasie Zamku Ostrogskich: od lewej ks. Roman Tomanek, Krystyna Loska, Aleksandra i Henryk Pytlik, Lech Nijakowski, prof. Marian F. Holona i ks. Krystian Kukowka.

Spotkanie w cyklu „Zrozumieć Śląsk” z Tadeuszem Kijanką
(Dom Literatury 16 czerwca 2004 r.)



33. Prezes Związku Literatów Polskich Marek Wawrzekiewicz wita Tadeusza Kijankę (w środku), siedzi prezes dr Józef Musiol.



34. Uczestnicy spotkania - przemawia dr Władysław Laskowski.



35. Od lewej: Mirosław Kościelniak, Piotr Stefański i Grzegorz Majcherczyk, z tyłu Waldemar Sidowski i Małgorzata Rejman.

15-lecie śmierci Edmunda Jana Osmańczyka
(4 października 2004r. Opole)



36. Grób Edmunda Jana Osmańczyka w Opolu.



37. Opolscy senatorowie: Dorota Simonides, Stanisław S. Nicieja i Apolonia Klepacz przy grobie EJ. Osmańczyka.



38. Spotkanie u Marszałka Województwa Opolskiego Grzegorza Kubata (w środku) z lewej prof. Stanisław S. Nicieja, z prawej prof. Marek Masnyk.



39. Uczestnicy spotkania u Marszałka: Jolanta Klimowicz-Osmańczyk, sen. Dorota Simonides, sen. Apolonia Klepacz i Tadeusz Kijonka.



40. Promocja książki o E.J.Osmańczyku na Uniwersytecie Opolskim, przemawia prof. Stanisław S.Nicieja, obok rektor Uniwersytetu prof. Józef Musielok, Jolanta Klimowicz-Osmanczyk, Szymon Ostrowski- wnuczek Osmanczyka i prof. Marek Masnyk.



41. Uczestnicy promocji: sen. Dorota Simonides, Wojewodzina Opolska Elżbieta Rutkowska i Józef Pelaez.



42. Uczestnicy promocji: Eugeniusz Brudkiewicz, przemawia opolski pisarz Kazimierz Kowalski, obok sen. Apolonia Klepacz.



43. Od lewej dyr. Muzeum w Łąbinowicach dr. Edmund Nowak, red. Edward Pochron.

15-lecie śmierci Edmunda Jana Osmańczyka
(6 października 2004r. Warszawa)



44. Tablica poświęcona EJ.Osmańczykowi na domu w którym mieszkał przy placu Zamkowym 8 w Warszawie.

45. Poczty sztandarowe pod tablicą,
stoją prezes Józef Musiol i żona
EJ.Osmańczyka - Jolanta Klimowicz-
Osmańczyk.



46. Harcerze ze szczepu Rodło przy tablicy.



47. Młodzież Szkoły im. Powstańców Śląskich w Warszawie w czasie uroczystości złożenia wieńców.



48. Uczestnicy uroczystości złożenia wieńców w 15-lecie śmierci E.J.Osmańczyka.



49. Uczestnicy uroczystości złożenia wieńców, od lewej Henryk Pytlik, Bogdan Trześniowski i prezes Józef Musioł.

Promocja książki wspomnień o Edmundzie Janie Osmańczyku
(Klub Księgarza na Starym Mieście, 6 października 2004 r.)



50. Jan Rodzeń otwiera promocję książki, obok prof. Stanisław S. Nicieja, Jolanta Klimowicz-Osmańczyk i dr Józef Musioł.



51. Olgierd Łukaszewicz czyta fragmenty książki o EJ. Osmanczyku.



52. Olgierda Łukaszewicza shichają: od lewej w głębi red. Zygmunt Broniarek, szef Kancelarii Senatu-minister Adam Witalec i prof. Ryszard Matuszewski.



53. Wypełniona sala Klubu Księgarza w czasie promocji książki.



54. Na pierwszym planie państwo Anna i Andrzej Magierscy.



55. EJ.Osmańczyka wspomina senior polskich krytyków literackich prof. Ryszard Matuszewski.



56. Wśród gości promocji znany pisarz Ryszard Kapuściński.

Śląska Biesiada Świąteczna
(Zamek Ostrogskich w Warszawie 15 grudnia 2004 r.)



57. Biesiadę prowadzili wspólnie: prezes Towarzystwa dr Józef Musiol i lider *Salonu Raciborskiego* poseł Andrzej Markowiak.



58. Goście i uczestnicy Biesiady: sen. Krystyna Bochenek, Franciszek Pieczka, sen. Dorota Simonides i posłanka Barbara Blida.



59. Uczestnicy Biesiady Ryszard Musioł, Andrzej Grabarczyk, z tyłu: Stefan Steller i Joanna Brańska;



60. Sen. Stanisław S. Nicieja, sen. Krystyna Bochenek, dalej Czesława Fornalik, z lewej Małgorzata Rejman, w drzwiach Klemens Górski.



61. Na pierwszym planie: Maksymilian i Andrzej Grabarczykowie i poseł Tomasz Tomczykiewicz.



62. Raciborzenie podczas Biesiady.



63. Franciszek Pieczka otrzymuje gratulacje z okazji 50-lecia pracy aktorskiej.



64. Lech M. Nijakowski promuje książkę: *Nadciągają Ślązacy. Czy istnieje narodowość śląska?*



65. Prof. Dorota Simonides opowiada o śląskich tradycjach bożonarodzeniowych, z prawej poseł Andrzej Markowiak.



66. W środku „Ślązaczka Roku 2004” Edyta Kój z Żędowic i jej syn Tomasz.

67. O swojej pracy, szkolnej sprzątaczką,
opowiada po śląsku Edyta Kój.



68. Tomasz Kój opowiada po śląsku o
Żędowicach.



69. Słuchają, od lewej: Jerzy Domański- red. nacz. „Przeglądu”, sen. Krystyna Bochenek, dr Józef Musioł, sen. Dorota Simonides, posłanka Barbara Blida, Maksymilian i Andrzej Grabarczykowie i poseł Tomasz Tomczykiewicz.



70. Andrzej Grabarczyk przedstawia śląską wersję *Lokomotywy*, z prawej Henryk Pytlik.



71. Recital kolęd w wykonaniu Marzeny Korzonek, z akompaniamentem Aliny i Elżbiety Kucznierz.



72. Red. nacz. „Przeglądu” Jerzy Domański i sen. Krystyna Bochenek.



73. Wspólne kolędowanie, Marzena Korzonek „egzaminuje” posła Piotra Mateję.



74. Wspólne kolędowanie.



75. Opłatkami dzielą się z posłem Andrzejem Markowiakiem raciborzanie, w środku komendant rektor WAT w Warszawie gen. bryg. prof. dr hab. inż. Bogusław Smólski.



76. Smakowanie kołocza i wina. Od lewej prof. Teresa Sulgostowska, Jolanta Klimowicz-Osmańczyk i Stanisław Fornalik



77. Kuluarowe rozmowy.



78. red. Jerzy Domanski i członek Zarządu Towarzystwa Manfred Gorywoda



79. Danuta Galas prezentuje męża.



80. Okładki książek wydanych z inicjatywy Towarzystwa w 2004 r.